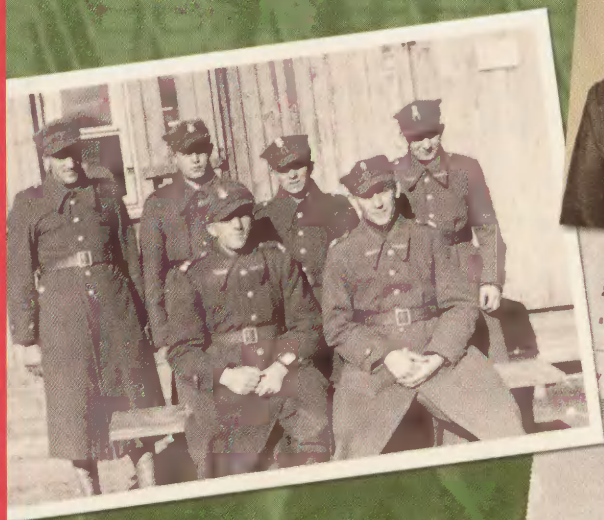


Henryk Krzyczkowski



ZASWIADCZENIE.

Krzyczkowski Henryk urodzony w roku *1914* w *Pruszkowie*
syn *Jana i Maryny Krzyk*
stanął w dniu *28 MAJ 1935* r. przed komisją
zamieszkały w *Pruszkowie*
i został uznany za:

ZDOLNEGO DO CZYNNEJ SŁUŻBY WOJSKOWEJ

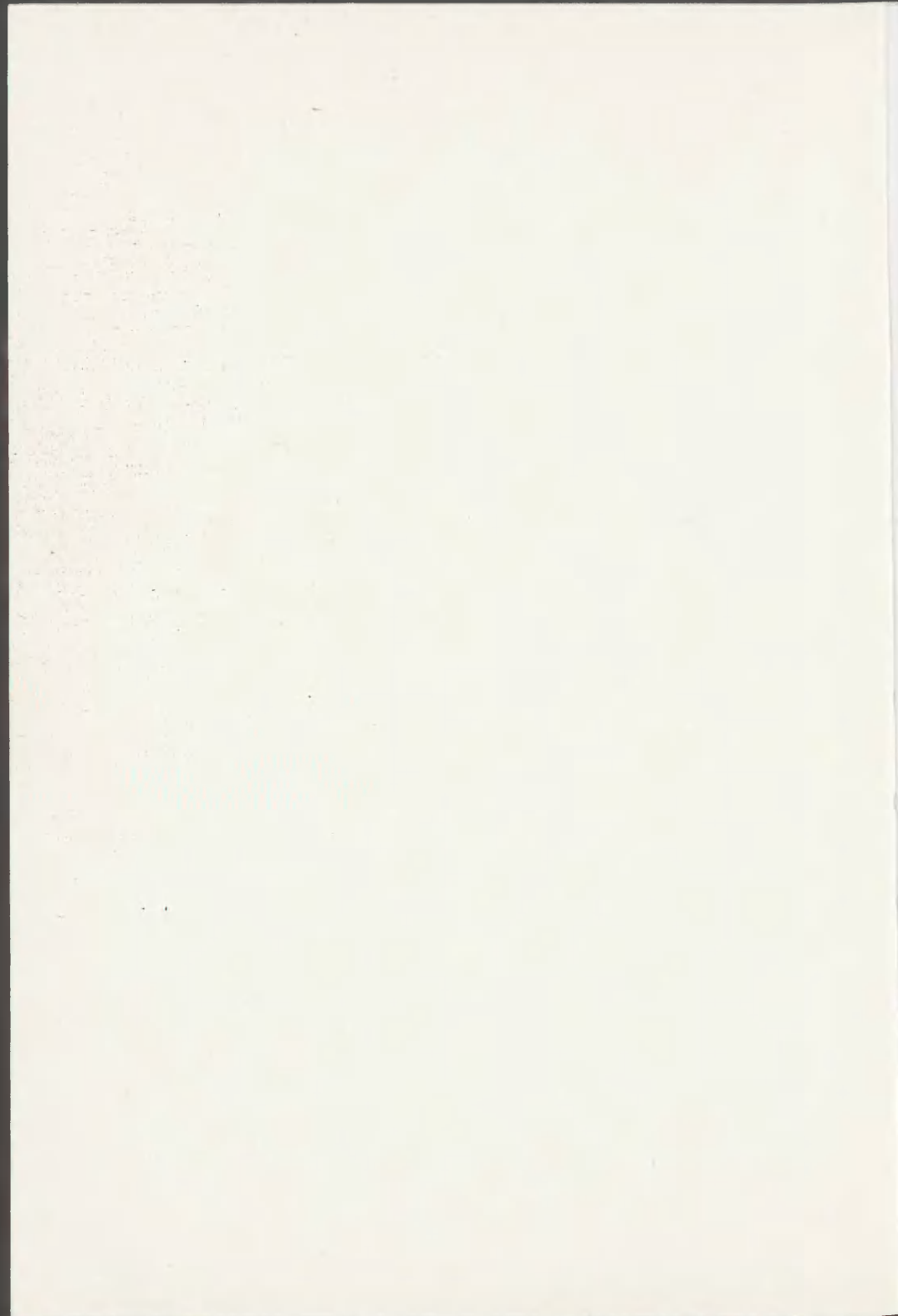
Pruszkowie

28 MAJ 1935

Wm...

Formal 216 X 146 mm.
Drukarnia Państwowa Nr 78045, 1971.12.22 0002

Żołnierskie wspomnienia



**ŻOŁNIERSKIE
WSPOMNIENIA**

WSPOMNIENIA ŻOŁNIERSKIE

WYDAŁO
DZIAŁO
KRAJOWE
WARSZAWY

Henryk Krzyczkowski

ŻOŁNIERSKIE WSPOMNIENIA

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Henryka Sienkiewicza
w Pruszkowie

Copyright © 2007 by Henryk Krzyczkowski
Copyright © for Polish edition by Powiatowa
i Miejska Biblioteka Publiczna w Pruszkowie, 2007

Tekst oparto na publikacji w „Wojskowym Przeglądzie
Historycznym” w latach 1993–1994

Zdjęcia w książce pochodzą z archiwum Autora
Projekt okładki i łamanie: Fabryka Wyobraźni
Redakcja i korekta: Zespół
Organizacja produkcji: Rachocki i S-ka, Pruszków

Publikacja ukazała się dzięki pomocy finansowej
Urzędu Miejskiego w Pruszkowie.

ISBN 978-83-922347-7-7

Wydanie pierwsze

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Henryka Sienkiewicza
ul. Kraszewskiego 13
05-800 Pruszków
tel. 22 758 86 09
tel./fax 22 730 10 80
e-mail: czytelnia@biblioteka.pruszkow.pl

*Księżkę poświęcam
mojej ukochanej Żonie – Eufrozynie*

PRUSZKOWIANIE

rozpoczynający służbę wojskową w dniu 20 września
1935 roku w Pułtusk:

- 1/. Ciesielski Czesław
- 2/. Gerke Rudolf (w 1940 roku podpisał volkslistę)
- 3/. Grzybowski Tadeusz
- 4/. Jasiński Stanisław (poległ w 1939 roku)
- 5/. Jezierski Franciszek
- 6/. Kordysz Bolesław (usunięty w marcu 1936 roku)
- 7/. Kowalski Eugeniusz
- 8/. Krzyczkowski Henryk
- 9/. Mazurkiewicz Juliusz
- 10/. Szymański Zenon
- 11/. Śliwowski Józef (I lokata)
- 12/. Świrczewski Jan
- 13/. Wołosiecki Stanisław (stracił w 1939 roku rękę
w obronie Modlina)

Byli też z nami dwaj uczniowie gimnazjum Zana: Leonid
Teliga (matura w Grodzisku) i Stefan Tepper (zamieszkały
w Ursusie).

CZEŚĆ I

Podchorąży rezerwy

Służba wojskowa w okresie międzywojennym należała do najważniejszych wydarzeń w życiu młodych mężczyzn, którzy w wieku 21 lat – zgodnie z ustawą o powszechnym obowiązku wojskowym – stawali przed Komisją Poborową. Jeśli stan zdrowia poborowego nie budził zastrzeżeń, to w najbliższych miesiącach rozpoczynał służbę wojskową, która – w zależności od wykształcenia i rodzaju broni – trwała rok, 18 miesięcy lub 2 lata. Większość poborowych odjeżdżała do wojska chętnie. W wyjątkowych wypadkach zabiegano o odroczenie na rok lub dwa, a tylko nieliczni starali się uniknąć odbywania służby wojskowej.

Roczna służba wojskowa, mająca przerobić cywilów – poborowych z cenzusem – na podchorążych rezerwy, kandydatów na oficerów, rozpoczynała się po zakończeniu letnich manewrów i po odejściu do cywila starego rocznika.

Dla nas, urodzonych w 1914 r., był to piątek 20 września 1935 r. Tego dnia o godz. 8 w koszarach 13 pp w Pułtusk miało się stawić ponad 200 poborowych w „stanie trzeźwym” – jak napisano w „Karcie powołania”.

Pułtusk nie miał połączenia kolejowego, choć zaznaczono je wyraźnie grubą kreską na przedwojennych rosyjskich mapach. Jak nam później opowiadano, w 1907 r. pisano

w gazetach, że przedstawiciel cara przejechał z Zegrza do Pułtuska nowo zbudowaną koleją. Na pewno przeznaczonymi na ten cel sumami podzielono się, z kim trzeba, gdyż miano przedłużyć linię kolejową do Różana. Aferzyści nie zapomnieli o zaznaczeniu nowego połączenia na mapach. W rzeczywistości z Pułtuska było przeszło 20 km do najbliższego dworca kolejowego w Nasielsku. Tam właśnie z ostatniego warszawskiego pociągu wysiedli w połowie nocy poborowi. Stali na peronie i w dworcowej poczekalni podnieceni, obawiający się spóźnienia. Zawiadowca uspokajał, że na pewno rano przyjedzie z koszar ciężarówka, ale wszyscy uznali, że nie ma sensu wyczekiwać przez tyle godzin, gdy cel tak niedaleki. Niektórzy chcieli iść pieszo. Noc była ciepła i gwiazdzista, droga dobra i oznakowana. Najbardziej zaradni odszukali właściciela jedyne w Nasielsku ciężarowego samochodu. Starszy człowiek uspokoił się, gdy usłyszał, że czeka na niego stu ludzi, z których każdy zapłaci złotówkę za przewiezienie do Pułtuska. Kilku poborowych nie mających grosza przy duszy pojechało bezpłatnie. W dwie godziny później wszyscy byliśmy na miejscu.

Skupiliśmy się w pobliżu bramy koszarowej. Niezdecydowani, głośno zastanawialiśmy się, czy wejść na teren koszar, czy rozejrzeć się po nieznanym mieście i po raz ostatni w cywilnym ubraniu spacerować. Małomówny wartownik ostrzegł, że bez przepustki nikogo nie wypuści na ulicę. Według niego „Karta powołania” była zezwoleniem tylko na wejście do koszar. Kilku wybrało spokój i odpoczynek w koszarach, ale większość wyruszyła w stronę uśpionego miasta. Głośną rozmową płoszyliśmy ciszę Pułtuska, budząc psy, których uporczywe szczekanie towarzyszyło nam aż do parku nad Narwią.

Rozsiedliśmy się na trawnikach. Zawieraliśmy pierwsze znajomości. Okazało się, że ściągnięto nas do Pułtusza nie tylko z Warszawy i Mazowsza, ale i z Kieleckiego, z Lubelskiego, z Łodzi, nawet z Białej Podlaskiej. Oczekiwaliśmy świtu. O szóstej w kilku kościołach zaczęły bić dzwony na *Anioł Pański*. Bez pośpiechu ruszyliśmy dłuższą, ale ciekawszą drogą, aby o ósmej stawić się w koszarach, leżących na wzgórzu po drugiej stronie Pułtusza.

Pułtusk był jednym z najstarszych i najładniej położonych miast polskich. Gdy armia napoleońska odniosła tu jedno ze swoich zwycięstw, znalazł się na Łuku Tryumfalnym w Paryżu.

Centrum miasta leżało jak gdyby na wyspie, otoczonej odnogami szeroko rozlanej Narwi. Wokół wiele zieleni, uliczki zabudowane parterowymi domami i z rzadka jednopiętrowymi kamienicami. Pułtusk zamieszkiwało wówczas ok. 16 tys. mieszkańców, z których prawie połowę stanowili Żydzi. Tego ranka przekonaliśmy się, że to właśnie oni wstawali najwcześniej. Brodaci, ubrani w czarne jarmułki, krymki i w długie czarne chałaty, kręcili się po podwórkach, zamiatali chodniki, otwierali okna i drzwi do małych sklepików. Na ulicach, pokrytych „kocimi łbami”, turkotały żelaznymi obręczami jadące na targ małe chłopskie wozy, na których obok z miejska ubranych gospodarzy siedziały kobiety w barwnych kurpiowskich strojach.

Jeden z kolegów, nauczyciel historii, dzielił się z nami różnymi wiadomościami z dziejów Pułtusza. Nauczali tu Piotr Skarga i Jakub Wujek, a najsłynniejsi uczniowie to Maciej Sarbiewski i Juliusz W. Gomulicki, autor *Wspomnień niebieskiego mundurka*, których akcja rozgrywała się w tym mieście. Narożne okno w budynku starostwa (dawny pałac biskupi) nazywano oknem Napoleona, gdyż

przez kilka dni mieszkał tutaj cesarz wraz ze swoim bratem Hieronimem.

W miarę zbliżania się do koszar szliśmy coraz wolniej. Myśl o zamkniętej bramie i o nieustępliwym wartowniku odbierała nam dobry humor.

Koszary w Pułtuskach wybudowali Rosjanie tuż przed wybuchem powstania styczniowego. Dwupiętrowe budynki z czerwonej prasowanej cegły rozmieszczono wokół rozległego placu ćwiczeń. Po drugiej stronie ulicy wzniesiono utrzymane w podobnym stylu budynki mieszkalne dla rodzin oficerów i starszych stopniem podoficerów. Do ogrodzonych wysokim parkanem koszar wchodziło się przez furtkę obok dużej bramy, nad którą umieszczono orła, a pod nim napis z metalowych liter: „Pułk 13 Piechoty”. Na ławce przed wartownią rozsiedli się żołnierze ze służbowego oddziału – patrzyli na nas z wielkim zaciekawieniem, gdyż byliśmy w Pułtusku pierwszym rocznikiem kandydatów na podchorążych, poborowych z cenzusem:

Po wielu zmianach i reorganizacjach w 1931 r. ustalono, że każda dywizja piechoty będzie szkoliła na swoje potrzeby oficerów rezerwy – w Dywizyjnych Kursach Podchorążych Rezerwy. W naszej 8 DP, do której należały: 13 pp, 21 pp „Dzieci Warszawy” ze stolicy oraz 32 pp z Modlina, na trzy pierwsze lata dywizyjny kurs umieszczono przy 32 pp, a dopiero od naszego IV kursu przeniesiono szkolenie do Pułtuska.

Doświadczeni koledzy, podchorążowie z poprzednich roczników, powtarzali nam wielokrotnie, że przechodząc przez koszarową bramę, trzeba zapamiętać na rok o dotychczasowym życiu. Jedynym łącznikiem z naszym dawnym światem, z rodziną, kolegami i dziewczętami, miała być czerwona skrzynka na listy, umieszczona obok furtki.



Brama koszarowa 13 pp

Wchodzimy do koszar. Budynek stojący najbliżej ulicy to dowództwo pułku oraz kasyno oficerskie. Przed tym budynkiem, od strony dziedzińca, zwraca uwagę wysoki, kilkumetrowy kopiec. Na szczycie umieszczono symboliczną urnę z ziemią z pól bitewnych pułku w latach 1918-1920, poniżej – zrywający się do lotu orzeł, a pod nim duża pamiątkowa tablica.

W najdalszym budynku, na wprost dowództwa, będą nasze kwatery. Idziemy tam, aby w kancelarii oddać „Karty powołania”. Na parterze jest jadalnia: 12 długich stołów, przy każdym 20 miejsc. Na nasz widok kobiety pracujące w kuchni ustawiają dzbanki z czarną kawą i zapraszają na śniadanie. Na ceratowych obrusach stoją kubki i płaskie talerze z małą kostką masła i kilkoma plasterkami żółtego sera. W wiklinowych koszyczkach pokrojony chleb.

Po śniadaniu udajemy się na zwiedzanie budynku. Niedawno odnawiany, był – jak na stare wojskowe koszary – wzorowo czysty i aż pachnący świeżością. Przygotowując się do przyjęcia IV kursu założono instalację centralnego ogrzewania oraz

umywalnie z ciepłą i zimną wodą. Przy ścianach szczytowych były dwie klatki schodowe przeznaczone dla nas, trzecia „honorowa”, z szerokimi kamiennymi schodami, znajdowała się w środku budynku. Na parterze, poza jadalnią, była duża sala, w której odbywało się sobotnie czyszczenie broni. Na pierwszym piętrze były rozmieszczone sypialnie plutonu cekaemów, świetlica oraz duża sala przeznaczona na zbiórki i wieczorne apele. Na drugim piętrze „honorowe” schody rozdzielały dwie sypialnie. Niewielkie pomieszczenia na każdym piętrze przeznaczono na kancelarię i magazyn broni. Od początku zabroniono nam używania głównych schodów – przeznaczonych tylko do szarży; położono na nich czerwony dywan oraz ustawiono rozrośnięte oleandry w drewnianych donicach. Bocznymi klatkami schodowymi przechodziliśmy z sypialni do umywalni i WC. W wysokiej suterenie oglądaliśmy kuchnię, kotłownię, pralnię i łaźnię.

Dziedziniec koszarowy miał kształt prostokąta. Otaczała go wyłożona okrągłymi kamieniami dość szeroka droga. Przy dłuższych bokach dziedzińca stały po dwa długie, dwupiętrowe budynki koszarowe żołnierzy 13 pp. Starannie utrzymane kwietniki były otoczone niskim płotkiem.

Przed południem wezwano nas na zbiórkę. Jakiś sierżant rozkazał nam ustawić się w dwuszeregu, przesuając wyższych lub niższych na właściwe miejsca. Okazało się, że jest to szef naszej kompanii. Gdy dołączyli do niego inni podoficerowie, rozpoczęły się żarty z naszego wyglądu i zachowania. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy typową cywilbandą. Gdy już odpowiednio ustawiono nas w dwóch szeregach, dokonano podziału na drużyny i plutony. Najpierw z krępych, silnych, średniego wzrostu utworzono pluton cekaemów. Pozostali poborowi stali się kompanią strzelecką, złożoną z trzech plutonów po trzy drużyny.

Każdemu przydzielono łóżko, szafkę i taboret. Teraz należało pobrać tzw. sorty mundurowe, koce, bieliznę pościelową, siennik i zagłówek. Cywilne ubranie mogliśmy przesłać do domu lub zapakować w worek i oddać na przechowanie do pułkowego magazynu. Otrzymaliśmy dwie pary wojskowych butów: jedne nowe, a drugie używane, ale całe, z kilkudziesięcioma stalowymi gwoździami w grubych zelówkach. Dostaliśmy trzy mundury – w tym jeden nowy – wyjściowy, i jeden letni, z drelichu, do tego bieliznę, onuce, owijacze, czapkę wyjściową, furażerkę i polówkę, szeroki pas główny, pasek do spodni, sznurowadła z rzemienia i po dwa ręczniki. Okazało się, że w wojsku najlepiej jest „typowym”, których budowa ciała nie odbiega od normy. Na innych najczęściej nic nie pasowało. Podoficerowie, śmiejąc się z naszej bezradności, bardzo nam pomogli, udzielając wielu praktycznych rad.

Najpierw przygotowywaliśmy sobie łóżka. Napychaliśmy słomą sienniki tak, aby stały się bardzo twarde, a później pchałiśmy siano w zagłówki. Pod okiem podoficera słałiśmy łóżka w przepisowy sposób. Później kompletowaliśmy umundurowanie. Jeżeli jakiś szczegół garderoby nie pasował, należało jak najprędzej wymienić się z kolegami lub w magazynie. Kupionym w kantynie biało-czerwonym sznurkiem obszyliśmy naramienniki świadczące o naszym cenzusie. Małe, okrągłe „espeerki”: metalowe ułożone z listków, w które wpleciono litery „SPR” – Szkoła Podchorążych Rezerwy, wpinaliśmy w rogu kołnierzyków naszych mundurów. Po otrzymaniu tytułu podchorążego usuwało się „espeerki”, nazywając w zamian szeroki srebrny pasek na mankietach płaszcza i na rękawach bluzy, kilkanaście centymetrów od dołu. Ponadto mogliśmy nosić okuty, oficerski daszek w sztywnej wyjściowej czapce.

Po pierwszej wojskowej kolacji pakowaliśmy cywilne ubrania, a później zabraliśmy się do nauki wiązania owijaczy.

Przysparzały nam one najwięcej kłopotu. Były to długie sukienne pasy w kolorze munduru, o szerokości 6 do 8 cm. Należało je owinąć wokół łydki, zaczynając od krawędzi buta.

Prawie wszystkiego trzeba było uczyć się od nowa. Nieprędko przyzwyczailiśmy się do naszego nowego stroju i regulaminowego zachowania się. Nie tak łatwo przyzwyczailiśmy się do ciężkiego wojskowego obuwia, zrobionego z grubej, twardej skóry, podbitego gwoździami. Jeśli buty były dobrane właściwie, to grube skarpetki oraz umiejętnie zawinięte flanelowe onuce gwarantowały nienaruszalność skóry na stopach. Początkowo wielu z nas prawie ze łzami w oczach wracało z ćwiczeń z bąblami na stopach. Sanitariusz z izby chorych przecinał je i dezynfekował ranę jodyną. Następnego jednak dnia trzeba było zakładać te same buty, aż naskórek stwardniał, a my opanowaliśmy trudną sztukę zakładania onuc.

W sobotę po raz pierwszy obudził nas sygnał pobudki, odegrany o szóstej przez trębacza przed budynkiem dowództwa. Po śniadaniu, jeszcze przed ósmą, sierżant szef zarządził zbiórkę na dziedzińcu. Kilku podoficerów dokładnie nas oglądało, zwracając szczególną uwagę na odpowiednie zaciśnięcie pasa. Z daleka obserwowali nas czterej oficerowie. Domyśliliśmy się, że są to przyszli dowódcy plutonów.

Przez ten jeden dzień wiele już straciliśmy z dawnego wyglądu – przyczyną było aresztanckie ostrzyżenie i najczęściej nie dopasowany mundur. Dowiedzieliśmy się, że najwyżsi z nas – z pierwszego plutonu – to „wyciory”, najniżsi – z trzeciego plutonu – to „konusy”, którym wiatr zawsze będzie wiał w oczy. A wszyscy to „szaraki”, „zające”, „skoczybruzdy” – czyli piechota.

Koleżeńskie pogawarki, żarty i prześmiewania zakończył sierżant szef, który stanął w odległości kilkunastu kroków przed środkiem naszego dwuszeregu i powiedział donośnie:

„No! Koniec z zabawami! Szarża na prawe skrzydło!” Od razu wszystko się zmieniło. Żartobliwi i przyjacielscy podoficerowie usztywnili się, spoważnieli. Zmienił się głos sierżanta szefa – zamiast ojcowskiego gderania usłyszeliśmy głośnie, ostre słowa wojskowej komendy: „Kompania na moją komendę – baczność! Spocznij! Kolejno odlicz! Baczność! Równaj w prawo! Drugi szereg!”

„Baczność! Na prawo patrz!” – zza naszego prawego skrzydła wyszedł najwyższy z czterech obserwujących nas oficerów. „Panie poruczniku! Sierżant szef Modelski melduje kompanię gotową do przeglądu! Stan: 222 szeregowych i sześciu podoficerów!” Po chwili usłyszeliśmy: „Dziękuję! Proszę dać spocznij!” Wysoki, uśmiechający się do nas przystojny porucznik w towarzystwie sierżanta szefa przeszedł przed kompanią, przyglądając się nam uważnie.

Po zakończeniu przeglądu sierżant szef stanął obok innych podoficerów na prawym skrzydle, tuż przy nim stali trzej podporucznicy. Wtedy z tyłu, od strony budynku dowództwa nadszedł kapitan, komendant IV kursu. Był średniego wzrostu, szczupły, z małym, czarnym wąsikiem. Teraz rozległy się głośnie słowa porucznika: „Kompania na moją komendę: baczność! Spocznij! Baczność! Na prawo patrz!”

Porucznik rusza defiladowym krokiem na spotkanie z kapitanem. Zdaje mu raport, do stanu doliczając czterech oficerów. Razem przechodzą przed kompanią – kapitan trochę w przodzie, ostro patrzy na nasze twarze, szuka naszego spojrzenia, następnie staje przed frontem kompanii. Przez długą chwilę lustruje nas przenikliwym spojrzeniem. „Kompania na moją komendę: baczność! Spocznij!” W ten sposób objął nad nami dowództwo. „Jestem kapitan Edward Cicharski, dowódca czwartego kursu podchorążych 8 dywizji piechoty. Mam w przeciągu jedenastu miesięcy zrobić

z was żołnierzy, kandydatów na stopień oficerski!... Zapoznacie się z podstawowymi zasadami sztuki wojennej... Poznacie trud piechura, ciężar służby i życie gromadne... Koszary będą waszym domem, a kompania powinna stać się waszą rodziną. Musicie poznać przede wszystkim musztrę, inaczej wyglądać, inaczej chodzić, inaczej mówić, a także inaczej zachowywać się...”

Kapitan mówił krótkimi zdaniami. Głos miał władczy, trochę syczący. Wyrażnie seplecił. „A teraz chciałbym was lepiej poznać. Kim jesteście? Jakie macie zamierzenia na przyszłość?” Zarządził, aby dwuszeręg rozbijał się – w zależności od wykształcenia i kierunku studiów.

Większość strzelców z cenzusem odbywała służbę wojskową w wieku 21 lat, najczęściej tuż po zakończeniu szkoły średniej, ale było kilkunastu trochę starszych, z dyplomami ukończenia studiów – przeważnie prawników, kilku ekonomistów i jeden leśnik-drzewiarz. Kilkudziesięciu studiowało na uniwersytecie i politechnice w Warszawie. Wykształcenie średnie miało ponad 100 strzelców z cenzusem, z których najwięcej było nauczycieli. Pozostali to absolwenci liceów ogólnokształcących i szkół technicznych¹.

Szkolno-uczelniana segregacja strzelców z cenzusem trwała około godziny. Zakończyło ją donośne stwierdzenie kapitana: „Chciałbym, abyście dokładnie wiedzieli, że mnie ten wasz cały cenzus u dupy wisi!”

¹ Wydaje mi się, że służba w Szkole Podchorążych miała na dalsze życie wpływ niewielki. Z większością kolegów z Pułtusza nie spotkałem się nigdy. Na ostatnich zjazdach koleżeńskich było już nas niewielu. Nie wiem, ilu poległo w latach drugiej wojny światowej. Prawie wszyscy, którzy pozostali w kraju, włączyli się do pracy konspiracyjnej. Dopiero po wojnie nastąpił podział na tych, którzy zaakceptowali zmiany polityczne, i na tych, którzy zachowując duchową niezależność, uznawali nowe władze za zło narzucone siłą.

Nikt na te zaskakujące słowa nie zareagował, jak gdyby nie do nas były skierowane. Jeśli miały wywołać w nas uczucia ponizienia bądź ujawniały niechęć czy pogardę, to należy stwierdzić, że minęły się z celem. Wydaje się, że jedynym rezultatem był upadek autorytetu dowódcy. Jeszcze nie poznaliśmy go bliżej, a już zaczynał tracić nasz szacunek. Tę okazaną pierwszego dnia skłonność do ponizania podkomendnych wielu z nas oceniło właściwie – jako dowód słabości dowódcy. Później dowiedzieliśmy się, że był on oficerem czasu wojny i mimo kilku prób nie zdał egzaminu maturalnego².

Kpt. Cicharski dał się nam mocno we znaki, zwłaszcza w tzw. okresie rekruckim. Nie był dobrym dowódcą. Od czasu, gdy zaczęliśmy przedrzeżniać jego seplenienie („czo wy szobie myszlicie...”), przestał być dla nas groźny, a wkrótce w pewien sposób zaczął nas śmieszyć. Miał dość inteligencji, aby wyczuć nasze lekceważenie, co być może potęgowało jego srogość. W pierwszych tygodniach naraziłem się kapitanowi, gdyż jego gróźb wysłuchiwałem z uśmiechem. Poczuł się dotknięty, co odczuwałem na własnej skórze do końca pobytu w Pułtusku. Również wykładowcą był miernym. Denerwowały go nasze podchwytliwe pytania, a jeśli brakowało mu odpowiedzi, reagował niezmiennie: „Powstań! Siad! Powstań! Siad!”, aż zapomnieliśmy o postawionym pytaniu.

Kapitan dość długo spacerował przed naszym dwuszeregiem. Niespodziewanie zapytał: „Czy są wśród was muzycy? Kto gra na pianinie?” Poderwało się kilkudziesięciu. „Kto naprawdę dobrze gra na pianinie” – wystąpiło kilkunastu, z cichą nadzieją na

² Cicharski wojnę spędził w Oflagu IID Gross Born. Po wojnie wrócił do Pułtuska, gdzie przez ponad 20 lat był kierownikiem referatu Kultury i Przysposobienia Wojskowego. Podobno był dobrym organizatorem życia kulturalnego, bibliotek gminnych i domów kultury. Nie wiem, czy osiągnął wymarzony stopień majora.

względy. Kapitan wypytywał ich o studia muzyczne odsunął samouków i nie lubiących muzyki poważnej, a sześciu pozostałym rozkazał maszerować do kasyna oficerskiego i przenieść pianino do naszej świetlicy. Uznaliśmy to za wspaniały dowcip.

Przez sobotę trwały pobieżne badania lekarskie chorych lub niesprawnych. Niektórych zatrzymano w izbie chorych, a inni mieli wkrótce jechać na dodatkowe badania w warszawskim szpitalu wojskowym. Z każdym tygodniem będzie się zmniejszał IV kurs. Na skutek różnych ukrytych wad wielu kolegów otrzymuje lekarskie zwolnienie ze służby wojskowej.

Przez kilka najbliższych dni poznaliśmy naszych bezpośrednich przełożonych: dowódców drużyn, plutonowych i kaprali, zawodowych i nadterminowych, którzy łagodnie i cierpliwie uczyli nas siania łóżek, układania mundurów w kostkę, czyszczenia butów, usuwania błota spomiędzy gwoździ, zakładania onuc i owijaczy. Okazało się, że wygląd łóżek miał świadczyć o wyszkoleniu drużyny, gdyż był to rzucający się w oczy obraz właściwej pracy instruktorskiej podoficerów. Niestety, nie wszyscy z nas od razu zrozumieli, że jeśli chce się na wierzchu łóżka równo ułożyć koc, to siennik musi być wypchany słomą do granic wytrzymałości. Sobota zaś była ostatnim dniem, w którym słoma leżała na zapleczu naszego budynku.

W niedzielę mieliśmy pierwszą zbiórkę „do modlitwy”. Przed śniadaniem, odśpiewaliśmy *Kiedy ranne wstają zorze...*, a wieczorem *Wszystkie nasze dzienne sprawy...* Modlimy się również przed posiłkami: „*Dziękujemy Ci Panie, za te dary, które z Twojej świętej szczodroblewości spożywać mamy...*”. W tę pierwszą niedzielę, aby uniknąć kompromitacji, nie poszliśmy do kościoła. Obserwowaliśmy z daleka, jak pułk z orkiestrą na czele maszeruje na mszę do kolegiaty.

Przed południem, w czasie zbiórki na dziedzińcu, poznaliśmy naszych dowódców.

Mjr dypl. Stefan Górnisiewicz był dowódcą batalionu szkolnego, składającego się z naszego kursu i pułkowej Szkoły Podoficerskiej. Już na początku, po krótkim przemówieniu, major zdobył naszą sympatię. Apelowal nie tylko do patriotyzmu i poczucia obowiązku, ale także do naszego poczucia humoru.

Dowódcą 13 pp był płk Jan Zientarski, ale już w końcu grudnia zastąpił go płk Józef Kobyłecki.



Płk Józef Kobyłecki – dowódca
13 pp



Mjr dypl. Stefan Górnisiewicz
– Dowódca Baonu Szkolnego

W tę pierwszą niedzielę po obiedzie mieliśmy czas wolny. Ze zdziwieniem stwierdziliśmy, jak bardzo byliśmy niepodobni do siebie, choć wszyscy mieliśmy ostrzyżone głowy i źle dopasowane mundury. Różniliśmy się nie tylko fizycznie, ale i usposobieniem. Jedni przez kilka godzin grali w siatkówkę, a inni, w kłębach dymu papierosowego, denerwowali się

brydżową licytacją, kilkunastu spacerowało po rozległym terenie koszar, niektórzy przez całe popołudnie pisali listy. W sypialniach panował gwar. Wielu siedziało na stołkach w pobliżu łóżek i szafek, gadając z sąsiadami. Grupa kilkunastu Żydów trzymała się razem tylko przez pierwsze dwa - trzy dni, później będą wsiąkali w życie swoich drużyn.

Z rekrutów tak bardzo różniących się charakterami dowódcy mieli utworzyć jednolity pododdział wojskowy, o zgodnym z regulaminami zachowaniu i postępowaniu – pododdział, który powinien składać się z pozbawionych indywidualności żołnierzy, gdyż takimi będzie najłatwiej dowodzić. Jednocześnie odczuwamy, że wspólne przeżycia i jednakowe żołnierskie kłopoty zaczynają nas zbliżać i łączyć. Najczęstszym tematem naszych rozmów szybko stały się posiłki. Na śniadanie mamy czarną kawę, porcję dżemu, masło i kawałek żółtego sera. Do tego na cały dzień pół kilo chleba, który przechowujemy w szafkach. W niedzielę biała kawa i wędlina. Zupę (krupnik, grochówka na boczku, fasolowa lub pomidorowa z ryżem) otrzymujemy w wazach, drugie danie na talerzach: gulasz z ziemniakami, mielone kotlety z kapustą, smażona ryba w każdy piątek, do tego sałatka z kapusty lub kwaszony ogórek. Kompot w fajansowych kubkach. Na kolację znowu talerz zupy, czarna kawa i chleb z serem lub z marmoladą.

Prawdziwą służbę wojskową rozpoczęliśmy w poniedziałek. Po ogłoszeniu przez służbowego pobudki pojawili się w sypialniach podoficerowie dowódcy drużyn, a potem oficerowie dowódcy plutonów. Rytm naszego życia był zgodny z planem zajęć wyznaczonym rozkazem dziennym.

Okres rekrucki był najcięższym rozdziałem naszej służby wojskowej. Raptowne oderwanie od dotychczasowego życia, przeniesienie do nowych, całkiem odmiennych warunków odczuwaliśmy dotkliwie. Stwierdzaliśmy z narastającym roz-

żaleniem, że dokładnym podziałem dnia, precyzyjnie przestrzegany kolejnymi rozkazami i komendami przełożonych pozbawiono nas władzy nad samym sobą i postawiono na najniższym stopniu hierarchii wojskowej. Niżej rekruta nie było już nic. Dodatkowo źle na nasze samopoczucie wpływało zmęczenie fizyczne. Ustawiczne zbiórki, ciągle bieganie, konieczność natychmiastowego reagowania nie tylko na okrzyki, ale i na gwizdki przełożonych wydawały się nam po prostu poniżające.



IV Kurs Podchorążych Rezerwy 8 Dywizji Piechoty

Bardzo szybko przestaliśmy zdawać sobie sprawę z tego, że na rozkaz wstawaliśmy, na rozkaz byliśmy głodni i jedliśmy posiłki, na rozkaz odpoczywaliśmy i kładliśmy się spać. Ba, na nie wypowiedziany rozkaz wybuchaliśmy „zdrowym wojskowym śmiechem”, słysząc dowcip przełożonego – choć dowcipy te najczęściej nie należały ani do najlepszych, ani do nie znanych.

Na razie spaliliśmy w koszulach i w kalesonach, w których chodziliśmy w dzień. Dopiero po zakończeniu okresu rekruckiego większość będzie kładła się do łóżka w dostarczonych z domu

nocnych koszulach lub piżamach, choć podobno było to sprzeczne z regulaminem. Każdego dnia o godz. 6.00 trębacz pułkowy przed wartownią lub obok pomnika grał pobudkę (w niedzielę wstawaliśmy o godzinę później). Podoficer służbowy wchodził do naszych sypialni z głośnym okrzykiem: „Pobudka! Wstawać!” Zrywamy się bez ociągania. Gimnastykujemy się na boisku, gdy ciepło – bez koszul, gdy temperatura spadła w okolice zera – w koszulach. Tylko duży mróz, deszcz lub śnieżyca zatrzymywały nas na gimnastykę w sypialni. Po powrocie z gimnastyki golimy się i myjemy. Większość z nas goliła się wieczorem, ale kilkunastu ciemnych brunetów musiało się golić rano, aby w czasie zbiórki uniknąć ukarania za niechlujny wygląd. Zakładamy bluzy i owijacze i na komendę stajemy w dwuszeregu do modlitwy.

Później dwójkami maszerujemy do jadalni. Dyżurny oficer obserwował jedzących. Jeśli ktoś nie umiał zachować się przy stole, niewłaściwie posługiwał się nożem i widelcem, czekało go specjalne przeszkolenie. W ciągu kilku następnych dni, w chwilach wolnych od zajęć, wysłucha wskazówek jednego z oficerów o zasadach „dobrego wychowania” i będzie się wprawiał we właściwym używaniu noża i widelca, łokciami przyciskając książki do tułowia. To szkolenie przeprowadzano w kancelarii, w obecności tylko zainteresowanych. Niewiele mówiono na ten temat, aby nikogo nie ośmieszyć.

Stopniowo ograniczano czas spożywania posiłków, starając się wyeliminować niepotrzebne rozmowy. Komenda: „Powstań! Koniec posiłku!”, padała, gdy mijał czas przeznaczony na jedzenie lub gdy większość odeszła już od stołu. Po kilku tygodniach nikt nie spóźniał się na posiłki i nikt nie marudził przy jedzeniu.

Po śniadaniu wędrujemy na swoje piętro, aby szykować się do porannego raportu. Jeszcze spojrzenie na buty, czy błyszczą należycie, jeszcze zaciśnięcie pasa, przesunięcie do tyłu fałd na bluzie lub płaszczu, skontrolowanie zapięcia wszystkich

guzików. Nie zapięty guzik na zbiorce to rzecz nie do pomyślenia. „Rozebrany! Nago stajecie w szeregu!” W wojsku nie było czasu na powtarzanie żadnej czynności.

Każdego ranka, po naszym wyjściu na dziedziniec, kobiety pracujące w kuchni sprzątały sypialnie. Zamiatały podłogi, wycierały kurze, myły okna i niekiedy nawet wyrównywały nasze łóżka.

„W dwuszeregu za mną zbórka!” – krzyczy szef Modelski. Każdy już pamięta, gdzie powinien stanąć i kto jest jego sąsiadem. Nie ma przepychania. Podoficerowie kontrolują swoje drużyny. Żadna usterka w umundurowaniu nie ujdzie ich uwagi. Szef budzi kompanię z resztek snu. „Baczność! Spocznij! Na prawo patrz! – to jakbym za sznurek pociągnął! Baczność! Równaj w prawo! Baczność! Kolejno odlicz! Co wy już liczyć zapomnieliście?! Ofermy sakramenckie! Śmierdzący cywile! Dziady kalwaryjskie!” Z końca dwuszeregu dolatuje: „Sto pięć! Pełna!”



Plk Julian Skokowski – Inspektor Szkół Podchorążych

Porucznik Sochaczewski przyjmuje raport szefa, kontroluje nasz ubiór, w milczeniu przygląda się każdemu z nas. Taka lustracja kompanii trwa aż do przyścia dowódcy kursu. Na jego widok podrywają nas nowe rozkazy. Oficerowie i szef z podoficerami ustawiają się na prawym skrzydle. Podziwialiśmy wyszkolenie dowódcy 1 plutonu. Wysoki, wysportowany, przystojny blondyn, idzie twardym, ale sprężystym krokiem dobrego gimnastyka. Zatrzymuje się przed kpt. Cicharskim. Rozlega się trzask dostawianego buta. Raport jest krótki: „Pięciu oficerów, 20 podoficerów i 210 strzelców z cenzusem. Pięciu w izbie chorych”.

Podziwialiśmy wymusztrowanie kadry. Staramy się w podobny sposób wykonywać zwroty i uzyskiwać taki sam efekt dźwiękowy dostawiania obcasów. Niektórzy ubijają młotkiem twarde pięty butów, aby w postawie zasadniczej stykały się jak największą powierzchnią.

Kapitan bez słowa lustruje kompanię. Jeśli stwierdzi jakieś uchybienie, dowódca drużyny zapisze nazwisko, a później nastąpi przeszkolenie delikwenta. Patrzymy prosto w twarz dowódcy. Ma zaciśnięte wąskie wargi i uśmiech ironiczny lub pełen politowania. Następnie staje przed kompanią, aby omówić program ćwiczeń.

Na razie, przez kilka najbliższych tygodni, ćwiczyć będziemy musztrę w koszarach. Gdy już opanujemy trudną sztukę marszu wojskowego, dostaniemy karabiny. Wtedy rozpocznie się musztra zwarta z bronią. Gdy nauczymy się maszerować w kolumnie, z karabinem „na pas broń”, będziemy ćwiczyli na Popławach. Aby jak najszybciej opanować te podstawowe czynności, mamy nauczyć się musztry przed i po obiedzie.

Gdy w południe biją dzwony kościelne, kończą się ćwiczenia. Jesteśmy bardzo zmęczeni. Wydaje się, że i kadra ledwo dyszy.

Pierwszą czynnością po powrocie do sypialni jest czyszczenie butów. Tak zostało do końca służby. Każdy z nas zaopatrył się

w trzy szczotki: ryżową – do usuwania błota, mazak – do rozprowadzania pasty, i miękką szczotkę – dla nadawania połysku. Buty czyścimy na dole, przed budynkiem.

Po obiedzie nie wszyscy mają chwilę odpoczynku. Okazuje się, że po naszym wyjściu z sypialni wiele łóżek „odwiedził lotnik”. Tak nazywamy ciężką pracę naszego szefa, polegającą na wywracaniu pościeli w źle zasłanych łóżkach. Przystępowano ponownie do wyprostowania i wygładzenia siennika oraz obciągnięcia go dokładnie dwoma prześcieradłami, by był równy jak stół. Na wierzchu należało położyć koc tak złożony, aby krawędzie ukryć wewnątrz. Drugi koc powinien równo leżeć pod zagłówkiem.

Prawidłowo zasłane łóżka nigdy nie były naruszone przez naszych przełożonych. Już niedługo zmądrzejemy i nie damy się zaskoczyć. Ktoś wpadnie na pomysł, aby w koc leżący na nierównym łóżku zawijać odpowiedniej wielkości kawał dykty lub tektury, co zapewni idealniej równą powierzchnię. Oderwany na zbiorce lub podczas ćwiczeń guzik umieścimy na zapałce, aby nie było widać dziurki. Szafki zamykamy na kłódkę, a podczas kontroli akurat nie możemy odnaleźć kluczyka. Niezbyt czyste buty ukryjemy na noc w szafce, a pod taboretą ustawimy dobrze wyczyszczone mało używane buty wyjściowe ze wszystkimi gwoździami.

Szczytowym, ale późniejszym osiągnięciem przystosowania się do warunków stał się odpoczynek pod łózkami. W niedzielne, zimowe popołudnia, gdy obowiązywał zakaz opuszczania koszar, szef zawsze znalazł jakieś zajęcie. Chcąc zniknąć z jego oczu, ktoś wpadł na pomysł, aby kłaść się spać lub czytać książkę pod łóżkiem daleko od środkowego przejścia, pod oknami.

W zwykłym dniu zajęć popołudniowa zbiórka była wyznaczona na godz. 14.00. W obecności jednego oficera dowódcy drużyn prowadzili dwugodziną musztrę.

Przed kolacją była najczęściej godzinna pogadanka, czyszczenie broni i sprzątanie rejonu, po czym zarządzano zbiórkę „do rozkazu”. Stawaliśmy w mundurach, pasach i w furażerkach. Szef odczytywał rozkaz na dzień następny, a w nim szczegółowy rozkład zajęć, wszelkie zmiany organizacyjne, kary, nagany i pochwały. Potem następowało półgodzinne omówienie mijającego dnia przez dowódcę IV kursu. Na zakończenie rozdawano listy. Na komendę: „Baczność! Kompania w miejscu rozejść się!”, biegniemy do swoich szafek po resztę chleba i maszerujemy do jadalni. „Powstań! Do modlitwy! — Pobłogosław Panie te dary...” Kolacja trwała najdłużej. Nareszcie można było pogadać z kolegami, pożartować. Przed spoczynkiem jeszcze sprzątanie, porządkowanie, czyszczenie butów i ubrania, mycie się, golenie. Niekiedy wieczorami urządzano nam jakieś pogadanki.

O godz. 21.30 ogłaszano zbiórkę do modlitwy. Ubrania układamy regulaminowo w kostkę, owijacze wtykamy do butów, na wierzchu rozkładamy onuce. Gdy leżymy w łóżkach, najczęściej jest jeszcze wyrywkowy przegląd butów, ułożonych ubrań oraz czystości nóg. O godz. 22.00 trębacz pułkowy gra na dziedzińcu *Idzie noc...* Podoficer służbowy ogłasza: „Capstrzyk! Wszyscy śpią!”, i gasi światła. Zmęczeni żołnierze zasypiają bardzo szybko.

Na razie przepustek na miasto nie było. Kapitan powiedział: „Najlepiej, abyście o tym zapomnieli!” Wieczorami musieliśmy siedzieć w koszarach, choć prawdę mówiąc w pierwszym okresie byliśmy tak zmęczeni, że pewnie by się nam nie chciało iść na spacer. Po kilkunastu dniach mogliśmy korzystać ze świetlicy, gdzie było radio, „Polska Zbrojna”, rządowa „Gazeta Polska” i nieco książek, a ponadto dwa stoły ping-pongowe.

Na początku wiele nas dziwiło. Gdy po raz pierwszy usłyszałem: „Wyl!”, bardzo rzadko wtedy używane, a ustalone przez regulamin wojskowy, odruchowo obejrzałem się wokół, czy ktoś jeszcze przy mnie stoi. Zadziwił nas sposób wydawania komend.

Nie przypuszczaliśmy nawet, że dźwięki wydostające się z ludzkiego gardła mogą być tak głośne, tak ostre, przejmujące i nakazujące. Gdy usłyszeliśmy niewyraźne: „...ość!”, to już sam ton narzucał nam błyskawiczne przyjęcie postawy zasadniczej.

Musztra była umiejętnością ciężką i twardą, zdobywaną w trudzie i pocie czoła. Godziny tych zajęć dłużyły nam się niemiłosiernie, ciągle rozkazy, pokrzykiwania i gwizdki zaczynały doprowadzać do szału. Uczymy się także równego kroku, poły płaszcza zaczepiając za pasem. Maszerujemy jeden za drugim, w odstępach kilkumetrowych, pod komendą czujnego i wymagającego podoficera, dyktującego tempo marszu. Krok musi mieć odpowiednią długość, a noga ma unosić się na wymaganą wysokość.

Gdy mamy chwilę przerwy, dziwimy się, że udaje się nam wytrzymać takie niesamowite napięcia, że jeszcze wykonujemy te, wydawało się zwariowane rozkazy. Już jednak zdajemy sobie sprawę z tego, że przestajemy myśleć.

Okres rekrucki, poświęcony „wypędzaniu cywila”, to były na pewno najgorsze tygodnie naszej służby wojskowej, ciągnące się w nieskończoność. Uczyliśmy się zgodnie z regulaminem stać i maszerować – zbiorowo i pojedynczo, ruszać z miejsca i zatrzymywać się, odliczać, równać w szeregach, meldować się, zbierać w różnych szykach itp.

W wychowaniu wojskowym stosowano odpowiedzialność zbiorową. Niewielkie zaniedbanie, chwilowe ociąganie się lub jakiś nasz najłagodniejszy wybryk powodował natychmiastową reakcję przełożonych, a odpowiedzialność nie spadała na winowajcę, lecz na całą drużynę lub pluton.

Dla ułatwienia życia od początku staraliśmy się poznać i ocenić naszych dowódców i przełożonych. Wkrótce wiedzieliśmy, czego od każdego oficera i podoficera możemy oczekiwać.

Dowódcą naszego 1 plutonu był wspomniany por. Antoni Sochaczewski, zwany „Lalusiem”, oficer dobrze wyszkolony,

o przyjemnej aparycji. Jego musztra wyglądała znacznie lepiej niż u podoficerów i budziła niekłamany zachwyt.

Naszą III drużynę prowadził plut. Edmund Zakrzewski, wzorowy instruktor – wychowawca³. Blondyn, średniego wzrostu, z małą grzywką nad czołem, opanowany i spokojny, ruchy miał zadziwiająco szybkie, a krok elastyczny i sprężysty. Nigdy nie gonił nas bez przyczyny – ot, tak dla przyjemności lub dla popisania się przed dowódcą. Omawiał sposoby wykonania i dzięki łagodnej perswazji osiągał najlepsze rezultaty. Zawsze mieliśmy najpierw wzorowo wykonany pokaz. „»Postawa zasadnicza« – to trzeba wyciągnąć się z portek. Gdy powiem »baczność!« – to należy stać nieruchomo, zgodnie z regulaminem: kolana wyprostowane, zbliżone do siebie, brzuch wciągnięty, pierś naprzód, ramiona do tyłu, ręce wyciągnięte w dół – wyciągnięte, a nie opuszczone, średni palec do szwa, szyja wyciągnięta, głowa podniesiona, wzrok naprzód, usta zamknięte”.

Poprawiał nasze błędy nie siłąc się na żarty ani na złośliwości. Wymagał dobrego wykonania komendy, zwłaszcza podczas lustracji przez dowódcę kursu. Nie było wtedy żartów. Rozumieliśmy się doskonale. Niepisane zasady takiej gry bardzo nam odpowiadały. Żyliśmy z nim w wielkiej zgodzie. On chyba też nas lubił. Gdy rozpoczęliśmy musztrę z bronią, do pomocy plut. Zakrzewskiemu przydzielono kaprała nadterminowego, którego nazwaliśmy „Mazakiem”, gdyż nasze twarze nazywał „mazakami”.

³ Plut. Edmund Zakrzewski był w AK referentem wywiadu w stopniu podporucznika czasu wojny. W lutym 1946 r. wstąpił do konspiracyjnej organizacji Ruch Oporu AK, był zastępcą komendanta obwodu pułtuskiego. 17.5.1946 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał go na karę śmierci za działalność organizacyjną i propagandową, za zbieranie informacji o PPR oraz za uczestniczenie w wydaniu wyroku śmierci na pracownika miejscowego UB. Wydział prawny KRN, potwierdzając okupacyjną działalność E. Zakrzewskiego i uwzględniając prośby kilkuset osób, podpisanych pod petycją, zaproponował zmianę wyroku na 15 lat więzienia. Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok wykonano 4.7.1946 r.

Kaprała, który zakończył obowiązkową służbę wojskową i chciał zostać podoficerem zawodowym, angażowano na kilkuletnią próbę jako podoficera nadterminowego – nazywanego niekiedy pogardliwie zupakiem. Dostawał wynagrodzenie niższe od kaprała zawodowego, mieszkał w koszarach, razem z kompanią, starając się wykazać swoje zalety. Tacy najczęściej dawali w kość rekrutom. Po kilkuletniej próbie odchodził do cywila lub zostawał w wojsku jako podoficer zawodowy, zarabiający około 120 zł. Wynajmował pokój w mieście, żyjąc nadzieją na szybkie awansowanie do stopnia plutonowego oraz uzyskanie pensji, wraz z dodatkami funkcyjnymi, w wysokości od 150 do 180 zł, gdyż dopiero wtedy mógł się ożenić.



Kadra podoficerska IV kursu podchorążych. Siedzą od lewej – górny rząd: plut. Edmund Zakrzewski, plut. Rudolf Spisek, plut. Antoni Mitkowski, sierż. Stefan Kasprzyk, kpr. Janik, plut. Zygmunt Olkowski, plut. Bartold; środkowy rząd: sierż. Czesław Kazimierzczak, sierż. Józef Sokalski, sierż. Franciszek Modelski, st. sierż. Bronisław Dembiński, sierż. Aleksander Piaseczny, plut. Stanisław Szejek, sierż. Jakub Słonina; dolny rząd: plut. Wiktor Banasiak, plut. Ignacy Cieślak, plut. Marian Mosakowski, plut. Aleksander Kozłowski.

Każdego dnia po zakończeniu musztry w drużynach rozpoczynała się musztra plutonu, prowadzona przez st. sierż. Bronisława Dębińskiego, jedynego w pułku podoficera odznaczonego Virtuti Militari. Z baretką tego orderu nigdy się nie rozstawał. Pocieszał nas: „W wojsku będzie trudno i ciężko tylko przez pierwszy rok, przez dwanaście miesięcy”.

Najbardziej dokuczała nam musztra całej kompanii, obserwowana z daleka przez kpt. Cicharskiego, a prowadzona przez któregoś z sierżantów lub przez jakiegoś złośliwego podporucznika.

Po kilku tygodniach rozpoczęliśmy naukę wydawania komend. Przed nami stawali koledzy, a my musieliśmy mówić głośno, dobitnie – tak, aby najważniejsze słowo, będące krótkim okrzykiem, zmuszało do poderwania się, aby noga wyskakiwała do przodu jak z procy. Komenderowanie tylko pozornie może wydawać się łatwe. Okrzyki „ość!” i „Spocz!” słyhać było godzinami. Najlepiej uczyliśmy się na błędach kolegów, wzajemnie się poprawialiśmy. Przy podciąganiu nogi „na baczność” musieliśmy wyraźnie słyszeć uderzenie buta o but.

Szybko okazało się, że jedni z nas byli wprost stworzeni na żołnierzy, podczas gdy inni musieli nad każdym zwrotem długo pracować. A tymczasem, gdy tylko pojawiło się zniechęcenie lub lekceważenie, serwowano nam dodatkowe ćwiczenia.

Początkowo z rozbawieniem słuchaliśmy rutynowych powiedzeń naszej kadry. Nowe dla nas porównania i określenia – jak się później okazało – od lat obiegały wszystkie podchorążówki. Były to m.in.: Łamaga z cenzusem – Ofermy sakramenckie – Dziady kalwaryjskie – Co tak stoicie zgięci, jak przy zapaleniu ślepej kiszki – Jesteście nic, zero, rekrut, a stoicie jak generał na defiladzie – Schowajcie ten wasz cholerny bandzioch! – Zasalutujcie jeszcze raz – czy wy muchy odpędzacie? – Jak się odchodzi, to trzeba zrobić „w tył zwrot” tak, że ta kropła, co wam wisi u nosa, obleci podwórko naokoło!

Pomimo że wszyscy przeszliśmy trzyletnie Przysposobienie Wojskowe w szkołach średnich, nauka musztry trwała wiele tygodni. Na szczęście, nie był to wysiłek daremny. Powoli nasza drużyna, pluton i kompania stawały się zwartym organizmem. Byli jednak nadal wśród nas tacy, którym nie wszystko się udawało. Takich żołnierzy ukrywano w drugim szeregu, wymagając tylko staranności podczas zbiorowej musztry, a zwłaszcza w czasie różnych publicznych wystąpień IV kursu.

Po kilku tygodniach nasza musztra zaczynała zbliżać się do ideału. Jednakowo reagowaliśmy na komendy, prawie idealnie wykonywaliśmy zwroty i chwytamy broń. Na zbiórkach odruchowo, prawie automatycznie równaliśmy i kryliśmy w szeregach. Mimo ogromnego zmęczenia, ogłupiających ćwiczeń odczuwaliśmy coraz wyraźniej zadowolenie, że stajemy się prawdziwymi żołnierzami, jednolitym wojskowym pododdziałem.

Podoficerowie bardzo nam w tym pomogli. Współpraca i współzycie z nimi na ogół układały się dobrze. Był tylko jeden niechlubny wyjątek: plut. Ignacy Cieślak z plutonu cekaemów. Była to wprost maszyna do musztrowania. Niekiedy tak dawał się we znaki swemu plutonowi, że musieli go hamować zarówno oficerowie, jak i podoficerowie. Niski, krępy, piegowaty blondyn, prawdopodobnie pochodził ze Śląska. Służył w armii niemieckiej, walczył pod Verdun. Miał jakieś wysokie bojowe odznaczenia niemieckie, o czym niekiedy wspominał strzelcom z cenzusem z innych plutonów. Ze swoimi nigdy na ten temat nie rozmawiał. Rozrzewniał się w czasie wspomnień i pokazywał, jak wykonywało się chwyt bronią i jak defilowało w armii kajzerowskiej. Wzdychał: „O Jezu, tam była musztra! Pierona! Tam dawało się rekrutom w dupa!” Nawiązując do głośnej wtedy książki Remarque’a *Na zachodzie bez zmian*, nazywaliśmy go „Unteroffizier Himmelstoss”. Książki nie czytał i może dlatego był dumny z przezwiska.

Można było nie lubić wojskowego drylu, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że jest to konieczne, że w ten sposób powstanie jednolity, zwarty organizm, posłuszny jednej komendzie. Przedstawiano nam wtedy taki ideał nowoczesnego żołnierza: „ślepo, lecz rozumnie posłuszny, bez nerwów, szybko orientujący się i szybko decydujący, umiejący posługiwać się wszystkimi zdobyczami techniki wojennej, dobry kolega, dbający o innych, nie lękający się służby”.

Powoli przyzwyczailiśmy się do tych warunków życia. Dość szybko zrozumieliśmy, że wyrabiamy w sobie nowe cechy: karność, odwagę, hart ducha i wytrzymałość. Rozwijano w nas obowiązkowość, poczucie ładu i porządku, a także konieczność podporządkowania się woli przełożonego. Dokuczliwe początkowo ramy regulaminów i wyznaczone rozkazami plany zajęć okazywały się z czasem dość przestronne tak, że można było w nich swobodnie żyć do końca służby wojskowej. W niedalekiej przyszłości okazało się jednak, że wszystkie wojskowe nawyki, wywołane uciążliwą tresurą, były bardzo nietrwałe. Niewiele z nich zostało po kilku miesiącach życia w cywilu. O większości wojskowych nauk i mądrości zapominaliśmy w miarę jak z naszych stóp schodziła gruba warstwa stwardniałej skóry. Najdłużej pozostały wspomnienia – najpiękniejsze, najjaśniejsze i najlepsze, stopniowo wypaczając w pamięci realną prawdę o ciężkiej służbie wojskowej.

Po uporaniu się z trudnościami musztry pieszej i nabraniu żołnierskiej ogłady odbyło się uroczyste wręczenie karabinów. Jednocześnie otrzymaliśmy resztę wojskowego wyposażenia: bagnet, łopatkę, manierkę, menażkę, niezbędnik (łyżkę z widelcem), maskę przeciwgazową, skórzane ładownice, plecak i chlebak.

Gdy otrzymaliśmy karabiny, poczuliśmy się żołnierzami. Były to pięciostrzałowe karabiny typu „Mauser” kal. 7,9 mm, pamiętające lata Wielkiej Wojny, wyprodukowane w różnych

fabrykach. Mój był ze Spandau. Ważył ponad 3 kg. Pluton cekaemów otrzymał krótsze i lżejsze karabinki produkcji polskiej – kbk wz. 29. Karabin należało po ćwiczeniach postawić w stojaku, w miejscu oznaczonym nazwiskiem, a resztę wyposażenia trzymać w szafce, w której od razu zaczynało brakować miejsca. Każdy zapisał numer swojego karabinu i przystąpił do pierwszego czyszczenia. Poznaliśmy nazwy: lufa, stopka, iglica, trzon, bezpiecznik, kurek, pazur, komora zamkowa itd. Szybko nauczyliśmy się rozbierać zamek po ciemku, po omacku.

W każdą sobotę, przed cotygodniową kąpielą, broń czyściliśmy przez kilka godzin. Dokładnie polerowaliśmy wnętrze lufy za pomocą wyciora i malej wiązki pakuł, nazywanej kwaczem.

Kilka tygodni później każda drużyna otrzymała erkaem typu „Browning” wz. 29 – polskiej produkcji. Kaliber pocisku był taki sam jak w karabinie, natomiast erkaem ważył znacznie więcej – około 9 kg. Obejmowaliśmy kolejno funkcje celowniczego i amunicyjnego. Pierwszy zamiast karabinu nosił erkaem, a drugi zamiast normalnych skórzanych ładownic zakładał na pas specjalne, brezentowe – z magazynkami zawierającymi 20 nabojów. Mielśmy jeszcze dostać granatniki (kal. 45 mm), jednakże do końca naszej służby nie widzieliśmy tej nowej broni. Nie było także biedki amunicyjnej – wózka specjalnej konstrukcji, do którego zaprzęgano konia. Regulamin przewidywał takie wyposażenie dla każdego plutonu. W związku z tym na wiosnę spędziliśmy kilka godzin w pułkowej stajni, niedaleko Narwi, gdzie demonstrowano nam przygotowanie biedek do wymarszu.

Współczuliśmy kolegom z plutonu cekaemów. Nosili nie tylko swoje karabiny, ale musieli dźwigać na pole ćwiczeń na Popławach cekaemy lub moździerze. Cekaem typu „Maxim”, z lufą chłodzoną wodą, ważył wraz z podstawą około 50 kg. Do tego dochodziły metalowe skrzynki do amunicji oraz taśma z 250 nabojami – 7,5 kg. Na wiosnę otrzymali znacznie lżejszy cekaem wz. 30 – polskiej

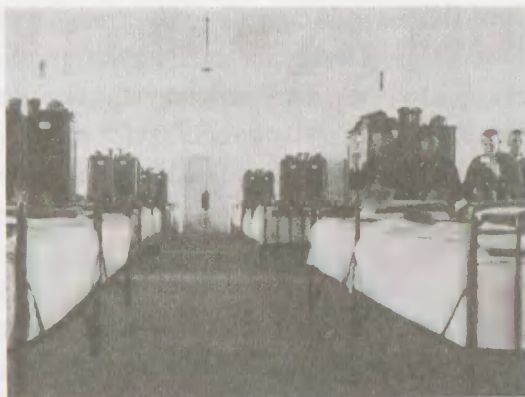
produkcji, także chłodzony wodą, z trójnożną podstawą. Ponadto pluton cekaemów był uzbrojony w moździerz 81 mm typu „Brandy” (produkowane w Fabryce Stowarzyszenia Mechaników w Pruszkowie) i typu „Stockes” – ważące wraz z dwójnogiem i specjalną płytą oporową około 64 kg. Pocisk, w zależności od rodzaju, ważył od 3 do 6 kg. Ćwicząc z takimi ciężarami na plecach, nasi koledzy wyrabiali sobie mięśnie jak zapaśnicy.

Dwudziestego dziewiątego września, w drugą niedzielę naszego pobytu w Puławsku, wzięliśmy udział w porannej zbiórce całego pułku i pomaszerowaliśmy do kościoła na mszę. Na czele orkiestra, za nią nasz IV kurs, za nami Szkoła Podoficerska i pozostałe kompanie. Staramy się wzorowo maszerować przez miasto, tym bardziej, że patrzą na nas zaciekawieni przechodnie, a zwłaszcza dziewczęta. Idąc po raz pierwszy po nierównym, kamienistym bruku, staramy się utrzymać krok, stwierdzając przydatność ciężkich, podkutych gwoździami butów. Tylko w nich możemy utrzymać rytm marszu narzucany przez orkiestrę, która przez całą drogę grała piękne marsze. Ktoś, świadom rzeczy, wyjaśnił, że są to marsze austriackie, gdyż orkiestra, tak jak i pułk, miała silne tradycje galicyjskie, austriacko-węgierskie⁴. Dlatego tak pięknie grano *Marsza Radetzkyego*. W kolegiacie śpiewał nasz 12-osobowy chór. Dla mieszkańców

⁴ W październiku 1918 r. w Krakowie polscy oficerowie i podoficerowie austriackiego 13 pp zawiązali konspiracyjną grupę, która 31.10. przy pomocy ludności i młodzieży akademickiej rozbroiła Austriaków i opanowała Kraków. 12.11. grupę tę, powiększoną o ochotników, nazwano pułkiem piechoty nr 8, a w lutym 1919 r. przemianowano na 13 pp. W styczniu 1919 r. I batalion brał udział w odsieczy Lwowa, a we wrześniu inny batalion walczył nad Bereżyną. W sierpniu 1920 r. 13 pp bronił Warszawy. Wziął ponad 2000 jeńców i zdobył 100 karabinów maszynowych, stracił 13 oficerów i 207 szeregowych. Dwudziestu żołnierzy otrzymało *Virtuti Militari*, a 249 Krzyże Walecznych. W marcu 1921 r. stałym miejscem pobytu 13 pp został Puławsk. Orkiestra pułkowa zmieniła mundury i oznaki, ale marsze nadal grała te same.

Pułtуска na pewno było to duże wydarzenie; tłok w kościele powiększał się z niedzieli na niedzielę.

Po nabożeństwie przez kilkanaście minut spacerowaliśmy po rynku. W wysokiej, zabytkowej wieży na rynku w połowie minionego wieku było więzienie lub areszt. Przez kilka lat przebywał tutaj mój dziadek za udział w powstaniu styczniowym. W rodzinie wspominało jakiegoś carskiego urzędnika, który wyciągając od prababci i babci ruble przetrzymywał dziadka w tej wieży zamiast przekazać go do warszawskiej cytadeli, co zakończyłoby się procesem i zsyłką na Sybir. Na łapówki te sprzedano prawie całą ziemię mojej rodziny w Krzyczkach, leżących przy szosie z Pułtuska do Nasielska. A teraz, po przeszło 70 latach, wnuk tamtego więźnia spaceruje w mundurze polskiego żołnierza i z ciekawością spogląda na więzienną wieżę, myśląc o zawilej historii polskiego narodu.



Nasze mieszkanie

Wolne popołudnie przerywa godzinna pogadanka kapita-
na, który wyjaśnia nam obowiązki i zaszczyty podchorążych
– kandydatów na oficerów.

W poprzednim pokoleniu elita tworzyła się w tajnych stowarzyszeniach i organizacjach wojskowych, obecnie szkoły podchorążych mają za zadanie nie tylko wyszkolenie przyszłych oficerów, ale także wychowanie i wyłonienie nowej elity narodu, która już niedługo przejmie kierownictwo państwa i decydować będzie o dalszych jego losach. Celem naszego wojskowego szkolenia ma być nie tylko służba Polsce, ale także nie znające granic poświęcenie i zbiorowe działanie w atmosferze najlepszego koleżeństwa. Ideowość i patriotyzm powinny być podstawą kształtowania oficera, który musi być wzorem do naśladowania. Dlatego powinniśmy rozbudowywać w sobie rzetelność, prawdomówność i oszczędność, zdobyć głęboką wiedzę ogólną, gospodarczą i polityczną – choć od polityki mamy stać daleko. Ważna jest również powściągliwość w mowie, szacunek dla starszych i przełożonych, grzeczność na co dzień, świadome posłuszeństwo, dobra prezencja oraz sprawność fizyczna – dająca prawdziwą radość życia.

Naszpikowani takimi wskazaniem i przykazaniami, opuszczamy świetlicę, aby rozsądnie wykorzystać wolne godziny. Porządkujemy szafki. Prawie w każdej szafce na wewnętrznej stronie drzwiczek jest fotografia matki lub dziewczyny, gdyż wielu z nas zdążyło się już zakochać. Do mnie, przy każdym otwarciu szafki, uśmiecha się Hela. Po pracach porządkowych przystępujemy do pisania listów.

Zbiórka na kolację kończy westchnienia i skryte wynurzenia. Później prawie wszyscy zbierają się w świetlicy, gdzie słuchają radia, czytają gazety lub rozmawiają o minionym tygodniu.

*

Początkowo karabin wydawał się nadzwyczaj ciężki, niewygodny, zawsze nam przeszkadzał. Dopiero w wyniku

wielu godzin musztry z bronią, wielokrotnego powtarzania chwytów nabraliśmy wprawy – wydawało się, że zautomatyzowaliśmy nasze coraz bardziej precyzyjne ruchy. Zaczęliśmy wyczuwać karabin. Wiemy, jak należy go przepisowo trzymać, jak wysoko unosić, w którym miejscu uchwycić i w jaki sposób opuszczać, aby stopka trafiła na swoje miejsce tuż obok buta.

Nareszcie maszerowaliśmy jak prawdziwe wojsko, trzymając karabin na ramieniu, na którym stwardniała skóra i wyrobiły się mięśnie. Gdy chodziliśmy z karabinem „na pas broń”, musieliśmy trzymać go pionowo. Jeśli tylko kolba przesuwiała się do przodu, a lufa odchylała do tyłu, donośny głos st. sierż. Dębińskiego przywoływał nas do porządku: „Czy wam nie wstyd? Chodźcie jak najgorsza landwera z ostatniego roku wojny!”

Gdy opanowaliśmy chwyt bronią, zdecydowano, że przedpołudniowe ćwiczenia będą się odbywały na Popławach, na terenie letniego ośrodka naszego pułku. Stały tam baraki – letnie koszary, a w pobliżu była duża strzelnica i rozległe place ćwiczeń.

Na ulicach Pułtuska zazwyczaj padała komenda: „Kompania śpiewa!”. Wtedy sami wyznaczaliśmy sobie rytm maszerowania:

„Rano, rano raniusieńko, rano po rosie – trzy! cztery!
Wyganiała Kasia wołki, rozwidniało się – trzy! cztery!”;
albo: „A czyjeż to imię rozlega się sławą,
Kto walczył za Francję z Hiszpanami krwawo – trzy! cztery!
To konnica polska, sławne szwoleżery
Zdobywają szturmem wążów Samosierry – trzy! cztery! ...”

Najczęściej śpiewaliśmy: „Maszerują strzelcy, maszerują, karabiny błyszczą, szary strój, a przed nimi drzewa salutują, bo za naszą Polskę idą w bój”.

Jeśli śpiew nie wychodził dobrze, jeśli nie było zbyt wielu chętnych do beztróskiego wydzierania się, to czekała nas gonitwa po nadrzecznych łąkach, na drugiej stronie Narwi.

Na długim, starym, drewnianym moście słyszymy: „Dowolny krok!”, gdyż równy i energiczny marsz kompanii mógł zagrozić pęknięciem jakiegoś przęsła i załamaniem konstrukcji zabytkowego mostu.

Na Popławach dostawaliśmy najgorszą szkołę rekruta. Zawsze znalazł się powód, dla którego rozpoczynała się gonitwa po łąkach, niekiedy w maskach gazowych. W niedługim czasie instynkt samoobrony podsunął nam pewne środki zaradcze. Szybko nauczyliśmy się biegania w zwolnionym tempie. Wiedzieliśmy, że podczas biegu w maskach najlepiej jest umieścić na policzku gumkę do wycierania, aby maska się nieco uniosła, a powietrze dostawało się nie przez pochłaniacz, lecz przez szparę z boku. Przez całą zimę stosowaliśmy te nasze trochę dziecinne sposoby ochronne, w zasadzie nie bardzo skuteczne, ale pomagające łatwiej przeżyć najmniej ciekawy i w zasadzie najtrudniejszy okres rekrucki oraz późniejszą szkołę strzelca.

Wizytował nas inspektor szkół podchorążych płk Julian Skokowski⁵. Obserwował musztrę i sprawdzał system szkolenia. Ostrzeżono nas, aby na jego polecenie nie podawać mu karabinu, lecz rzucić do niego. Chwytał go lewą ręką, gdyż prawą miał uszkodzoną na wojnie. Widocznie od dawna stosował taki sprawdzian.

⁵ Płk Julian Skokowski został w 1943 r. dowódcą Polskiej Armii Ludowej i samodzielnym generałem dywizji. Komenda Główna AK odmawiała kontaktów z nim i współpracy z PAL. Gen. „Monter” napisał: „z ponad 600 plutonów bojowych, które wystąpiły w »Godzinie W«, cztery pochodziły z PAL. Było tam aż trzech samodzielnnych generałów”.

W ostatniej dekadzie października odbyliśmy pierwszy marsz w bojowym rynsztunku, z pełnym obciążeniem. Dopilnowano, abyśmy na wierzchu plecaka mieli równo zrolowany koc i zapasową parę butów, a wewnątrz drugi koc i sukienny płaszcz zimowy. Wyruszamy w kierunku północno-zachodnim, drogą prowadzącą do Gromina. W pobliżu pierwszych zabudowań tej dużej wioski zatrzymujemy się na odpoczynek. Przeszliśmy już ponad 5 km i była to połowa naszego marszu. Z ciekawością rozglądamy się po okolicy. Łagodne wzgórza i rozległe lasy składają się na piękno krajobrazu – teraz w jesiennej szacie.

W drodze powrotnej zaczęły nam nadmiernie ciążyć plecaki, dokuczały karabiny, dla których nie umieliśmy wynaleźć na ramieniu miejsca. Zmęczeni, marzyliśmy o jak najszybszym dotarciu do koszar. Ostatnie kilometry były najgorsze. Wielu wróciło z otartymi do krwi nogami.

Ten marsz był dla nas dobrą nauką przed wyjazdem 13 pp do Krakowa, na obchody święta pułkowego, przypadającego 31 października. Mieliśmy też złożyć hołd pochowanemu na Wawelu w maju tego roku marsz. Józefowi Piłsudskiemu.

Dwudziestego dziewiątego października przed południem wyruszyliśmy z Pułtuska. Maszerował cały pułk z orkiestrą na czele. Mieliśmy manierki z czarną kawą, menażki oraz chlebak wypchany przyborami toaletowymi, puszką konserwy mięsnej („żelaznej porcji”) i smaczными sucharami. Na końcu długiej kolumny jechały kuchnie polowe. Do przejścia mieliśmy ponad 20 km. Orkiestra grała coraz krócej i rzadziej. Muzycy nie mieli odpowiedniego przygotowania, męczyli się znacznie szybciej od nas, choć gdy nie grali, większość instrumentów wieziono na wozach taborowych.

W Winnicy mieliśmy pierwszy odpoczynek. Dla wielu zaczynała się tragedia. Mimo ostrzeżeń przełożonych

DOWÓDZTWO
8 DYWIZJI PIECHOTY

L. 119/36



ŚWIADECTWO

Strzel. z cenz. Krzyżakowski Henryk

URODZONY W DNU 15. III R. 1914 W Pruszkowie

UKOŃCZYŁ W CZASIE OD 20 września 1935 R. DO 30 maja 1936 R.

KURS PODCHORAŻYCH REZERWY 8 D. P.

I OTRZYMAŁ NASTĘPUJĄCE OCENY:

Wyszkolenie bojowe	dobry	Higiena	bardzo dobry
Wyszkolenie strzeleckie	dobry	Organizacja armji	dobry
Tercoznawstwo	dobry	Wychowanie fizyczne	dobry
Regulaminy piechoty	dobry	Wyszkolenie strz. C. K. M.	
Regulaminy str. wew.	dobry	Wyszkolenie strz. br. tow.	
Musztra formalna	dobry	Wyszkolenie boj. C. K. M.	
Walka granatem	dobry	Władanie br. K. M. br. tow.	
Walka bagnietem	dobry	Musztra K. M. i br. tow.	
Pionierka i maskowanie	dobry	Teorja strzału P. L.	bardzo dobry
Łączność	dobry	Nauka o broni	bardzo dobry
Gazoznawstwo	dobry		
SPRAWOWANIE	bardzo dobry	PILNOŚĆ	bardzo dobry
PREZENCJA	dobry	DOWODZENIE	dobry
OSTATECZNY POSTĘP	dobry	LOKATA	44

Strzel. z cenz. Krzyżakowski Henryk
(Stapież, Jaszczewo i inne)

NA PODSTAWIE UKOŃCZENIA KURSU Z WYNIKAMI POMYSŁNYM UZYSKAŁ W MYŚL ART. 44
„ROZPORZĄDZENIA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ Z DNIA 7 PAŹDZIERNIKA 1932 ROKU
O SŁUŻBIE WOJSKOWEJ PODOFICERÓW I SZEREGOWCÓW”

TYTUŁ PODCHORAŻEGO REZERWY

Miedla, dnia 30 maja

1936 r.

DOWÓDCA
8 DYWIZJI PIECHOTY

[Signature]
STYLING

Ministerstwo Wojskowości

Świadectwo ukończenia kursu podchorążych

i doświadczonych kolegów, umęczeni żołnierze z naszej kompanii siadali na przydrożnych kamieniach, na betonowych schodkach lub na zimnej już ziemi, aby choć na chwilę zdjąć buty, poprawić onucę lub przewinąć opadające owijacze. To krótkie zetknięcie się ciała z zimną powierzchnią spowodowało u wielu podrażnienie skóry, zaczerwienienie, wysypkę i uporczywy, parzący ból. Był to tzw. wilk. Poszkodowani bardzo cierpieli. Każdy krok powiększał ból, a wysypka zaczynała krwawić. Podczas następnego postoju lekarz pułkowy kpt. Pawłowski zarządził radykalną kurację. Poszkodowani ustawili się w szeregu na skraju szosy, ściągali spodnie i kalesony, wypinając się w rozkroku w kierunku sanitariusza, który podrażnione miejsca smarował jodyną. Po takim zabiegu delikwent leciał kilka kroków do przodu jakby dostał kopniaka. Po chwili ból malał. Tego widoku nie zapomnieliśmy przez długie lata. Żaden z nas już nigdy nie złapał wilka, gdyż uważał, gdzie siada podczas przerwy w marszu.

W pobliżu Nasielska mieliśmy dłuższy postój, aby odpocząć przed popisowym marszem przez miasto. Na bocznicy kolejowej czekał specjalny pociąg. Zdążyliśmy umyć się przy kolejowej studni i zjeść obfity obiad. Do późnej nocy ze wszystkich wagonów dolatywał śpiew wojskowych piosenek.

Nad ranem byliśmy w Krakowie. Po śniadaniu i krótkim odpoczynku w koszarach pułku artylerii pomaszerowaliśmy ze sztandarem pułkowym i orkiestrą na Wawel. Wysłuchaliśmy mszy, w czasie której śpiewał nasz chór, a później delegacja pułku złożyła ogromny wieniec przed trumną Marszałka. Zwiedziliśmy Wawel oraz podziemia z królewskimi grobami.

Po obiedzie zwiedzaliśmy miasto, a wieczorem, bardzo zmęczeni, chrapaliśmy w teatrze na *Rozbitkach* z Kazimierzem

Junoszą-Stępowskim. Na drugi dzień, znowu z orkiestrą, tylko już bez sztandaru, maszerujemy kilka kilometrów, aż na Sowniec. Tego dnia, po obfitych deszczach, droga była tak rozmokła, że nie udało się wozić taczkami ziemi na Kopiec. Przemawiał płk Zientarski, a pamięć Marszałka uczciliśmy minutą ciszy.

Po południu zwiedzaliśmy kopalnię soli w Wieliczce, a wieczorem jemy kolację na dworcu w Krakowie i odjeżdżamy pociągami do Nasielska. Przy dźwiękach austriackich marszów, maszerujemy przez miasto. Na dalekim przedmieściu orkiestra wsiadła do ciężarowych samochodów. Odjechali także oficerowie i prawie wszyscy podoficerowie. Z naszą kompanią maszerował tylko por. Sochaczewski i czterech podoficerów, po jednym dyżurnym na pluton.

Po pięciu godzinach marszu głodni, zmęczeni wróciliśmy do koszar. Był 1 listopada. Mogliśmy wyjść na miasto, ale okazało się, że wszyscy czekali na kąpiel w łaźni, na wymoczenie nóg i na kolację. Nikt nie zameldował u służbowego wyjścia z koszar. Może zatrzymała nas obietnica, że wyjątkowo będziemy mogli iść spać po kolacji, bez czekania na capstrzyk.

Następnego dnia wędrujemy na Popławy. Zrobiło się zimno. Przez kilka najbliższych dni padał deszcz i wracaliśmy do koszar bardzo zmoczeni. Później nadeszła fala mrozów i dokładnie poznaliśmy twardość zamarznętej ziemi, podczas niezmiennego „Padnij! Powstań!” Bezpowrotnie minęły te nieliczne chwile przyjemne, gdy leżąc w ukryciu, „na placówce”, wtulając się w ciepłą ziemię, oczekiwaliśmy na szperaczy z „nieprzyjacielskiego” patrolu.

Z Pułtuszka do lasu na Popławach wędrowały za nami nasze markietanki – stare kobiety z koszami pełnymi drożdżowych bułek, którymi zjadaliśmy się w przerwach przeznaczonych na wypalenie papierosa.

Żołd szeregowca wynosił 85 groszy na dekadę. Ta drobna suma przydawała się niektórym na pastę do butów, bilet autobusowy do stacji kolejowej itd. Jednakże nawet z tego skromnego żołdu zrobiliśmy składkę na zakup do świetlicy radia, skromnych mebli, kilku reprodukcji, szafy bibliotecznej, stołów ping-pongowych, a także księgi pamiątkowej i popiersia Marszałka. Kupiliśmy też kilka lusterek do umywalni. Wiele z tych przedmiotów miało służyć i naszym następcom. Jedenaściego listopada, w Dzień Niepodległości, odbyło się uroczyste otwarcie świetlicy, połączone z okolicznościową akademią.

Zakończyły się dokuczliwe musztry. Czwarty kurs stawał się sprawnie działającym mechanizmem. Odczuwaliśmy to wyraźnie, stwierdzali to nasi instruktorzy i komplementowały dziewczęta z Pułtusza. Dzięki opanowaniu różnych żołnierskich umiejętności oraz uzyskanemu doświadczeniu potrafimy tak zorganizować czas, że bez pośpiechu ubieramy się, jemy posiłki, dokładnie ścielemy łóżka, porządkujemy najbliższy „teren” i jeszcze znajdziemy kilka minut na wypalenie papierosa oraz spokojną rozmowę z kolegami. Jesień jednak przysporzyła nam pracy. Wskutek deszczu lub deszczu ze śniegiem każdego dnia po ćwiczeniach musieliśmy najpierw suszyć mundury, a później długo i dokładnie je czyścić. Skrupulatnie należało czyścić broń, gdyż każde niedopatrzenie groziło natychmiastowym zardzewieniem. Okazało się, że nasze wspaniałe buty nie przepuszczały wilgoci, a ciepłe skarpetki wraz z flanelowymi onucami wspaniałe zabezpieczały przed zimnem. Gdy spadł śnieg i utrzymywał się mróz, łatwiej było doprowadzić mundury do porządku. Początkowo dokuczało nam zimno, ale stopniowo uodparniamy się na nie zakładając swetry, szaliki i rękawiczki. Osiągamy taki stan, że długo leżymy na śniegu i nic nam nie dolega, ani śladu przeziębienia. Ujawniają się dalsze zalety naszych butów – dzięki gwoździom można spokojnie maszerować nawet po wyślizganej drodze.

Mon. OK
do dowództwa
o zmianie
1000

NACZELNE DOWÓDZTWO W. P.
ODDZIAŁ PERSONALNY
Nr. 19295 I K. W.
Zatwierdzone

M. p. dnia 18 maja 1945 r.

NACZELNY DOWÓDCA W. P.
~~PROLA-ZYMIERSKI~~
gen. bryg.

Orzeczeniem KOMISJI WERYFIKACYJNEJ OFICERÓW przy
ODDZIALE PERSONALNYM W. P. z dnia 17 maja 1945 r. został
przyznany Obywatelowi sierż. podch. KRZYCZKOWSKIEMU
Henrykowi s. Jęna ur. 15 lipca 1914 r.
stopień PODPORUCZNIKA - Piechoty W. P.
ze starszeństwem 1 czerwca 1944 r.

PRZEWODNICZĄCY KOMISJI WERYFIKACYJNEJ
1025
Przebieg pers
13.6.45
47PP
(-) CZERNIK
pułkownik

WOJSKO POLNE
ODDZIAŁ PERSONALNY
SZEFEK ODDZIAŁU PERSONALNEGO W. P.
(-) KRYCKI
pułkownik

Orzeczenie Komisji Weryfikacyjnej Oficerów

Zmienia się nasz stosunek do przyrody. Jeszcze przez długie lata będziemy patrzeć na otaczający świat pod kątem możliwości wykorzystania go w celach wojskowych. Las przestawał być ozdobą krajobrazu, a stawał się miejscem ewentualnego spotkania z nieprzyjacielem. Zalesienie, wzgórze, wzniesienia to niekiedy schronienie i bezpieczeństwo, a kiedy indziej miejsce, w którym mogła być zasadzka lub nieprzyjaciel umieścił swoich obserwatorów.

Piasek na placu ćwiczeń był zupełnie inny niż na plażach nadrzecznych. Obsypywał się, dostawał się do butów. Nogi zapadały się, nie mając dobrego odbicia. Chodziliśmy wolno, męcząc się szybko. Przeklinaliśmy podmokłe łąki, niedobre do padania ani do budowy stanowisk strzeleckich, ani do leżenia. Woda szybko przesiąkała przez mundur i ziębiła ciało.

Oczarowała nas natomiast szeroko płynąca wśród łąk Narew z płaskimi wyspami i rozległymi piaszczystymi łachami. Brzegi rzeki były niskie, zabezpieczone faszyną, tylko w jednym miejscu las dochodził do wody. Gdy przyszła wiosna, nad rzeką widać było niezmierzone, pełne kwiatów łąki i rozległe mokradła, na których gnieździły się ogromne stada dzikiego ptactwa wodnego.

Dwudziestego dziewiątego listopada, w dzień podchorążego, mieliśmy uroczystą akademię z okazji rocznicy powstania listopadowego. Dziewiątego grudnia kończymy okres rekrucki. Składamy przysięgę na sztandar 13 pp i krucyfiks, trzymany wysoko przez kapelana. Po kilku przemówieniach nabieramy pewności, że ostatecznym celem naszego wyszkolenia jest udział w wojnie, która wisi w powietrzu.

Po kilku miesiącach szkolenia wojskowego zmieniliśmy się bardzo, przede wszystkim pod względem wyglądu i zachowania. Zmieniliśmy się także wewnętrznie. Odzwyczajono nas od myślenia. Nad niczym nie potrzebowaliśmy się zastanawiać, rozkaz wszystko porządkował i ustalał. Rozkaz w wojsku to rzecz święta.

Gdy nasze postępy w musztrze uznano za zadowalające, część popołudniowych godzin przeznaczono na wykłady. Odczuliśmy to jako poprawę naszego żołnierskiego losu. Nadmiernie przemęczeni strzelcy z cenzusem mogli ukryć się na ostatnich ławkach i spokojnie drzemać, pamiętając o konieczności zachowania wyprostowanej postawy i podniesionej głowie. W zadziwiający sposób opanowano sztukę trzymania ołówka w ręku nad otwartym zeszytem, drzemiąc. Były oczywiście wykłady bardzo nas interesujące, zwłaszcza te, na których omawiano położenie i sytuację gospodarczą kraju, nie ukrywając problemów.

Nie zatajano przed nami słabości Polski. Wykładowcy tłumaczyli ją wieloletnią niewolą, wojną światową i wojną 1919-1920. Otwarcie mówiono o wielkiej nędzy, z której nieprędko naród nasz będzie mógł się wydostać. Wskazywano na zacofanie społeczne oraz groźną sprawę mniejszości narodowych, mogącą nie wiadomo kiedy eksplodować. Z Ukraińcami wszystko nas dzieliło. Nie udawały się próby asymilacji i to raczej Polacy się wyradawiali na Wołyniu i Podolu. Z kolei Żydzi, mimo wspólnego z Polakami zamieszkania przez wieki, pozostali odmienni religią, językiem, obyczajem i strojem. Ta odrębność powiększała się i tylko jednostki asymilowały się, z korzyścią dla kultury polskiej.

Często patrzyliśmy na rozwieszoną w świetlicy mapę, na której widać było dokładnie, że do Pułtusza od granicy Prus Wschodnich jest niewiele ponad 60 km: dzień-dwa marszu piechura. Podczas pogadanek powtarzano nam, że Polska, walcząca w odosobnieniu, zostanie szybko pokonana zarówno przez Niemcy, jak i przez ZSSR. Obronić się możemy tylko walcząc w sojuszu z Francją, Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi.

Podstawową zasadą wojska, głównym nakazem, wpojonym już w szkole, było: „poprzednie pokolenie wywalczyło niepodległość, wy musicie ją utrzymać i przekazać następnemu pokoleniu – lepszą, bogatszą, bezpieczniejszą”. Największą wartość pierwszego pokolenia wychowanego w szkołach niepodległej Polski stanowiły: honor, ojczyzna, wiara, tradycja, wolność. Wychowani byliśmy w atmosferze kultu dla wojska, a harcerstwo stanowiło w zasadzie wstęp do służby wojskowej. Ogromny wpływ miały na nas książki Sienkiewicza, Gąsiorowskiego, Żeromskiego i Przyborskiego oraz cała literatura legionowa, a teraz szkoła podchorążych dawała nam możliwość ubiegania się o zaszczytny tytuł oficerski. Była to pewnego rodzaju nobilitacja.

Mimo że od odzyskania niepodległości minęło zaledwie kilkanaście lat, nikt z nas nigdy nie pomyślał, abyśmy mogli

ją znów utracić. Na pewno liczyliśmy się z możliwością wybuchu wojny, ale wierzyliśmy, że ominie nas, przetoczy się gdzieś daleko od Polski. Wszak mieliśmy pakt o nieagresji z Niemcami i taki sam pakt z ZSSR. Nasi dowódcy takiej wiary w siłę dokumentów międzypaństwowych raczej nie mieli. Kiedyś usłyszeliśmy od gen. Antoniego Szyllinga, dowódcy 8 DP: „Może Bóg da, że my, starzy, nie doczekamy już wojny, ale wy, młodzi, na pewno wojny nie unikniecie”.

Któregoś dnia, podczas popołudniowej pogadanki, bardzo przez nas lubiany kontraktowy oficer WP por. Mikołaj Matykaszwili – Gruzin⁶ – omawiał bitwę Napoleona pod Pułtuskim. Słuchając tej i innych opowieści o wydarzeniach w tym rejonie, zaczynaliśmy patrzeć na Pułtusk z sentymentem. Jakże inaczej mogło wyglądać to miasto, gdyby Rzeczpospolita miała dawną moc i potęgę! A teraz my, pierwsze pokolenie wychowane w niepodległej Polsce, uczymy się tutaj wojskowego rzemiosła. Czy potrafimy obronić to piękne miasto przed kolejnymi zniszczeniami, grabieżami i egzekucjami niewinnych ludzi? Zdajemy sobie sprawę, że braki w sprzęcie wojskowym i uzbrojeniu musimy nadrobić wzorowym wyszkoleniem, odwagą, bohaterstwem i gotowością oddania życia w obronie tej ziemi.

Nasze szkolenie obejmowało wiele przedmiotów. Poza musztrą mieliśmy naukę o broni. Poznawaliśmy karabin, erkaem i cekaem — posługiwanie się nimi, rozbieranie i składanie oraz umiejętne czyszczenie. Do tego dochodziło poznanie amunicji, teoria strzału, strzelanie, walka bagnietem i granatem. Wyszkolenie bojowe obejmowało patrole, czujki, czaty, szperacze, rozpoznawanie walką i ubezpieczenia, natarcie i obrona placówki i zasadzki. Na ćwiczeniach nocnych poznawaliśmy gwiazdozbiory, gwiazdy

⁶ Kontraktowy oficer por. dypl. Mikołaj Matykaszwili był w kampanii wrześniowej adiutantem 19 pp w stopniu kapitana. Po wojnie publikował w prasie swoje ciekawe wspomnienia.

i planety, oznaczaliśmy kierunek marszu za pomocą kompasu lub busoli Bezarda. W głębokich ciemnościach na Popławach ćwiczyliśmy nocne podchody i wytężaliśmy słuch na czatach. „Pionierka” to kopanie rowów strzeleckich, maskowanie i pozorowanie, zasieki z drutu kolczastego i minowanie. Na terenoznawstwo składała się nauka znaków, czytania mapy, robienia szkiców, poznawanie rzeźby terenu oraz trudna sztuka orientowania się podczas marszu według mapy sztabowej. W czasie zajęć w koszarach, wpatrując się w jakąś sztabówkę, należało dokładnie opisać widok rozciągający się przed obserwatorem stojącym na jakimś wzgórzu lub na skraju wioski.

Przerabialiśmy także regulaminy piechoty i służby wewnętrznej. Pełniliśmy warty i służbę wartowniczą, poznawaliśmy organizację armii, środki łączności, obronę przed gazami bojowymi i higienę. Wiele godzin zajmowało nam wychowanie fizyczne: gry sportowe, zawody lekkoatletyczne, zdobywanie Państwowej Odznaki Sportowej i Odznaki Strzeleckiej. Okazało się, że nie tak łatwo jest zostać podchorążym, kandydatem na oficera. Materiału do opracowania było bardzo dużo, a czasu nie tak wiele. Jeśli stawialiśmy się dobrymi żołnierzami, nie mała była w tym zasługa wykładowców i kadry, zarówno oficerskiej, jak i podoficerskiej. To oni uczyli nas regulaminów i wbijali w głowę podstawowe zasady wojskowego wyszkolenia: „Środki techniczne stanowią tylko pomoc, człowiek sam rozgrywa walkę, której wynik zależy przede wszystkim od siły jego charakteru”.

Coraz lepiej poznawaliśmy naszych wychowawców i przełożonych. Dowódcę 8 DP gen. Antoniego Szyllinga⁷ widzieliśmy i słyszeliśmy kilkanaście razy. Najczęściej odwiedzał nas z dowódcą

⁷ Lubiany i szanowany przez nas dowódca 8 DP gen. Antoni Szylling w kampanii wrześniowej dowodził Armią „Kraków”. Zmarł w Kanadzie, pozostawiając po sobie pamięć dobrego dowódcy, któremu w 1939 r. powierzono zadanie niemożliwe do wykonania.

piechoty dywizyjnej płk. Mieczysławem de Laveaux. Obydwaj imponowali nam żołnierską postawą oraz wysoką kulturą.



Generał brygady Antoni Szylling – dowódca 8 Dywizji Piechoty (w Kampanii Wrześniowej był dowódcą Armii „Kraków”)

Nowego dowódcę 13 pp płk. Józefa Kobyłeckiego nieczęsto oglądaliśmy. Szybko dowiedzieliśmy się o jego nadmiernym zamięłowaniu do alkoholu. Zdarzało się, że nawet wykształcony i kulturalny oficer, skierowany do służby w małym miasteczku, zaczynał się po pewnym czasie rozkładać psychicznie. Jednostajność zajęć, towarzystwo ograniczone do kilku kolegów, brak perspektywy wydostania się z małomiasteczkowego garnizonu sprzyjały pijaństwu.

Dowódcą batalionu szkolnego w 13 pp był mjr dypl. Stefan Górnisiewicz, kawaler Virtuti Militari, kulturalny, elegancki, o przyjemnej powierzchowności. Podczas omawiania naszych

ćwiczeń polowych zakładał monokl, pomagający mu w studio-
waniu mapy sztabowej. Nadawało to jego postaci dystyngowany
wygląd, rzadko w piechocie spotykanego oficera-arystokraty. Od
sierżanta szefa dowiedzieliśmy się, że major jest poetą i napisał
słowa pułkowego hymnu: „Biało-czerwone sztandary nasze, a na
nich dumny trzynastki znak...” Oceniając jego mało znaną twór-
czość na podstawie słów hymnu pułkowego, poezja ta była nie-
wysokiego lotu, ale według nas to niewojskowe zainteresowanie
dobrze świadczyło o jego charakterze. Nigdy nie mieliśmy z nim
żadnego zatargu i podobno zawsze stawał w naszej obronie.

W 13 pp służyło wtedy trzech oficerów kontraktowych: Ro-
sjanin mjr Iwan Samutin i dwaj Gruzini. Wszyscy trzej mówili
dobrze po polsku, ze słabym rosyjskim akcentem. Mjr. Sa-
mutina zapamiętałem jako uśmiechniętego olbrzymia, odby-
wającego niedzielne spacerzy z żoną, filigranową blondynką.
Zastępując przez pewien czas mjr. Górnisiewicza, przyznał się
nam: „pognałbym was po łąkach, ale dałem żonie słowo hono-
ru, że was gonić nie będę, a słowo oficerskie to rzecz święta”.
Podobno był on niegdyś pułkownikiem i wykładowcą carskiej
akademii wojskowej. Dwaj pozostali oficerowie kontraktowi
– porucznicy dyplomowani Abaszydze i Mikołaj Matykaszwili,
byli absolwentami tej uczelni. Obaj byli bardzo popularni
w pułku i w mieście. Wspaniale jeździli konno. Mieszkali ra-
zem i mieli wspólnego psa – wilczura, nazwanego „Kazek”,
który reagował tylko na głos swoich panów.

Por. Matykaszwili prowadził z nami wyszkolenie bojowe.
Był świetnym wykładowcą i wzorowym organizatorem cwi-
czeń. Robił to z zapałem, z ogromną przyjemnością. Wy-
kłady jego były tak ciekawe, że wielu z nas zaraził zaintereso-
waniami dla różnych problemów taktycznych i strategicznych.
Był wymagający i sprawiedliwy. Łysy, w okularach, średniego
wzrostu, chodził w długim oficerskim płaszczu, sięgającym

połowy łydek. Czasami na naszą prośbę opowiadał o Gruzji, za którą bardzo tęsknił.

Z pozostałymi oficerami, dowódcami i wykładowcami nasze współżycie układało się najczęściej dobrze lub nawet bardzo dobrze.

Kpt. dr Bronisław Pawłowski skutecznie nas leczył i uczył higieny. Chorych kierował do izby chorych, gdzie mieli zapewnioną opiekę, lepsze jedzenie i kilkudniowy odpoczynek od ćwiczeń, zbiórek i wykładów. Nieliczni trafiali stamtąd do warszawskiego szpitala wojskowego i najczęściej zostawali zwolnieni z wojska.

Por. Wacław Kwiatkowski był przez pewien czas dowódcą III plutonu oraz wykładowcą terenoznawstwa. Nieduży, sympatyczny, rzadko się denerwował, uczył dobrze, dużo zadawał i jeszcze więcej od nas wymagał. Pod koniec nauki mapy sztabowe nie miały dla nas żadnych tajemnic. Mogliśmy je czytać jak książkę.



Kadra oficerska IV Dywizyjnego Kursu Podchorążych Rezerwy 8 DP. Siedzą od lewej: por. dypl. Matykaszwili, kpt. Cicharski, por. Sochaczewski, por. Ślusarczyk; stoją od lewej: ppor. Mazur, por. Kwiatkowski, por. Misiak, ppor. Studziński

I pluton po por. Antonim Sochaczewskim (został adiutantem dowódcy pułku) objął por. Józef Rycaj. Wzorowy oficer, lubiany przez żołnierzy. Bardzo wymagający, niekiedy solidnie nas przegonił, ale jakoś szybko zapominaliśmy o tym. Był bowiem wyrozumiały, pomagał najsłabszym. Prowadził męskie rozmowy w cztery oczy, gdy ktoś źle wywiązywał się z obowiązków. Takie rozmowy braliśmy sobie do serca.

Dowódcą II plutonu był por. Ślusarczyk, a IV plutonem – cekaemów – dowodził por. Ludwik Almert, jego zastępcą był ppor. Misiak.

W typowo prowincjonalnym i dość zaniedbanym Pułtusk-u oficerowie 13 pp, wyróżniający się wyglądem i elegancją, stanowili elitę. Odróżniali się od podoficerów, choć pensja zawodowego sierżanta, wraz z różnymi funkcyjnymi dodatkami, była niekiedy wyższa od pensji porucznika. Prawie klasowy podział uzewnętrzniał się nie tylko tym, że nad mundurem oficera i połyskiem jego butów czuwał zawsze ordynans, ale także sposobem tytułowania. Oficer zwracał się służbowo do podoficera przez „wy” („słuchajcie sierżancie”). Raziło nas od początku, gdy młody podporucznik wykrzykiwał: „Szybciej sierżancie! Zróbcie to i to, tylko biegiem!” Wyjątkiem był st. sierż. Bronisław Dębiński, zastępca dowódcy I plutonu i dowódca 1 drużyny, do którego zwracano się „panie sierżancie!”, ale był to kawaler Orderu Virtuti Militari! Imponował nam tym orderem. Był to instruktor surowy, wymagający. Najczęściej to on prowadził nas na Popławy, oficerowie szli chodnikiem. Czasami dawał nam nadmiernie w kość – przypuszczaliśmy, że to z inspiracji kpt. Cicharskiego. Głos miał donośny, jego komendy były ostre i dobitne. Na taką komendę reagowaliśmy natychmiast. Bywało, że z fasonem maszerowaliśmy przez miasto, gdy wiele osób nas obserwowało, ale bliżej mostu, gdzie przy ulicy stało tylko kilka żydowskich

domków, traciliśmy fason. Wtedy sierż. Dębiński budził nas ze snu: „Lotnik! Kryj się! Na szosie, w kolumnie marszowej, biegiem zbiórka! Kawaleria z prawej! Biegiem zbiórka!” – i tak kilkanaście razy. Czasami na polach było błoto, niekiedy mróz i zmarznięta ziemia, ale wcale nie przeszkadzało to sierżantowi, który krzyczał: „Padnij! Powstań! Padnij! Czołgaj się!”. Z czasem, gdy dokładnie opanowaliśmy musztrę, wystarczył nasz dobry marsz, prawidłowy chwyt broni, energiczne zwroty, a st. sierż. Dębiński uśmiechał się do nas i przymykał oczy na różne wybryki. Będąc w dobrym humorze opowiadał nam dowcipy, te same co kilkanaście dni.

Nasz sierżant szef Franciszek Modelski pochodził z Krakowskiego, pamiętał dawne dzieje 13 pp, a z lat wojny miał Krzyż Walecznych. Na jego łagodnej twarzy często gościł uśmiech i do końca naszej służby nigdy nas nie gonił, uśmiechając się bezradnie, gdy zrobiliśmy jakieś głupstwo. Na pewno miał duży respekt przed naszym wykształceniem. Szefem kompanii został prawdopodobnie dzięki sumienności, systematyczności oraz ładnemu charakterowi pisma. Kompania zawsze była punktualnie przygotowana do raportu lub odczytania rozkazu, a w kancelarii panował idealny porządek. Nie zapomnieliśmy jego rad: „Chlebak, jak sama nazwa wskazuje, służy do noszenia ręcznych granatów” albo „Na wojnie najważniejsze będzie, abyście się pilnowali, aby was nie zabili”. Mylił słowo „audycja” z „audiencją”, a kiedy złapał wracającego zbyt późno z miasta strzelca z cenzusem i usłyszał jako usprawiedliwienie: „Vis major, panie szefie”, odpowiedział: „A, jak pan major, to maszerujcie na salę”. Gdy na pobielonym murze opieraliśmy buty, aby nie pochyłając się za bardzo oczyścić je pastą i wypucować, stwierdzał kategorycznie: „Mur, to jest mur, aby stać! Mur jest po to, aby był dom, a nie po to, aby żołnierz na nim nogi opierał!”.

Lubiliśmy go, choć niekiedy śmialiśmy się z niego, czego się domyślał, ale i on nas lubił.

Podoficerem gospodarczym był sierż. Jakub Słonina, a podoficerem broni plut. Antoni Mitkowski. Przez całą naszą służbę w Pułtuskach nie mieliśmy z nimi żadnego zatargu.

Na co dzień najczęściej dokuczali nam kaprale, ale zawsze była to inicjatywa oficerów, którzy obserwowali nasze zachowanie. Jeśli w pobliżu nie było szarży, kończyły się nadmierne gonitwy, ćwiczyliśmy spokojnie, bez nadzwyczajnych zakłóceń i krzyków. Mówili: „Wiemy, że nie powinniśmy się wam narażać, gdyż niedługo zostaniecie plutonowymi i wtedy będziecie mogli odgrywać się na nas”.

Nasi wychowawcy, stosując wobec wszystkich jednakowe metody wychowawcze, sprawdzone od lat we wszystkich armiach świata, starali się szybko utworzyć z nas wzorową kompanię – wymusztrowaną, posłuszną i wytrzymałą, a także jednolitą, pozbawioną niezależności myślenia, indywidualności i oryginalności. Nie było to jednak ani proste, ani łatwe. W pozornie ujednoliconej masie żołnierskiej znajdowało się wiele osobowości nie dających się wtłoczyć w szablonowe ramy. I tak np. w naszych szeregach było trzech doktorów. Stasio Fürstenberg, stały mieszkaniec Buenos Aires, przyплыł do kraju, aby doktoryzować się na wydziale nauk ekonomicznych Uniwersytetu Jagiellońskiego i odbyć służbę wojskową. Jego ojciec był właścicielem największego w Argentynie przedsiębiorstwa importującego stal, żelazo i metale nieżelazne. Drugim doktorem był dość ponury specjalista od prawa karnego, trzecim Radziejowski, także prawnik.

Trzej doktorzy znaleźli się w 2 drużynie, razem z zaprzyjaźnionymi prawnikami, których nazwiska były dobrze znane w polskim świecie gospodarczym i prawniczym: z wiecznie zamyślonym Tadkiem Okuliczem, z wesołym i dobrotliwym

grubaskiem Stasiem Smotryckim i z gadatliwym, przystojnym Zygmuntem Nagórskim⁸. W tej samej drużynie był Leonid Teliga⁹ – poważny, zamysłony marzyciel, chętnie rozmawiający o dalekich podróżach.

⁸ Zygmunt Nagórski wiosną 1936 r. został przeniesiony do Szkoły Podchorążych Broni Pancерnej w Modlinie. We wrześniu 1939 r. bronił Brześcia, blokując starymi, francuskimi czołgami bramy wjazdowe do twierdzy. Późną jesienią przez Słowację przedostał się na Zachód. Na początku 1940 r. zgłosił się do wojska we Francji. W Anglii służył w broni pancernej. Zdemobilizowany w 1943 r. został skierowany do pracy propagandowej. Po inwazji na kontynent został korespondentem wojennym. 9.5.1945 r. zastaje go w Bredzie. Zamieszkał w Londynie, a po kilku latach osiadł w USA, gdzie zaczął pracę w Departamencie Stanu. Wiele publikował. W 1945 r. wydał w Glasgow *Zbrojne bezrobocie i Migawki z kontynentu*. Stał się znanym publicystą, specjalistą od spraw polityki europejskiej. Był konsulem USA w Aleksandrii. Gdy Naser z pomocą ZSSR rozpoczął budowę Tamy Assuańskiej, Nagórski rozdawał ludności egipskiej ulotki, ukazujące ujemne skutki tej inwestycji. Zatrzymany na ulicach Aleksandrii, na żądanie rządu egipskiego opuścił Aleksandrię i wrócił do USA, przekonany, że postąpił słusznie.

⁹ Leonid Teliga we wrześniu 1939 r. był oficerem zawodowym 44 pp. Po kampanii wrześniowej pracował jako rybak w Azowie n. Donem. W 1941 r. wstąpił do Armii Polskiej, zgłosił się do lotnictwa i szybko dotarł do Anglii. Latał w dywizjonie 300 jako strzelec pokładowy. Po wojnie studiował ekonomię i języki, jednocześnie pracując w powołanej przez rząd lubelski Agencji Polpress (późniejsza PAP). W maju 1947 r. wrócił do kraju i rozpoczął pracę w Departamencie Prasy MSZ. Dokonuje przekładów książek i współpracuje z różnymi pismami. W 1957 r. skierowano go do Komisji Rozjemczej ONZ w Phennianie. W latach 1960-63 był korespondentem PAP w Rzymie, a w 1964 r. uczestniczył w pracach Komisji Nadzoru ONZ w Laosie. Udało mu się urzeczywistnić największe marzenie. 16.12.1966 r. wypłynął z Casablanki w rejs dookoła świata na małym jachcie „Opty”. Początkowo miał zamiar płynąć wokół Horn, a w suchym doku w Buenos Aires wyremontować „Opty” po trudach podróży przez Atlantyk. Chciał także wzbogacić swoją ubogą kasę odczytami wśród argentyńskiej Polonii. Niestety, wizy nie otrzymał, gdyż podobno był notowany w zachodnich kartotekach jako agent KGB. Lewicowym przekonaniom dał wyraz we wspomnieniach z rejsu dookoła świata – opisywał jak na „Opty” uroczyste obchodził rocznicę Wielkiej Rewolucji, nie wspominając o uczczeniu rocznic narodowych. W Kanale Panamskim nie pozwolono mu wyjść na ląd; Nowa Zelandia, Australia i Unia Południowo-Afrykańska nie zezwoliły na zatrzymanie się w portach tych krajów. Spędził 165 dni w morzu, płynąc od wyspy Fidżi do Dakaru w Senegalu – na jachcie takim jak „Opty” był to ogromny sukces. Teliga zmarł 21.5.1970 r.

Najbardziej zwartą grupę stanowili absolwenci seminariów nauczycielskich. Większość pochodziła z wiosek północnego Mazowsza i z Kurpiowszczyzny. Byli bardzo solidarni, mieli wiele podobnych zainteresowań i wspólne tematy rozmów: o brakach w szkolnictwie, o wychowaniu wiejskich dzieci i o niedocenianiu nauczycieli wiejskich. Kilku z nich przywiozło skrzypce. Utworzyli mały zespół, który grał nie tylko muzykę ludową, ale także wiele utworów muzyki poważnej. Zorganizowany przez nich chór od października śpiewał w kościele i podczas różnych akademii. Doświadczenia życiowego mieli znacznie więcej niż my. Uczyli nas właściwego zakładania onuc – opanowali to do perfekcji, gdyż na wsiach było dużo błota, chodzili więc w butach z cholewami, używając onuc.

Na IV kursie w okresie rekruckim było dziesięciu Żydów — żołnierzy wyznania mojżeszowego, jak mówiono. Kilku na skutek złego stanu zdrowia zwolniono. Nie dzieliliśmy kolegów według wyznawanej religii. O liczbie Żydów dowiedzieliśmy się dopiero podczas świąt, np. w Jom Kipur (Sądny Dzień), kiedy zostawali w koszarach, a my maszerowaliśmy na Popławy.

Jeden z nich, Majer Jabłonka, pochodził z Makowa Mazowieckiego i maturę zdawał w Pułtusku, pozostali to absolwenci szkół średnich z całej Polski. Z tej grupy kolegów tylko Mordka Wrubel z naszej 3 drużyny, student prawa Uniwersytetu Warszawskiego, miał w sobie prawdziwego ducha wojskowego. Wysportowany, przystojny, bardzo muzykalny, grał na wielu instrumentach. Jako „zapiewajło” naszej kompanii zaczynał śpiew, narzucając prawidłową tonację i rytm. Od razu został wciągnięty do grupy „dekowników” w rewii. Znał większość modnych piosenek, akompaniował solistom na pianinie, śpiewał w naszym zespole rewelersów. Mówiliśmy na niego Mitek, i tak już zostało. Tylko w stosunku do niego utrzymywano wysokie wymagania, traktując go na równi z nami.

Pozostali Żydzi korzystali z licznych ułatwień. Nigdy nie nosili stojaków pomocniczych figur do nauki strzelania, nie widzieliśmy, aby któregoś z nich podoficerowie ganiłi po polu tak jak wielu z nas. To prawda, że większość z nich nie nadawała się do służby wojskowej, a swój pobyt w szkole podchorążych traktowali jako zło konieczne. Instruktorzy i dowódcy bali się posądzenia o antysemityzm, więc wygodniej im było machnąć ręką na tych kilku żołnierzy. Chodzili oni z nami na ćwiczenia, słuchali wykładów, ćwiczyli zbiorową musztrę, ale gdy przekonano się o ich stosunkowo małym zainteresowaniu wyszkoleniem wojskowym, zaniechano sprawdzania ich wiedzy i zdolności dowódczych. Podoficerowie ustalili na początku: „Czy wy to wyznanie mojżeszowe?”, i na tym się kończyło. Widocznie i im dobrze z tym było, gdyż żaden nie wyrwał się na ochotnika. Tylko czterech z nich otrzymało stopnie podchorążych rezerwy. Mietek Wrubel ganiał razem z nami, nigdy nie protestował przeciw zrównaniu w obowiązkach, a nawet po jakimś wielkim dawaniu w skórę naszej drużynie widać było, że jest zadowolony z takiego jednakowego traktowania całej grupy. Był naprawdę dobrym żołnierzem. Służył w armii gen. Andersa, walczył pod Monte Cassino. Wrócił do kraju i aż do jego śmierci (na początku lat siedemdziesiątych) spotykaliśmy się na koncertach w Filharmonii.

Już w drugą niedzielę naszej służby wojskowej zebrała się kilkunastoosobowa grupa strzelców z cenzusem, którzy – zachęceni przez dowódcę kursu – postanowili ułatwić sobie życie, a nam uprzyjemnić służbę. Wyłoniły się komitety: redakcyjno-wydawniczy, rewiovy, ds. chóru oraz lekkoatletyczny i gier sportowych. Dwa razy w tygodniu, gdy my wyruszaliśmy na popołudniowe ćwiczenia, oni zbierali się w świetlicy lub w kancelarii. Nie zazdrościliśmy im, raczej patrzyliśmy na nich z pewnym politowaniem, a nawet wyższością.

W naszym przekonaniu my byliśmy prawdziwymi mężczyznami, a oni dekownikami, obibokami. W końcu miesiąca odbito na powielaczu kilkadziesiąt egzemplarzy jednodniówki „Strzelec z cenzusem”.

W dzień przysięgi, 9 grudnia, wystawiono rewię *Pogrzeb rekruta*.

Obserwowaliśmy, jak kilku „redaktorów” solidnie się obijało, mając względy aż do końca służby u kadry instruktorskiej. Najciekawsze było to, że ludzi piszących było niewielu, aktorów-amatorów wyszukano pięciu, ale wokół nich kręciło się wielu „organizatorów”, „wydawców”, „suflerów”, którzy występowali na zewnątrz w imieniu artystów i pisarzy. Gdy np. pięciu aktorów przygotowywało teksty, natychmiast przy nich byli „reżyserzy” i „dekoratorzy”. Jeden z kolegów awansował na kompanijnego poetę. Deklamował swój wiersz na wszystkich akademiach, a na wieczną pamiątkę umieścił go w naszej jednodniówce.

Kompania nadal nie miała przepustek. Tylko „dekownicy” z rewii i z jednodniówki wychodzili na miasto lub jeździli do Warszawy po różne materiały, teksty piosenek, nuty lub tematy do przedstawień, a także ubrania i stroje, nawet po frak dla konferansjera.

Piątka naszych aktorów brała udział we wszystkich rewiach i akademiach, bawiąc nas groteskowym ukazywaniem wojskowego życia, demonstrując piękne głosy i duże poczucie humoru. Byli to: Mietek Bodych, Wiesiek Ilecki, Stasiak Jasiński, Włodek Kwaskowski i Mordka-Mietek Wrubel. Tylko jeden z nich, Stanisław Włodzimierz Kwaskowski, trafił później do prawdziwego teatru. Jasiński poległ w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r.

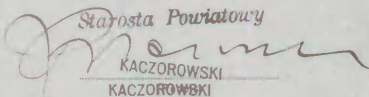
Wacek Wysocki, reprezentacyjny siatkarz i koszykarz warszawskiej „Polonii”, był niezmordowanym organizatorem

rozgrywek siatkówki i koszykówki oraz zawodów, w czasie których zdobywaliśmy Państwową Odznakę Sportową.

Ś w i a d e c t w o
państwowej odznaki sportowej

Nr. 1178

Imię i nazwisko Sturel z cenn. Kaczyński Henryk
Miejsce i data urodzenia 15. II. 1914r.
Uzyskał prawo do noszenia państwowej odznaki sportowej klasy II
(braczej) stopnia I (pierwszego), przyznanej mu
przez przewodniczącego Wojewódzkiego Stołecznego Komitetu Wychowania
Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego w Pultusku
decyzją z dnia 25. II. 1935r. L. dz. H. 5/134/35
z ważnością do dnia 31 grudnia 1936 roku

 
Przewodniczący Powiatowego Komitetu
Wych. Fiz. i Przyp. Wojsk.
Starosta Powiatowy
KACZOROWSKI
KACZOROWSKI

Świadectwo uzyskania państwowej odznaki sportowej)

Z upływem czasu nabieraliśmy nie tylko pewności siebie, ale także jakiejś twardości, szorstkości w obcowaniu z innymi. Nie spodziewanie szybko w męskim towarzystwie zapomnieliśmy o dobrym wychowaniu i o wpajanej nam od dziecka grzeczności. Zamiast „przepraszam” mówiliśmy „spieprzaj”. Staraliśmy się zawęzić nasz słownik do wyrażen gwarowych, do kilku umownych słów, prawie przekleństw, określających nasz stosunek do wielu ludzi i do różnych czynności wojskowych. A więc „zapięprzaliśmy na ćwiczenia”, dokuczliwy instruktor to był „pieprzony pistolet” lub „złośliwa menda”, nieodpowiedni kolega w drużynie to „twardy żółb”. Grupa zaprzyjaźnionych kolegów to „wiara” albo „sitwa”, a dobry kolega to „sitwes” itd.

Rodził się nie tylko nowy styl życia, ale i nowy rodzaj humoru. Coraz częściej słyszeliśmy rubaszne, prawie ordynarne dowcipy. Inaczej brzmiały rozmowy o dziewczętach. Przyzwyczajano się do zupełnej jawności w ustępach i w łaźni, co dla niektórych na początku było prawdziwym szokiem. Wszystkie czynności załatwiano się publicznie, na oczach kolegów. W głębi były „oczka” – po dziesięć obok każdej sypialni. Publiczne kucanie nad nimi, z paskiem od spodni powieszonym na szyi, rozmowy pomiędzy kucającymi były początkowo zaskoczeniem. Wkrótce wielu stwierdziło, że wtedy właśnie najlepiej smakuje ostatni papieros, i być może dlatego wieczorami „oczka” były stale zajęte.

W każdą sobotę, plutonami, chodziliśmy do łaźni, a po kąpeli zmienialiśmy bieliznę. Najbardziej wrażliwi koledzy pozbywali się resztek wstydu, gdy podczas tzw. szwancparady, zarządzanej co kilka miesięcy przez kpt. dr. Pawłowskiego, ustawialiśmy się w dwuszeręgu zupełnie nadszy. Napinaliśmy mięśnie, wypinaliśmy wątłą pierś i wciągaliśmy brzuchy, aby lepiej wyglądać podczas długich minut oczekiwania na lekarza. Dr Pawłowski, ubrany w długi biały fartuch, z małym patyczkiem w ręku, służącym do uniesienia w górę naszej męskości, dokładnie oglądał czy nie ma śladów jakiejś wenerycznej choroby bądź ugryzień przez pchły lub wszy. Obok lekarza przechodzili wzdłuż szeregu oficer dyżurny i szef kompanii, oglądając nas i głośno wyrażając uwagi i spostrzeżenia.

Dla niektórych strzelców z cenzusem dodatkowe trudności asymilacyjne w nowym środowisku polegały na tym, że dopiero teraz uczyli się samodzielności. Okazało się, że nie potrafią założyć łóżka, ułożyć wieczorem ubrania, czyścić butów, nie umyją nóg, bo nie ma łazienki z ciepłą wodą. Tymczasem tu buty na każdej zbiórce miały błyszczeć, równie należycie powinny być oczyszczone mundur, wyposażenie i uzbroje-

nie, a karabiny w stojaku stanowiły błyszczący dowód nie tylko naszych zabiegów i starań, ale także naszego stosunku do służby wojskowej.

Przed snem odbywała się wrywkowa kontrola. „Mylicie nogi?” – „Tak jest, panie plutonowy!” – „To chyba było w sobotę, kiedy prowadziłem pluton do łaźni? Jak się nazywacie?” – „Madalski” – „Generał Madalski?” – „Nie, panie plutonowy, melduję posłusznie, że strzelec z cenzusem Madalski!”. A po chwili: „Pokażcie no buty! Błoto pokrywa zelówkę! O tu, za tym gwoździem! Widzicie?” – „Tak jest, panie plutonowy!” – „Zameldujcie o tym jutro Panu Szefowi, że mieliście brudne buty i położyliście się spać z brudnymi nogami!” – „Tak jest, panie plutonowy!”.

W taki sposób metodycznie przekształcano nas w prawdziwych żołnierzy, aż nasza 200-osobowa kompania stała się zwartym zespołem. Każdy spóźniony zwrot, ruch lub chwyt nawet tylko jednego z nas stanowił rażący dysonans, zakłócał nasze dobre samopoczucie i przekonanie o najwyższej wartości naszej kompanii. Na porannej zbiórce, podczas codziennego raportu, staliśmy wyprężeni jak struny, równając wzdłuż linii idealnie prostej i w równo krytych szeregach. Każdy chwyt karabinu był wykonywany jak przez dokładnie zsynchronizowane automaty, uderzenie dłonią w kolbę to krótki, głośny trzask. Początek marszu to jedno tupnięcie o bruk dwóch setek podkutych butów. Maszerowaliśmy wyprostowani, z uniesionymi w górę głowami, krokiem równym i sprężystym.

Nawet bez popularnego powiedzenia jednego z kaprali: „Tu nie uniwersytet, tu trzeba myśleć”, było oczywiste, że w wojsku należy myśleć zupełnie inaczej niż w cywilu. Coraz częściej staramy się jak najmniejszym wysiłkiem wykonać otrzymany rozkaz. Szybko przyswajamy sobie nauki doświadczonych żołnierzy: „Najlepiej nie zgłaszać się na ochotnika! Pamiętaj,

ochotnicy wyginęli w 1920 roku!”. Wielu z nas naśladowało kadrę, przyjmując sposób opowiadania dowcipów, rozkazywania, ale także zachowanie, ton rozmów, a nawet takie drobne nawyki, jak układanie czapki na głowie lub sposób salutowania. Niekiedy strzelec z cenzusem mierzył za wysoko, wybierając niedościgły wzór do naśladowania, co prowadziło do komicznych następstw.

Mjr dypl. Stefan Górniewicz – jak już wspomniałem – imponował nam wytwornym wyglądem, kremowymi rękawiczkami pekari oraz monoklem. Pewnego dnia Zygmunt Próchno z naszej drużyny, student prawa, pochylając się nad mapą założył monokl. Musiał poprzednio ćwiczyć tę czynność, gdyż monokl osiadł pewnie w oczodole. Zygmunt, żołnierz wzorowy, dobry kolega, był tęgim, krępy, jasnym blondynem, o krótkim karku, dużej, okrągłej głowie i czerwonej twarzy o grubych rysach. Z monoklem wyglądał tak karykaturalnie, że nie mogliśmy powstrzymać śmiechu. Zygmunt, nie rozumiejąc naszych napadów śmiechu, maszerował z monoklem w oku przez Pułtusk i nawet siadał na wykładach. Dopiero po dwóch-trzech tygodniach, gdy zbyt natarczywie prosiliśmy go, aby podczas jakiejś inspekcji stanął w pierwszym szeregu, zaczął patrzeć na nas podejrzliwie i zrezygnował z noszenia monokla. Zygmunt po wielu latach został prokuratorem, a później adwokatem.

Wraz z nadejściem zimy kończył się pierwszy okres naszej służby wojskowej. Koszary już naprawdę stawały się naszym domem. Tu zamykało się całe nasze żołnierskie życie. Gdy wielu z nas przestawało już myśleć o cywilu, a Pułtusk wydawał się nam jedyną rzeczywistością, usłyszeliśmy przy wieczornym rozkaze: „w dniu jutrzejszym rozpoczynacie urlop świąteczny”. Sen mieliśmy niespokojny, nie mogliśmy doczekać się odjazdu. Po obiedzie zajęliśmy się czyszczeniem

broni i porządkami. Nie wszyscy wyjeżdżali. Kilku kolegów spędzało święta w koszarach, gdyż nie mieli rodziny. Po wczesnej kolacji odbył się ostatni przegląd urlopowiczów. Oglądano nasze wyjściowe mundury, sprawdzano czystość butów i karabiny na stojakach. Zaglądano do szafek. Wychodzimy z koszar z rozkazami wyjazdu, które są biletami bezpłatnego przejazdu na PKP oraz przepustkami na wypadek spotkania z patrolem wojskowej żandarmerii.

W sobotę 21 grudnia 1935 r. żegnamy otulone śniegiem miasto. Większość już wieczorem będzie w domu. Gdy z daleka zobaczymy światła Warszawy, wszyscy zaczniemy się spieszyć, ani na chwilę nie zapominając, że za 12 dni znowu będziemy się tłoczyć w autobusie, wracając do koszar.

Rodzice stwierdzili, że bardzo się zmieniłem i jakoś nie mieli śmiałości powiedzieć mi, abym przyniósł z piwnicy węgla do pieca, tak że musiałem na schodach zabierać ojcu kubel i klucze. Wieczorem nie mogę zasnąć, a rano budzę się o zwykłej porze. Gdy nareszcie zdaję sobie sprawę, że to nie koszary i nie będzie pobudki, przewracam się na drugi bok. W podobny sposób przeżywali swój pierwszy dzień urlopu także inni koledzy.

Przed wieczorem odprowadzam Helę do lubelskiego pociągu. Odjeżdża na świąteczne ferie do domu. Zdążyliśmy jeszcze być w kinie „Atlantic” na filmie *Nasze słońeczko* z Shirley Temple.

W poniedziałek na krótką chwilę budzą mnie o siódmej syreny fabryczne. To początek dnia pracy. W Pułtusk nie było fabryk; zamiast syren trzy razy dziennie dzwony kościelne wzywały na Anioł Pański. W Wigilię pomagam w ustawianiu i ubieraniu choinki. Sycąc się atmosferą domu, ciszą i spokojem, zaczynam zapominać o koszarach. Niechętnie wspominam Pułtusk, niechętnie snuję opowieści przed zasłuchanymi domownikami.

Nadchodził okres jakiegoś zaniepokojenia lub nawet za-
trwożenia. Na szczęście zakończyły się rozmowy o zamknię-
tych fabrykach i o bezrobociu. Gdy tylko minął wielki kry-
zys, narodził się nowy temat rozmów – zaczęto odczuwać lęk
przed wojną. Większość moich rozmówców pytała, jak nam
jest w wojsku, czy jesteśmy dobrze uzbrojeni, czy szykujemy
się do wojny, czy damy radę Niemcom, co będzie z Rosją?
Nie dziwiły te pytania. Przecież dopiero 15 lat trwał pokój na
naszych ziemiach.

W święta, śpiewając kolędy, staraliśmy się nie myśleć o tych
zagrożeniach. Dni poświęteczne minęły bardzo szybko, tym
bardziej, że pogoda się popsuła. Nadeszła odwilż, padał deszcz
ze śniegiem. Niektórzy z kolegów nie mogli doczekać się po-
wrotu do Pułtusa – okazało się, że odpowiada im koszarowy
tryb życia.

Nieprędko zapomnieliśmy o tych świętach. Jeden z ko-
legów z 2 drużyny nie wrócił. Myśleliśmy, że zachorował.
Niestety, pocztą nadeszła paczka z mundurem i zawiado-
mienie o samobójczej śmierci Ryszarda Baude. Zastrzelił
się z pistoletu ojca, właściciela piekarni w Milanówku. Był
dobrym kolegą. Lubiliśmy go. Ze wszystkimi żył w zgodzie,
nigdy nie denerwował się, nie kłócił, z nikim nie miał żad-
nego zatargu. Oficerowi dochodzeniowemu z dowództwa
dywizji, który przesłuchiwał najbliższych sąsiadów z sypial-
ni, nikt nie mógł udzielić żadnych istotnych informacji. Jego
reakcje, rozmowy i narzekania były najzupełniej normalne.
Był studentem politechniki, zaliczył już połowę egzaminów,
nauka szła mu dobrze. Wszyscy sobie teraz uświadomili, że
ostatnio był jakiś daleki od naszych spraw i drobnych kosa-
rowych problemów. Nie cieszył się zbliżającymi się świętami.
Był obojętny i apatyczny. Ktoś opowiadał, że przyczyną tego
desperackiego kroku mogła być niewierność dziewczyny, po-

dobno narzeczonej. Na pogrzeb wyjechała delegacja IV kursu z wieńcem od kolegów podchorążych.

Niestety, nie był to jedyny wypadek samobójstwa. W sierpniu 1936 r., na kilka tygodni przed zakończeniem naszej służby wojskowej, zabił się strzałem ślepaka w usta nasz kolega podchorąży. Służbę wojskową kończył praktyką w 13 pp. Któreś niedzieli wybrał się z przyjacielem do restauracji przy Rynku na obiad zakropiony półlitrem wódki. W dobrych humorach obaj odwiedzili prostytutkę. Po pewnym czasie okazało się, że zostali zarażeni chorobą weneryczną. Przyjaciel po zakończeniu służby wojskowej kurował się przez kilka miesięcy u warszawskiego felczera i choroba minęła, on sam natomiast obawiał się powrotu w tym stanie do domu. Gdy koledzy wyolbrzymiali niebezpieczeństwo, strach o przyszłość odebrał mu zdolność logicznego myślenia. Ze wstydu przed rodziną i z obawy przed gniewem ojca odebrał sobie życie.

Te tragiczne wydarzenia dość szybko jednak znikwały z naszej pamięci.

Po świątecznej przerwie szkolenie przebiegało planowo i wizytujący nas gen. Antoni Szylling coraz częściej wyrażał uznanie. W dalszym ciągu przed południem mieliśmy zajęcia na Popławach, ale na szczęście bez musztry. Wzdłuż drogi do Psar lub Bartodziej ćwiczyliśmy „patrol na rozpoznaniu” lub „ubezpieczenie w marszu”. Zadania otrzymywaliśmy różne: szpica przednia, oddział przedni straży przedniej, straż tylna, straż boczna. Później doszły ćwiczenia obrony i natarcia.

Każdego dnia po obiedzie mieliśmy wykłady: teoria strzału, działo piechoty 75 mm, broń pancerna, obrona przeciwpancerna i przeciwlotnicza, wojna chemiczna. Mimo zdobywania coraz to nowych wojskowych wiadomości i poznawania regulaminów, obowiązywał nas nadal zakaz opuszczania koszar.

Wolny czas poświęcaliśmy na czytanie gazet i książek oraz na pisanie listów. Gdy zniesiono zakaz opuszczania koszar, zaczęliśmy wychodzić do miasta. Przyznaliśmy wtedy rację naszemu kapitanowi, że nie było tam nic ciekawego, zwykła prowincjonalna dziura. Obskurne kino z małą salką ze sceną, na której kilka razy w roku wystawiał sztuki teatr objazdowy; czasem pojawiał się wędrowny cyrk; kilka kawiarni, w których raz w tygodniu były świeże ciastka, a kawa zawsze niedobra; cztery restauracje – w tym jedna ze stołami bilardowymi, przy których wieczorami kręcili się młodzi oficerowie; skromne sklepy wokół Rynku. Niewielkie urozmaicenie dla mieszkańców stanowiły dwie orkiestry pułkowe: dęta i jazzowa, które swoimi występami uświetniały różne uroczystości i okolicznościowe akademie.

Któregoś popołudnia, na kilka dni przed wyjazdem na świąteczny urlop, urządzono nam alarm. Zgodnie z otrzymanymi poprzednio instrukcjami mieliśmy stanąć na zbiórce w pełnym rynsztunku, ze zrolowanym kocem i zapasową parą butów, umocowaną na plecaku. Kadra zebrała się w komplecie. Największą trudność sprawiało nam zrolowanie koca w równy walek, który należało umocować wokół plecaka, przypinając trzema małymi paskami. Stanęliśmy na zbiórce dość szybko, w czasie nie odbiegającym od przewidywanego dla dobrze wyszkolonych żołnierzy.

Pod koniec stycznia, w kilka dni po uroczystej akademii z okazji 73. rocznicy powstania styczniowego, urządzono nam alarm nocny. Większość z nas spała, gdy niespodziewanie otworzyły się drzwi do naszej sypialni od strony kancelarii i głównych schodów. Ci nieliczni, którzy jeszcze nie usnęli, zobaczyli w smudze światła elektrycznego sylwetkę naszego kapitana. Gdy w towarzystwie strzelca służbowego przechodził środkiem sypialni, potknął się o coś. „Czo to za belka

leży na szrodku? Mało sze nie przewróciłem!” — powiedział głośno, i dodał: „Zarządźcie alarm! Trzeba to natychmiast sprzątnąć!”.

Kapitan przeszedł do drugiej sypialni, gdzie powtórzyła się historia ze słomką, a tymczasem służbowy wydierał się: „Alarm! Alarm!” – najpierw u nas, później w sypialniach cekaemistów i konusów. Na szczęście od razu zapalono światło. Zerwaliśmy się z łóżek. Ubieraliśmy się automatycznie: spodnie, skarpetki, onuce, buty, owijacze, bluza. Znowu najtrudniej było rolować kocy. Pamiętając o zasadzie: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!” – kto był szybszy, pomagał innemu rolować koc. Przed zbiórką zdążyliśmy jeszcze dokładnie się obejrzeć, usuwając wszystkie dostrzeżone usterki.

Nadeszli zbudzeni przez służbowego, być może wcześniej zawiadomieni, dowódcy plutonów, aby razem z kapitanem kontrolować nasze wyszkolenie. Wydaje się, że wszyscy byli zadowoleni, gdy po kilkunastu minutach staliśmy na zbiórce, gotowi do przeglądu. Kapitan zarządził uroczyste wynoszenie na kocu znalezionej w naszej sypialni kilkucentymetrowej słomki. Schodziliśmy na dziedziniec w uroczystym pochodzie i w wesołym nastroju. Najpierw maszerował I pluton jako straż przednia, za nim drugi – z dwoma słomkami na kocu, a na końcu resztką kompanii.

Może obeszłoby się bez długiej gonitwy wokół dziedzińca, gdyby nie nasz głośny śpiew o pogrzebie kawałka słomy na nutę: „W mogile ciemnej...” Może to beztroskie zachowanie spowodowało wybuch wściekłości kapitana, a może naprawdę niepotrzebnie zbudziliśmy żołnierzy śpiących w innych budynkach koszarowych. Alarm zakończył się dopiero po dwóch godzinach, w połowie nocy. Na dworze był lekki mróz, a nad nami rozciągało się wygwieżdżone zimowe niebo. Po długiej gonitwie wokół dziedzińca, gdy już byliśmy solidnie zmęczeni

i spoceni, pozwolono nam wrócić do koszar. Polecono, abyśmy błyskawicznie wskakiwali do łóżek. Ale to nie było takie łatwe. Nie dowierzając kapitanowi, chcieliśmy wszystko zostawić w regulaminowym porządku. Czyściliśmy karabiny, porządkowaliśmy zawartość szafek, rozbebeszonych podczas alarmu. Rozbieraliśmy się dość wolno. Nie chciało się nam spać. Wielu wybrało się do umywalni, na pogawędkę połączone z wypaleniem papierosa. Gdy rozwścieżony kapitan zobaczył, że nareszcie ułożyliśmy się w łóżkach, po raz drugi zarządził alarm. Ale tym razem już nam się nie spieszyło. Dopiero po 25 minutach byliśmy gotowi do zbiórki. Na dwór już nie wychodziliśmy. A gdy ktoś zobaczył, że kapitan z kilkoma oficerami opuszcza koszary, zaczęliśmy się spokojnie rozbierać. Gadaliśmy do późnej nocy, oceniając, że był to naprawdę niezapomniany wieczór. Tak zakończył się jedyny, ale za to podwójny alarm nocny na IV kursie.

Szare dni służby wojskowej rozjaśniła nam rewia wystawiona przez naszych kolegów. Przypomniane różne wydarzenia z okresu rekruckiego z perspektywy kilku miesięcy straciły wiele ze swej ostrości. Tytuł dopasowano do wspomnień „Byczo było!”. Grała pułkowa orkiestra jazzowa. Konferansjerem był jeden z kolegów, ubrany we frak, mówiąc dowcipy, zapowiadał kolejne numery. Inny kolega przebrał się za kobietę, zakładając perukę, którą tak jak i kompletny strój kobiecy przywiózł z Warszawy. Razem z nim pojechał też konferansjer po frak. W ten sposób spędzili w domu dwa dni przed przedstawieniem i dwa po przedstawieniu, gdy odwozili rekwizyty.

Prawie wszystko co usłyszeliśmy było już wielokrotnie powtarzane w radiu i w różnych teatrzykach Warszawy, ale teraz artystami byli nasi koledzy, a przedstawienie mówiło o naszych kłopotach, bólach i radościach. Śpiewał nasz chór

rewelersów, wystawiano cztery skecze, recytowano wiersze, odegrano na skrzypcach dwa utwory Wieniawskiego, stare piosenki poddano przeróbce.

W pierwszym rzędzie zasiedli dowódca pułku ze sztabem, kpt. Cicharski z żoną, oficerowie, a także co ważniejsi urzędnicy ze starostwa i z magistratu.

Po kilku przedstawieniach w miejskiej sali kinowo-teatralnej „Byczo było” wystawiono w pobliskich miasteczkach: w Wyszku, Nasielsku i Makowie Mazowieckim. Pierwszego lutego, z okazji imienin prezydenta Ignacego Mościckiego, zorganizowaliśmy akademię, na której po przemówieniu jednego z naszych prawników ogłoszono kilka patriotycznych wierszy, a na zakończenie duet skrzypcowy odegrał jakiś mało znany utwór.

W połowie lutego rozpoczęły się manewry zimowe.

W dniu wymarszu pobudka była wcześniej. Szybko jedliśmy śniadanie, denerwując się trochę tym, co nas czeka. Dostaliśmy ćwiczebną amunicję, tzw. ślepaki. Jeszcze Pułtusk tonął w nocnych ciemnościach, gdy pułk długą kolumną wyruszył w kierunku Szekowa i Różana. Mróz nie był wielki, około minus 10°C, ale bardzo dokuczał północny wiatr, wiejący prosto w twarz i zmiatający śnieg z drogi. Na szosie było tak ślisko, że źle podkute chłopskie konie nie mogły się utrzymać. Nam także trudno było maszerować, gdyż na zelówkach pomiędzy gwoździemi zbiła się twarda skorupa zmarzniętego śniegu. Szliśmy dość wolno. Kurs maszerował jako ostatni. Na końcu każdej kompanii jechały biedki z cekaemami i amunicją, wóz taborowy i dymiąca kuchnia polowa. Zapach grochówki i wędzonego boczku ciągnął się wzdłuż kolumny.

W połowie dnia, po wyjątkowo smakującym nam obiedzie, który jedliśmy chowając się przed wichurą za budynkami Szekowa, zaczął padać śnieg. Temperatura spadła. Z wozów

taborowych zeskakiwali szukający chwilowego odpoczynku zmęczeni żołnierze, gdyż siedzenie bez ruchu na mrozie groziło odmrożeniem kończyn. Nasz marsz w zamieci śnieżnej stał się wielką udręką. Kolumna rozciągała się nadmiernie, poganiano zwalniających, obawiając się, że jeśli żołnierz usiądzie w rowie przy drodze, to może zamarznąć. Na końcu naszej kompanii siedł por. Matykaszwili, pilnując, aby nikt nie zostawał. Nie bawił już nas wojskowymi dowcipami i widać było, że z trudem idzie po wyslizganej drodze. Nasz marsz wyglądał ponuro i beznadziejnie. Ktoś powiedział: „Tak Wielka Armia wracała spod Moskwy!”.

Moja twarz pokryła się warstwą soli lub zamarzniętego potu. Prawdopodobnie wyglądałem niesamowicie, gdyż co pewien czas któryś z kolegów stwierdzał, że na pewno odmroziłem sobie policzki wraz z brodą i proponował rozcieranie śniegiem. Te 30 km dzielące Pułtusk od Różana szliśmy około 10 godzin. Najbardziej uciążliwy był ostatni odcinek: przejście przez most na Narwi i ulicami, na których wiatr utworzył wielkie zasy śnieżne.

Z największym trudem dotarliśmy do koszar Szkoły Podchorążych. Podchorążowie, kandydaci na zawodowych oficerów, wymaszerowali tego ranka na teren naszych wspólnych ćwiczeń zimowych. Pozorowali oddziały nieprzyjaciela, „czerwonych”, gdy my mieliśmy być stroną „niebieską”. Dostaliśmy do dyspozycji dużą salę gimnastyczną, każdy kąt przydzielono innemu plutonowi. Byliśmy bardzo zmęczeni i przemarznięci. Okazało się, że niektórzy mieli odmrożone palce u nóg, czubki palców u rąk lub policzki. Rozpoczęło się nacieranie śniegiem zbieleńszych miejsc tak długo, aż naskórek w zagrożonych miejscach nabrał różowego koloru. Biała powłoka z mojej twarzy okazała się szczęśliwie tylko warstwą zmarzniętego potu.

Nikt nie myślał o myciu ani o jedzeniu. Rozkładano koce, szykując sobie miejsce do wyciągnięcia się. Kapitan przyjechał samochodem, gdy znalazł się w naszej sali, zaczął wydawać rozkazy.

Na okres manewrów pluton cekaemów rozdzielono pomiędzy trzy pozostałe plutony strzeleckie. Drużynowych i dowódców plutonów wyznaczono spośród nas. Drużyna służbowa miała wystawić posterunki wartownicze na korytarzu i przed budynkiem.

Po osiągnięciu koszar w Różanie byliśmy wyczerpani, półprzytomni ze zmęczenia, z ograniczoną zdolnością prawidłowego myślenia, podnieceni i, mimo panującego wśród nas koleżeństwa, chętni do zwady. Pewnie wskutek wysiłku, jaki włożyliśmy w walkę z mrozem, wichurą, zadymką i ślizgawicą na drodze. W takiej atmosferze wydarzył się nieprzyjemny incydent. Dowódca służbowej drużyny Piotr Kołakowski, spokojny, nie zwracający niczyjej uwagi nauczyciel z Kurpiowszczyzny, wyznaczył Bolka Kordysza z plutonu cekaemów do pełnienia warty na ulicy, przed budynkiem. Kordysz miał odmrożony palec u nogi i kończył rozcieranie śniegiem zmarzniętej stopy. Trudno ocenić, czy to właśnie on powinien pełnić dwugodzinną służbę na mrozie, ale taki wydano rozkaz i każdy z nas wiedział, że nie powinno się go odwoływać, aby nie obniżyć autorytetu dowódcy. Gdy kapitan ponownie zajął do sali i powtórzył zbyt głośno rozkaz o wystawieniu posterunku na zewnątrz budynku, Kołakowski niepotrzebnie się zdenerwował na Kordysza, który nie bardzo się spieszył do stania na mrozie, choć nie odmówił wykonania rozkazu. Gdyby to wydarzyło się w innych warunkach, można byłoby zapobiec niefortunnemu rozwojowi wypadków, ale akurat wszyscy byli skłonni do kłótni, łatwo było o awanturę z byle powodu. Gdy Kordysz po założeniu butów nareszcie wstał, Kołakowski,

wystraszony krzykami kapitana, zaczął ociągającego się kolegę popychać, żądając natychmiastowego odejścia na posterunek. Obustronną szarpaninę i popychanie zakończył cios Kordysza, wymierzony w twarz Kołakowskiego. Był to prosty, niezbyt mocny cios bokserski, a nie spoliczkowanie. Nie o cios jednak chodziło, lecz o nadwerężony honor przyszłego oficera, gdyż było zbyt wielu świadków tej sceny. Por. Rycaj, zawiadomiony o incydencie, zapytał Kołakowskiego, dlaczego wybrał do pełnienia służby na dworze kolegę z odmrożoną nogą. Mimo braku wyjaśniającej odpowiedzi rozkazał Kordyszowi rozkaz wykonać, obiecując, że dopilnuje, aby po dwóch godzinach został zwolniony z posterunku.

Odczuliśmy to jako dążenie do załagodzenia nieprzyjemnego zajścia. Kordysz stanął na posterunku, rozkaz został wykonany, ale pozostała jeszcze niezłatwiona sprawa naruszenia honoru. Tyle nam mówiono o honorze, a na wykładach czytano obszerne fragmenty książki Wł. Bożewicza *Ogólne zasady postępowania honorowego — kodeks honorowy*.

Kołakowski wybrał niewłaściwą drogę. Niepotrzebnie zaczął szukać zemsty. Po powrocie do koszar stanął do raportu i złożył skargę na kolegę. Bolka Kordysza usunięto ze Szkoły Podchorążych, kierując go do 13 pp, aby odsłużył półtoraroczną służbę wojskową. Było to dla niego swego rodzaju tragedią. Odpruł dystynkcje, białe-czerwone sznurki, odpiął „SPR”-ki. Dostał jakąś kancelaryjną pracę w magazynie broni. Unikał spotkań z nami. Służył jeszcze przez rok. Kołakowski natomiast został moralnie potępiony przez ogromną większość kolegów. Niektórzy demonstracyjnie odwracali się od niego, inni nie podawali mu ręki, obciążając go winą za doprowadzenie do zatargu. W przekonaniu ogółu kolegów najgorsze było to, że zamiast rozstrzygnąć sprawę zgodnie z *Kodeksem honorowym* przez Sąd Koleżeński, skierował ją na drogę po-

stępowania służbowego i spowodował wyrzucenie kolegi ze Szkoły Podchorążych.

Po wielu tygodniach nasi koledzy usłyszeli od któregoś oficera, że Kordyszowi zaszkodziła opinia z miejsca zamieszkania. Pytano o to mnie, gdyż wiadano o naszej przyjaźni – razem byliśmy w pruszkowskim gnieździe „Sokoła”, ja przez pewien czas byłem sekretarzem, a Bolek, świetny gimnastyk, zastępował naczelnika.

Następnego dnia naszych zimowych manewrów pogoda się zmieniła. Ustał wiatr. Temperatura się podniosła. Po śniadaniu pułk pomaszerował w kierunku Goworowa. Współdziałaliśmy z dywizyjnym Kursem Podchorążych oraz z innymi jednostkami 18 DP z Łomży, a naszym przeciwnikiem była zawodowa Szkoła Podchorążych Piechoty. Teren manewrów rozciągał się pomiędzy miejscowościami: Różan, Ostrów Mazowiecka, Zambrów i Śniadowo.

Po kilku godzinach marszu na rozległym polu pokrytym śniegiem przeprowadzaliśmy ćwiczenia współpracy z lotnictwem. Gdy nadlatywał niewielki jednopłatowy samolot rozpoznawczy, po stwierdzeniu znaków tożsamości rozkładaliśmy na śniegu, płachty sygnalizacyjne. Lotnik zrzucił w oznaczone miejsce rozkazy w długiej, wąskiej, obciążonej piaskiem torbie. Aby przekazać nasze meldunki, ustawialiśmy na odkrytym wzgórzu dwie kilkumetrowe tyczki, a pomiędzy nimi rozciągaliśmy sznur z przyczepionym woreczkiem, w którym była korespondencja do naszego dowództwa. Pilot imponował nam wyszkoleniem. Naprowadzony na cel płachtami sygnalizacyjnymi, zniżył lot do wysokości kilku metrów, a siedzący za nim obserwator wychylił się z kabiny i linką zakończoną haczykiem złapał woreczek z korespondencją. Po chwili przesyłka znalazła się w kabinie. Pilot zatoczył nad nami koło i odlatując pomachał na pożegnanie skrzydłami.

Bardzo nam się to ćwiczenie podobało. Zastanawialiśmy się jednak, czy w nadchodzącej wojnie w taki sposób będzie trzeba komunikować się z dowództwem. Ktoś uparcie twierdził, że to tylko mydlenie oczu, aby nie pokazywać nowoczesnego wyposażenia i najnowszych radiostacji.

Po obiedzie, jedzonym z menażek na skraju jakiegoś lasu, przeprowadzano pozorowane natarcie pułku piechoty na stanowiska „nieprzyjaciela”, przy wsparciu własnej artylerii. Gdzieś z tyłu, daleko za nami, ustawiono kilka baterii artylerii lekkiej. Pociski rozrywały się kilkaset metrów przed nami, tworząc jak gdyby wał ogniowy przesuwający się do przodu, torując nam drogę i niszcząc nieistniejące stanowiska „nieprzyjacielskie”. Wrażenie było bardzo silne. Przelatujące nad nami pociski rozrywały się na polu w odległości 100-200 m przed naszą nacierającą tyralierą, wyrzucając w górę śnieg i grudy zamrożonej ziemi. Dowódcy poganiali. Powoli, początkowo ociągając się, idziemy do przodu. Po pewnym czasie przyzwyczajaliśmy się do artyleryjskich wystrzałów z tyłu, do przelatujących wysoko nad nami świszczących pocisków i do widocznych wybuchów. Artyleria strzelała bardzo celnie.

Mieliśmy przedsmak prawdziwej bitwy, o jakiej czytaliśmy w wielu książkach, jaką oglądaliśmy w wojennych filmach. Ćwiczenia zakończyła rakietą wystrzelona przez rozjemcę. Na kwatery pomaszerowaliśmy do pobliskiej wioski. Każdemu plutonowi przydzielono jedną chałupę, konie zaprowadzono do stajni, na podwórkach ustawiano biedki, wozy taborowe i kuchnie polowe. Wszystkie budynki były drewniane, pokryte słomą. Domy podobne do siebie. Z podwórka wchodziło się do obszernej sieni, w głębi której na grzędach nocowały kury. Po prawej stronie była duża izba z dwoma niewielkimi oknami, z piecem chlebowym i kuchnią, w której palono drewnem. Stał tu kredens i jakaś stara szafa. Na podłodze z ubitej gliny leżał samodziślowy chodnik.

Przemarznięci koledzy zdejmują z siebie wojskowy rynsztunek i rozsiadają się na drewnianych, prostych krzesłach, ustawionych wokół stołu, i na długich ławach stojących pod ścianami. Gospodarze dostaną wynagrodzenie za nasz nocleg, więc gościnnie zapraszają nawet na dłuższy pobyt. Kupujemy kilkadziesiąt jajek oraz, choć mamy wojskowe suchary, wielki bochen niedawno upieczonego chleba. Gospodyni, zaskoczona wysoką ceną, jaką płacimy za produkty, dodaje pokrojoną w plasterki wysuszoną słoninę, którą dobrze podsmaża. Jajecznice jemy swoimi łyżkami z wielkiej patelni. Popijamy gotowanym mlekiem. Podśpiewując przy tak wspaniałej kolacji, zapominamy o kuchni polowej, w której kucharz szykuje kaszę gryczaną ze skwarkami i wojskową kawę.

Po drugiej stronie sieni znajduje się duży pokój z dwoma szerokimi łózkami ze stertą poduszek oraz bielizniarką i nową szafą. Na środku stoi duży stół przykryty serwetą, otoczony krzesłami rzeźbionymi w ludowe wzory. Na stole lampa naftowa, a nad nią rozwieszony pod sufitem kolorowy pająk z bibułki i słomy. Czysto tu, ale zimno, gdyż nie było pieca – zawsze jednak cieplej niż na dworze. Wielu kolegów szykuje sobie pośłanie na podłodze zbitej z desek.

Nie wszyscy zmieścimy się w izbach. Po kolacji szukamy miejsca w stodole. Wchodzimy po drabinie na górę, karabiny opieramy o ścianę zbitą z desek i okręceni w dwa koce wciskamy się w słomę. Przez szerokie szpary wiatr wpędzał wilgotne płatki śniegu, na pewno było zimniej niż w chałupie. Na szczęście gospodarz pokazał nam za stodołą wielki stóg siana, okryty grubą warstwą śniegu. Otwór, zasłonięty drewnianym blatem, prowadził do obszernej jamy, w której zmieściliśmy się we trzech. Nie rozbieraliśmy się. Karabiny leżały obok nas, spaliśmy otuleni kocami, grubą warstwą siana dokładnie izolowani od wiatru.

Obudziła nas pobudka. Po śniadaniu ruszamy do natarcia na rozpoznane przez naszych zwiadowców, dobrze zamaskowane stanowiska „nieprzyjaciela”. Rozsypujemy się w tyralierę, regulaminowo padamy, szukając dołków i zagłębień. Przy wsparciu własnej broni maszynowej posuwamy się naprzód, wykorzystując przerwy w ogniu „nieprzyjaciela”. Gdy, przygotowani do szturm, zakładamy bagnet na broń i zrywamy się z okrzykiem „hura”, aby ostatnim, dość długim skokiem dotrzeć do stanowisk „czerwonych”, rozjemcy zarządzili koniec manewrów. Z różnych kierunków dolatywały do nas sygnały wygrywane przez trębaczy. Powstawali ukryci żołnierze. Na rozległym polu zrobiło się rojno i gwarno. Niedługo wracamy na podstawę wyjściową, gdzie czekają kuchnie polowe z obiadem. Nocujemy w tych samych koszarach Szkoły Podchorążych i następnego dnia maszerujemy z Różana do Pułtusza.

Byliśmy zmęczeni, ale szczęśliwi. Oto zakończyła się jeszcze jedna wojskowa przygoda. O wielkiej i dokuczliwej zamieci zapomnieliśmy szybko. Na szczęście nikt nie zachorował, a pobyt w łaźni przywrócił nam całkowitą pogodę ducha. Wystarczyło kilka dni, abyśmy zaczęli wspominać manewry zimowe jako pomyślnie zdany wojskowy egzamin dojrzałości. Byliśmy młodzi. Pragnęliśmy nie tylko wielkiej miłości czy przyjaźni, ale także przygód, wędrówek, silnych wrażeń i być może dlatego zaczęliśmy wspominać te manewry z dużym sentymentem. Poczuliśmy się prawdziwymi żołnierzami, mieliśmy za sobą pewien przedsmak wojny. Wyczerpujący marsz, kanonada artyleryjska, natarcie na pozycje „nieprzyjacielskie”, nocleg w wiosce – to wszystko przypominało opisy wojennych przeżyć w książkach naszej młodości.

W kilka dni po zakończeniu manewrów zimowych zawiadomiono nas, że na sobotnie wieczory i na niedzielne popołudnia zostaje zniesiony zakaz opuszczania koszar, pod warun-

kiem powrotu na capstrzyk. Służbowy kontrolował wygląd wychodzących i zapisywał ich nazwiska.

Chodniki Pułtуска zapępniały się mundurami. Wszędpie było nas dużo, na ulicach, w parku i na rynku. Zwiedzaliśmy stare kościoły, z daleka patrząc na drewniany most, po którym dowolnym krokiem wędrujemy na Popławy, i na ten drugi, o betonowych filarach, którego budowa przeciągała się w nieskończoność. Dość szybko stwierdziliśmy, jak niewiele było tu ciekawych miejsc. Dopóki trwała zima, już nic nas nie ciągnęło do miasta. W niedzielne popołudnia wychodzili jedynie ci, którzy wcześniej nawiązali znajomości z dziewczętami ze szkół pułtuskich i byli zapraszani na popołudniowe herbatki w gronie rodziny. O ile mi wiadomo, tylko jeden z nas, Antoś Mikulski, znalazł tu partnerkę na resztę życia. Większość strzelców z cenzusem dopiero na wiosnę, gdy Pułtusk zazielecił się i wypiękniał, wybierała się z poznanymi dziewczętami na spacer y po parku lub na wędrowki po łąkach. Czasami wynajętą łódką, mieszczącą sześć osób, pływaliśmy przez kilka godzin po Narwi, śpiewając lub słuchając szkolnych opowieści naszych współtowarzyszek.

W końcu lutego IV kurs wizytował gen. dyw. Mieczysław Norwid-Neugebauer, inspektor armii, jeden z najciekawszych ludzi z czasów, gdy rodziła się legenda I Brygady Legionów. Usłyszeliśmy słowa uznania za naszą dobrą żołnierską postawę i za wysoki poziom wyszkolenia.

Większość kolegów w marcu otrzymała stopnie st. strzelca z cenzusem i naszyła po jednej belce na naramiennikach. Mówiono wtedy: „frajter nie szarża!” Dekadowe wynagrodzenie wzrastało do 1 zł 10 gr. Mnie awans ominął. Po kilku tygodniach por. Rycaj, już jako dowódca I plutonu, powiedział: „...pamiętam waszą postawę w czasie zimowych manewrów, proponowałem awans, ale nic nie dało się zrobić! Musieliście za coś podpaść u kapitana”.

Wzór Nr. 18a.

Komisja poborowa w Pruszkowie
 (Komisja poborowa dodatkowa w)
 Starostwo pow. w Warszawie
 Nr listy poborowej 2374/m

ZAŚWIADCZENIE.

Stracykowski Henryk urodzony w roku 1914 w Pruszkowie
(miejscowość, gmina, powiat)
 syn Jana i Marianny Hojek zamieszkały w Pruszkowie
(nazwa rodziców i ewentualnie panieńskie nazwisko) (dokładny adres)
 stanął w dniu 28 MAJ 1935 r. przed komisją poborową
 w Pruszkowie i został uznany za:
ZDOLNEGO DO CZYNNEJ SŁUŻBY WOJSKOWEJ kat. **A**

Pruszków, dnia 28 MAJ 1935 r.
Wmili
(Podpis przewodniczącego komisji)

Format 210 X 145 mm.
 Drukarnia Państwowa Nr 78045, 19 II 35, 22 000.

Zaświadczenie komisji poborowej

W kilka dni później nastąpiło pozornie drobne wydarzenie, świadczące jednak o tym, że niektórzy z mało ważnych powodów łamali naszą dotychczasową solidarność. Wracaliśmy z Popław do Pułtusa po ćwiczeniach. Gdy przeszliśmy bramę koszar, st. sierż. Dębiński, także solidnie zmęczony, zapytał: „Kto na ochotnika poprowadzi kompanię!”. Zgłosił się st. strz. z cenzusem Zygmunt Duszyński¹⁰. Byliśmy przekonani, że gdy zbliżymy się do naszego budynku, usłyszymy zwyczajowe: „Od czoła rozejść się!” A tymczasem nasz kolega

¹⁰ Zygmunt Duszyński, prymus plutonu cekaemów IV kursu, w latach okupacji był członkiem PPR i oficerem Sztabu Głównego AL. W lipcu 1944 r. organizował w Lublinie Milicję Obywatelską, w listopadzie tego roku był organizatorem i dowódcą żandarmerii przy Sztabie Głównym WP; mianowany dowódcą 16 DP, w 1947 r. awansowany do stopnia generała brygady, następnie dywizji i broni. Zmarł w 1973 r.

postąpił inaczej – zaskoczył wszystkich donośnym okrzykiem: „Kompania na moją komendę! Równaj krok! Raz, dwa! Raz, dwa! Baczność!” Był oburzony, że krok nierówny, rytm nie zachowany, a kompania źle przybija na wyboistym bruku. Ku naszemu zaskoczeniu Duszyński skierował kompanię wzdłuż drogi, wokół dziedzińca, z ominięciem naszego budynku. Do przejścia mieliśmy kilkaset metrów. Gdy wyszliśmy na ostatnią prostą, rzucił komendę: „Równy krok! Raz, dwa! Raz, dwa!”. Byliśmy naprawdę zmęczeni, więc wzburzyło nas zachowanie kolegi. Maszerowaliśmy coraz gorzej, na złość. Niecodziennym wydarzeniem zainteresował się st. sierż. Dębiński. Podszedł do nas i ostrzegł, abyśmy słuchali dowódcy. Po kilku okrążeniach podwórka, gdy wyczuliśmy, że Dębiński ma zamiar przejąć komendę, musieliśmy poddać się woli naszego kolegi. Klnąc półgłosem, zaczęliśmy poprawnie maszerować. Nie rozumieliśmy, jak jeden z nas, zmęczony jak i my, może z własnej woli, a nie na rozkaz, gonić kolegów wokół dziedzińca.

Wobec tego, że historia powtórzyła się następnego dnia, a rozmowy przeprowadzane z Duszyńskim nie dawały rezultatów, postanowiono w najbliższą sobotę, podczas kąpieli, zastosować pewną formę samosądu koleżeńskiego, tzw. kocówę. Koc i pasek mieliśmy wziąć z łóżka i z szafki ukaranego. Na szczęście nie doszło do tego. W piątek wieczorem Duszyński pojechał z nami na przepustkę do Warszawy i wtedy, w gronie kilku kolegów, opowiedział o swoich odczuciach: „Gdybyście wiedzieli, co to za przyjemność, gdy cała kompania równo maszeruje na moją komendę! Gdy dwustu ludzi słucha mojego rozkazu!” Nie rozumieliśmy, na czym ma polegać ta przyjemność, i ostrzegliśmy go, że na pewno po jeszcze jednym takim karnym ćwiczeniu zostanie obity przez kolegów. Radziliśmy, aby poczekał do sierpnia, wtedy będzie mógł mustrować rekrutów. Rady tej posłuchał. W taki sposób kształtowali się późniejsi generałowie.

Na pewno Zygmunt Duszyński był dość rzadkim okazem mężczyzny-wojownika. Niski wzrost utrudnił mu wstąpienie do zawodowej szkoły oficerskiej. Żołnierzem był naprawdę dobrym. I lokata w plutonie cekaemów nie pomogła mu jednak w zabiegach o przyjęcie do zawodówki. Być może to pewien kompleks niższości wywoływał pragnienie podporządkowania sobie innych.

W tym czasie nasi prawnicy z 2 drużyny odjechali do Centrum Wyszkożenia Broni Pancernych. Przyzwyczajaliśmy się już do nich. Byli jacyś bardziej dorośli od nas. To właśnie oni wygłaszali różne pogadanki oraz organizowali zbiórkę pieniędzy na kupno kwiatów do jadalni. Od razu zrobiło się jaśniej, gdy na stołach ustawiono po dwa hiacynty. Utrwalił się ten zwyczaj i do końca naszej służby w Pułtusku składaliśmy się na kwiaty.

Najpierw odjechało czterech: Nagórski, Okulicz, Smotrycki oraz Tadek Kobus z plutonu cekaemów. Po kilku dniach dołączył do nich Radziejewski, podobno na osobiste polecenie gen. Kasprzyckiego, dobrego znajomego rodziny. Radziejewski był najstarszym z grupy prawników. Typowy pyknik, o krótkiej szyi i dużej głowie, z pierwszymi oznakami otyłości, był zawsze pogodny i żartobliwy, dał się poznać jako dobry kolega. Podczas rewii doskonale recytował wiersze swojego ulubionego autora – Rudyarda Kiplinga – o indyjskich piechurach, którym piach pustyni utrudniał marsz. W następnych rewiach nie było już Kiplinga. Inny kolega, wywołując burzę oklasków, mówił wiersz gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego *Ułańska jesień*.

Dla dr. praw Radziejewskiego przeniesienie to zakończyło się tragicznie. Podobno miał jakąś poważną wadę serca. Nie powinien służyć w wojsku, ale w tamtych latach mało kto rezygnował ze służby w Szkole Podchorążych. Komisja woj-

skowa nie zakwalifikowała go do służby w broni pancernej, interweniował więc aż u ministra. Przydział otrzymał, ale już podczas próbnej jazdy czołgiem na poligonie zmarł na atak serca.

Pewnego dnia kpt. Cicharski wyjechał na kilkudniowy urlop, a zastępujący go por. Matykaszwili obiecał udzielić dwudniowych przepustek do Warszawy. Dwunastu otrzymało zgodę na wyjazd, pod warunkiem zostawienia wszystkiego w idealnym porządku i powrotu w niedzielę wieczorem. Były to pierwsze po sześciu miesiącach naszej służby wojskowej przepustki. Mieliśmy odjechać z Pułtusza w piątek, około godz. 19. Tymczasem kpt. Cicharski niespodziewanie wrócił po obiedzie. Przeczuliśmy zbliżającą się burzę. Około godz. 16 sierżant szef wezwał do kancelarii tych wszystkich, którzy mieli otrzymać przepustki. Zjawiała się tylko połowa, pozostali zrezygnowali z wyjazdu. Ale okazało się, że zameldować się muszą wszyscy, którzy stawali do raportu. I wtedy, na oczach rozbawionej kompanii, rozpoczął się pokaz pomysłowości naszego dowódcy.

Spodziewaliśmy się różnych złośliwości, ale tego co nastąpiło, nie przewidział nikt. Stojąc w wyrównanym szeregu, przed drzwiami kancelarii, najpierw podnosiliśmy nogi do góry, aby można było skontrolować, czy nie brakuje gwoździa w każdej zelówce. Było to połączone z długą przemową o konieczności szanowania umundurowania, które otrzymujemy od naszego niebogatego państwa. Gwoździe były w porządku. Wobec tego jednemu z kolegów kapitan kazał pokazać kalessony, aby można było stwierdzić, czy przy nogawkach ma obydwie troczki i dwa guziczki przy zapięciu na brzuchu. Kolega musiał zdjąć pas, bluzę, owijacze, buty i spodnie; no i... brakowało mu jednego troczka. Po kolejnym, równie długim przemówieniu mieliśmy zgłosić się za kwadrans – ubrani, bo przecież to wielki wstyd,

aby kandydat na podchorążego jechał do domu w kalesonach bez guziczka lub bez troczka. Gdy podczas następnej zbiórki przed kancelarią musiałem się rozbierać, okazało się, że wszystko było w porządku i nie będę w domu kompromitował wojska. Następnie kapitan zainteresował się stanem naszego uzbrojenia i wyposażenia. Uczynni koledzy wspierali nas swoimi naprawdę czystymi karabinami, maskami, bagnetami, manierkami i menażkami. Dopiero bagnet jednego z kolegów nasunął kapitanowi pewne zastrzeżenia. Okazało się, że ostrze pokryte zbyt wielką ilością wazeliny mogło spowodować zakażenie rany, gdybyśmy byli zmuszeni użyć tej broni. Dowiedzieliśmy się wtedy, że nawet nie wyobrażamy sobie, jakie to mogło mieć dla nas przykre następstwa.

Koledzy świetnie bawili się naszym kosztem. My jednak w pewnej chwili postanowiliśmy nie rezygnować z przyznanych nam przez por. Matykaszwili przepustek. Bez słowa sprzeciwu, bez dyskusji wykonywaliśmy rozkazy i polecenia kapitana, który nie przewidywał dwóch rzeczy: dobrze załanych łóżek i porządku w naszych szafkach. Domyślał się, że zawdzięczamy to kolegom, ale dał nam spokój, gdy spojrział na zegarek. Poleciał szefowi wydanie przepustek. Była godz. 19.15. Niestety, ostatni autobus do Warszawy odjechał przed kwadransem. Kapitan dobrze o tym wiedział.

Zmęczeni kilkugodzinną, złośliwą kontrolą, wyszliśmy do miasta. Szczęście jednak nam dopisało. Gdy staliśmy na przystanku autobusowym, nadjechała warszawska ciężarówka. Kierowca niewiele zażądał za przejazd, tylko kazał poczekać około godziny, gdyż miał załadować jakiś towar. Uspokojeni i szczęśliwi poszliśmy do pobliskiej kawiarni. Przy stoliku w głębi siedziała grupa naszych oficerów. Jeden z nas, zgodnie z regulaminem, podszedł tam, aby poprosić o zezwolenie na zjedzenie kolacji. Zgodę otrzymaliśmy od mjr. Górnisiewicza,

najstarszego stopniem, ale nasz kapitan nie mógł powstrzymać się od złośliwości i zapytał: „Co wy tu robicie? Dałem wam przecież przepustki do Warszawy”. Kolega odparł: „Melduję posłusznie, że pan kapitan zwolnił nas dopiero kwadrans po siódmej, gdy już odjechał ostatni autobus”. Otrzymaliśmy wtedy zaskakującą odpowiedź: „Ależ gapy z was! Dlaczego nie powiedzieliście o tym? Przecież zwolniłbym was znacznie wcześniej!” Zabrakło nam słów.

W domu byłem przed północą. A już w niedzielę po obiedzie w towarzystwie kolegów wracałem do Pułtusza. Wszyscy byliśmy zgodni, że takie krótkie urlopy nie mają większego sensu.

W rozmowach z cywilami natarczywie wracał temat wojny. Wielu ludzi miało złe przeczucia i niesprecyzowane obawy przed przyszłością. Trwała wojna w Abisynii. Po zerwaniu przez Niemcy w lipcu ubiegłego roku klauzul militarnych traktatu wersalskiego, 7 marca 1936 r. Hitler wydał polecenie, aby Wehrmacht przystąpił do zajmowania zdemilitaryzowanej Nadrenii.

W dniu imienin Józefa Piłsudskiego, 19 marca, mieliśmy uroczystą akademię. Może dlatego, że nie było już Marszałka, zaczęliśmy mocniej odczuwać stan zagrożenia, lęk o przyszłość.

Akademia odbyła się najpierw dla IV kursu, później dla całego pułku, a na końcu w sali kinowo-teatralnej dla szkół i mieszkańców Pułtusza. Kpt. Cicharski, dumny ze zdolnych i patriotycznie nastawionych żołnierzy, nawet nie przeczuwał, że w najbliższym czasie spotka go z naszej strony wielki afront – zbiorowy sprzeciw oburzonej jego postępowaniem kompanii.

Kiedys nie wychodził nam śpiew. Kpt. Cicharski kazał naszej kompanii maszerować przez miasto „na baczność”,

przybijając mocno krok, co na wyboistym bruku było bardzo dokuczliwe. Solidne przybijanie wykręcało nogi w kostkach. Przeczuwaliśmy, że zanosi się na paskudny dzień. Po przejściu mostu „szukaliśmy nut”, biegając po piasku i po błocie w pobliżu Popław. Mimo tej tresury nie zdobyliśmy się na dobry śpiew. Gdy dochodziliśmy do placu ćwiczeń, kapitan zapowiedział naukę śpiewu podczas drogi powrotnej. Gdy wyszliśmy na szosę wiodącą do starego mostu kapitan – zgodnie z zapowiedzią – zarządził „Kompania śpiewa!” W odpowiedzi tylko kilku najbardziej zatrwożonych zdobyło się na słaby, nieudolny śpiew. Nasze popisowe: „Gdy po ćwiczeniach wolny mamy czas...” tym razem zdecydowanie nas skompromitowało. Natychmiast zaczęło się zwykłe, rutynowe przerzucanie nas z jednej strony szosy na drugą. „Lotnik z lewej! Kawaleria z prawej! Biegiem zbiórka na szosie!” Równie nieudana była następna próba zbiorowego śpiewu. Mieliśmy już wszystkiego dosyć. Widocznie i kapitana zdenerwowała taka szarpanina, gdyż ostrym, przejmującym głosem wydał rozkaz: „Lotnik! Do lasu kryj się!” Do pierwszych drzew dużego zagajnika było około pół kilometra. Silny wiatr wiał nam w twarz, gdy zaczęliśmy bieg przez podmokłą łąkę. Po kilkunastu metrach mieliśmy wodę w butach. Udaliśmy, że nie słyszymy następnych rozkazów: „Padnij! Padnij!”, a po chwili nadzwyczaj głośnie: „Na szosie, biegiem, zbiórka!”

Nikt nam nie podsunął myśli ukrycia się w lesie, pomysł narodził się podczas kilku pierwszych chwil biegu. Ktoś krzyknął: „Nie oglądać się!” I to wystarczyło. Wszyscy zrozumieli intencję. Bez słowa porozumienia akceptowano pomysł dłuższego odpoczynku w zagajniku. Wyglądało na to, że wezwania do powrotu, powtarzanego kilkakrotnie przez kapitana, nikt nie usłyszał. Biegliśmy wyjątkowo szybko. W głębi zagajnika ogarnął nas wybuch radości. Ucieszyła jednomyślność w pró-

bie dokuczenia kapitanowi. Zaczęliśmy śmiać się ze stojących na szosie wykładowców i instruktorów. Gadaliśmy jeden przez drugiego: „Wspaniały kawał! Niech teraz kadra nas goni!” Byliśmy przekonani, że jeśli będziemy solidarni, to wygramy, i skończą się poniżające na gonitwy i czołganie się po podmokłych łąkach.

Pałac papierosy obserwowaliśmy przełożonych. Sześciu oficerów i kilkunastu podoficerów stało na szosie. Zbici w gromadkę, rozmawiali, patrząc w naszym kierunku. Na pewno zdawali sobie sprawę z tego, że byli świadkami ogromnej porażki kapitana. Stali tak około pół godziny, po czym ruszyli w kierunku miasta. W naszą stronę wybrali się dwaj najbardziej przez nas lubiani podoficerowie – Dębiński i Zakrzewski. Widzieliśmy ich rozradowane twarze, widocznie potraktowali nasz bieg jako dobry żart. Prawdopodobnie cieszyli się z afroнту wymierzonego dokuczliwemu kapitanowi, z którym, na pewno, nie zawsze zgadzali się. Trochę zaskoczyły nas słowa: „Popaliliście sobie? No to idziemy na obiad!” I to było wszystko.

Na drodze ustawiliśmy się w kolumnie marszowej, a kiedy po przejściu mostu usłyszeliśmy komendę: „Równaj krok!”, zaczęliśmy śpiewać tak głośno jak nigdy przed tym. Był to radosny śpiew żołnierzy, którzy osiągnęli swoje pierwsze zwycięstwo. Kapitan, choć na pewno początkowo nie dostrzegał wyraźnych objawów naszego niezadowolenia ze stosowanych przez niego metod, później okazał więcej inteligencji i zmienił swój dotychczasowy system wychowawczy. Być może o wydarzeniu dowiedzieli się też zwierzchnicy i wydali stosowne zarządzenie. Na ten temat nie było nigdy żadnej mowy. Kpt. Cicharski zaczął przyjeżdżać na Popławy na rowerze. Od tego dnia odczuwaliśmy coraz wyraźniej zmianę nastawienia naszego dowództwa. Ktoś stwierdził: „Zaczęli nas szanować i nawet trochę się nas boją!”

Mieliśmy coraz lepszy humor. Być może wpływ na to miała i wiosna, i mijający szybko czas.

Święta Wielkanocne spędzamy w domu. Na pytania znajomych o nasze przygotowanie do wojny, staramy się odpowiadać nie zawsze zgodnie z prawdą. Problemy zagrożenia Polski widzimy już w innym świetle. Przygnębiają nas informacje podawane przez prasę, że Rzesza niemiecka w roku 1936 ma wydać tylko na zbrojenia ponad 20 mld zł (w przeliczeniu), czyli znacznie więcej niż Polska wydała na wszystkie wydatki budżetowe w całym okresie niepodległości.

Po przyjeździe z tygodniowego urlopu wielkanocnego przenieśliśmy się z koszar do baraków w lesie na Popławach. Mieliśmy tam wymarzone tereny do przeprowadzania różnych ćwiczeń wojskowych, m.in. dużą strzelnicę do strzelań z karabinu i cekaemu. Nareszcie pozbyliśmy się uciążliwych owijaczy. Założyliśmy letnie mundury z drelichu. Spodnie u dołu łączył z cholewą buta płócienny pasek szerokości kilkunastu centymetrów, zapinany na dwa guziki.

W lesie na Popławach od razu poczuliśmy się bardzo dobrze. Początkowo nocowaliśmy w dwuosobowych namiotach. Każdy otrzymał połówkę takiego namiotu, nazywaną celtą. Okrywaliśmy się nią podczas deszczu jak nieprzemakalnym płaszczem, a na noc ustawiało się gruby kij odpowiedniej wysokości, zaczepiając na nim dwie spięte guzikami „celty” – dołem je rozciągano i wbijano w ziemię specjalne kołki. W ten prosty sposób powstawał dwuosobowy namiot. Mając do dyspozycji dwa koce mogłem w takim namiocie dobrze się wyspać, jeżeli kolega nie chrapał zbyt głośno.

Mieliśmy przed sobą jeszcze tylko pięć miesięcy pobytu w wojsku, a tymczasem nikt nie skreślał w kalendarzu dni dzielących nas od powrotu do cywila. Wielu przyznawało się,

że nie wiedzą już, czy silniej w koszarach ciągnie ich do domu, czy w domu do koszar i kolegów.

Całkowicie zmienił się nasz dzień żołnierski. Poranny raport rozpoczynał pięciogodzinne ćwiczenia, a po obiedzie mieliśmy tylko trzy godziny zajęć, najczęściej wykładów. Reszta dnia należała do nas. Jeśli ktoś nie chciał czekać na kolację, to mógł bezpośrednio po zajęciach iść do Pułtuska lub uczyć się, czytać książki, łowić ryby, pływać kajakiem, wędrować po lesie. Obowiązywała nas obecność na capstrzyku o godz. 22.00. Przez cały dzień byli z nami, pilnując porządku dziennego, tylko służbowi – oficer i podoficer zawodowy.

Bardzo często funkcję oficera służbowego pełnił st. sierż. Dębiński, który zmienił się nie do poznania. Podczas wielu rozmów opowiadał nam historię swojego życia i udziału w wojnie. Swoje dotychczasowe postępowanie tłumaczył rozkazami dowódców: „Podoficerowie są od czarnej roboty”.

Bezpowrotnie minęła zhora musztry. Skończyły się bezmyślne gonitwy po polach, zapomnieliśmy o komendzie: „Lotnik! Kryj się!” Jak przystało na doświadczonych żołnierzy, oczekiwaliśmy tylko sensownych rozkazów. I rzeczywiście, nikt już nie wydawał nam głupich poleceń. W ten sposób nasza służba wojskowa stała się znacznie lżejsza i prawie przyjemna.

Stałym tematem porannych ćwiczeń była walka oddziałów piechoty. Najpierw uczyliśmy się dowodzenia drużyną, a później plutonem. Gdy kończąc poranny raport wyruszaliśmy do jakiejś pobliskiej wsi, wiedzieliśmy, co nas czeka: obrona, natarcie lub rozpoznanie.

Duże urozmaicenie stanowiły zawody strzeleckie, przeprowadzane na pobliskiej strzelnicy. Strzelaliśmy z karabinów, erkaemów i cekaemów. Przez kilka dni przeprowadzaliśmy próby odkażania terenu po pozorowanym wybuchu pocisku z iperytem.

Przez minione miesiące dokładnie poznaliśmy okoliczne wioski i kolonie, drogi i leśne ścieżki, pagórki i wzniesienia, zagajniki i leśniczówki. Ponikiew, Psary, Obryte, Zatory, Bartodzieje – każda nazwa przypominała jakieś ćwiczenia: zasadzkę, natarcie, szturm, rozpoznanie lub wycofanie się po walce z „przeważającymi siłami nieprzyjaciela”. Zaczynaliśmy jakoś inaczej myśleć o wojnie, podobnie jak myśli się o rozwiązaniu zadania matematycznego: siły własne – siły nieprzyjaciela – ukształtowanie terenu – zadanie do wykonania. W dalszym ciągu najbardziej nas interesowały omówienia ćwiczeń przeprowadzane przez por. Matykaszwili. On naprawdę potrafił zainteresować wielu zagadnieniami strategiczno-taktycznymi; najlepszym z nas dawał zadania dla dowódcy kompanii lub nawet dla dowódcy batalionu. Koledzy pochylali głowy nad mapami rozłożonymi na stole i razem z por. Matykaszwili ustawiali pudełka zapalek, omawiając jak to korpus Lannesa maszerował na Pułtusk, Davout – na Gołym, a Soult – na Ciechanów. Tu był Napoleon, a tu najpiękniejsze wojsko – kawaleria Murata. Dowiadywaliśmy się, na czym poległ geniusz „boga wojny” oraz dlaczego doszło do upadku Cesarstwa. Były to świetne lekcje pokazowe. Przekonaliśmy się, jak mizerne rezultaty osiągał nawet Napoleon, jeśli zaniedbał właściwego rozpoznania nieprzyjaciela lub jeśli zawiodła łączność.

Patrząc na mapę Polski, licząc kilometry dzielące nas od Prus Wschodnich, kilkakrotnie dochodziliśmy do niewesołych wniosków. Pamiętam, jak na nasze wątpliwości odpowiadano nam fragmentem *Regulaminu piechoty*: „...środki techniczne stanowią tylko pomoc, sam człowiek rozgrywa walkę, której wynik zależy przede wszystkim od siły jego charakteru”.

Prawdopodobnie ze względu na bliskość granicy często przerabialiśmy ćwiczenia związane z organizowaniem obrony, mieliśmy powstrzymać działania nieprzyjaciela i zadać

mu jak największe straty. Dlatego tak ważny był dla nas teren – wszystkie wzniesienia ułatwiające obserwację i kontrolę okolicy, a także lasy dające doskonałą zasłonę i umożliwiające maskowanie stanowisk. Uczyliśmy się dowodzenia. Doskonale już wiedzieliśmy, że musimy mieć decydujący wpływ na każde działanie bojowe. Powinniśmy być odważni, przedsiębiorczy, przewidujący, zdecydowani, zachować zimną krew i jasność umysłu. Po kilkunastu dniach przenieśliśmy się z namiotów w lesie do stojących w pobliżu baraków. Miejsca mieliśmy dużo. Na piętrowych łóżkach spało się znakomicie. Wstawaliśmy o świcie, nie czekając na pobudkę, i rozpoczynaliśmy dzień gimnastyką. Wciągano flagę na maszt i śpiewaliśmy *Kiedy ranne wstają zorze*.

W pierwszą rocznicę śmierci Marszałka, 12 maja, zorganizowano uroczystą akademię. Wysłuchaliśmy transmisji radiowej z uroczystości w Wilnie. O godz. 13.00 rozległy się dzwony i na trzy minuty zamarł ruch. Staliśmy na baczność. Całe społeczeństwo ciągle głęboko odczuwało tę śmierć, nie obdarzając następców już tak wielkim zaufaniem. Panowało przekonanie, że w każdej kryzysowej sytuacji Marszałek wybrałby najlepsze rozwiązanie.

Nadchodziły dla nas niezapomniane dni – wydawało się, że nic więcej już do szczęścia nam nie potrzeba. Żyliśmy w zwartej gromadzie kolegów i przyjaciół, na dobre zapominając o pierwszych trudnościach naszego żołnierskiego życia i o ogłupiającej musztrze. Długie marsze nie stanowiły już większych trudności. Rano mieliśmy intensywne ćwiczenia, a po obiedzie dwie-trzy godziny wykładów na świeżym powietrzu. Później była nauka własna i odpoczynek. Siatkówka, kajaki, długie spacery, odwiedzanie Pułtuska lub kąpiele wylegiwanie się na piasku nad Narwią. W tę spokojną atmosferę wdarł się zgrzyt – zupełnie niepotrzebny.

Pod koniec maja, późnym popołudniem, odszukał mnie nad rzeką jeden z kolegów, zawiadamiając, że w kancelarii czeka na mnie kpt. Cicharski. Gdy meldowałem kapitanowi swoje przybycie, zauważyłem, że stojący za nim oficerowie z naszego kursu patrzą na mnie z ciekawością. Kapitan trzymał podłużną, żółtą kopertę do mnie adresowaną. Wyraźnie podekscytowany rozerwał kopertę i wyciągnął złożony na czworo papier listowy. Z koperty wypadło coś na podłogę. Podniosłem owinięty w bibułę mały, srebrny ryngraf na łańcuszku, ze złotą postacią Matki Boskiej Częstochowskiej. Domyśliłem się, że Hela brała udział w akademickiej pielgrzymce na Jasną Górę i przysłała mi pamiątkę. Nawet po latach pamiętam swoje oburzenie na postępowanie kapitana i mój trochę teatralny gest protestu. Ryngraf dokładnie wytarłem chusteczką i manifestacyjnie ucałowałem. Stojący najbliżej por. Rycaj wziął go ode mnie i oglądał z zaciekawieniem. Kapitan, najpierw zaskoczony, a później zakłopotany, oddał mi kopertę wraz z wepchniętym do niej listem i ze złością kazał mi odmaszerować. Gdy wyszedłem z kancelarii, opuściła mnie złość, chciało mi się śmiać. Widocznie nadmierne podejrzliwy kapitan spodziewał się jakiejś nielegalnej, antypaństwowej przesyłki. Otoczyli mnie koledzy, którzy z zaciekawieniem obserwowali nas przez otwarte okna. Pokazałem im ryngraf. Namawiali mnie, abym o wydarzeniu zameldował mjr. Górnisiewiczowi, gdyż kapitan nie miał prawa otwierać prywatnego listu, ale ja nie chciałem się mścić, wystarczyło ośmieszenie dowódcy IV kursu w obecności oficerów. Mjr Górnisiewicz zresztą szybko poznał szczegóły tego incydentu, prawdopodobnie z opowieści oficerów.

Kapitan od tego popołudnia patrzył na mnie z trudem hamowaną złością. Por. Rycaj skwitował sprawę słowami: „Teraz trzymajcie się dobrze, zwłaszcza na zakrętach!”

Następnego dnia po śniadaniu maszerowaliśmy do wsi Obryte, odległej od Popław o 10 km. We wsi rozpoczęliśmy ćwiczenia bojowe, kierując się w stronę Pułtuska. Dowództwo wraz z majorem i kapitanem obserwowało nasze dowodzenie, analizując rozkazodawstwo i zadając od czasu do czasu kontrolne pytania. Ćwiczenia prowadził por. Matykaszwili, który w środku wsi omawiał zadania dla poszczególnych oddziałów.

Jeden z naszych plutonów jako „nieprzyjaciel” miał przygotować obronę przyczółka mostowego na Narwi, z rozpoznaniem kierunku Popławy – Psary – Obryte, a pozostałe dwa plutony były oddziałem głównym straży przedniej, posuwającej się w kierunku Pułtuska, po osi marszu Obryte – Psary – Popławy. Pluton pod dowództwem jednego z kolegów pozostał jako straż przednia we wsi Obryte, stwarzając system ubezpieczeń mających chronić odpoczywające siły główne przed rozpoznaniem i zaskoczeniem przez „nieprzyjaciela”, a pluton trzeci jako oddział rozpoznawczy miał wyruszyć w kierunku Pułtuska, w celu zdobycia wiadomości o „nieprzyjacielu”, który według posiadanych informacji, dzisiaj rano przekroczył Narew. Dodatkowym zadaniem oddziału rozpoznawczego było dokładne rozpoznanie terenu, przez który maszerować będzie najpierw straż przednia, a później siły główne.

Ćwiczenie miało być egzaminem dla trzech osób, mianowanych dowódcami plutonów. Mnie wyznaczono na dowódcę oddziału rozpoznawczego. Razem ze mną był nie tylko por. Matykaszwili, ale i mjr Górnisiewicz. „Powtórzcie zadanie!” Wyznaczam swojego zastępcę i wraz z gońcem idę na skraj wsi, aby zza parkanu obserwować przedpole. Trzymając w ręku sztabówkę ustalam plan działania. Po kilku minutach por. Matykaszwili poznaje moją decyzję, w podjęciu której pomagają mi dawne wojny harcerskie. Porucznik o nic nie

pyta, nic nie mówi, więc na pewno akceptuje moje rozkazy. Wysyłam gońca, aby ściągnął na skraj wioski mój pluton w składzie trzech drużyn strzeleckich z erkaemami i przydzielonym jednym cekaemem. W odległości około kilometra widać linię lasu. Dokładnie zaznaczona na mapie droga prowadzi początkowo przez ten las, następnie przez rozległą polanę, a dalej znowu ginie w lesie, aby po dwóch kilometrach wyjść na rozległe pole, na którym leży wioska Psary. Od ostatnich zabudowań tej wioski do naszych baraków na Popławach jest około 4 km. Dowódcom drużyn przedstawiam zadanie do wykonania i moje zamierzenia, piszę meldunek do dowódcy kompanii, a następnie wybieram najlepsze stanowiska dla broni maszynowej, aby mieć wsparcie ogniowe. Jedną drużynę – bez cekaemu – wysyłam w szyku bojowym jako straż przednią drogą w kierunku lasu, z tym że na skraju lasu dowódca drużyny wyśle szpicę i ubezpieczenia boczne w składzie jeden plus jeden, w odległości 100 m od osi marszu.

Patrzę przez lornetkę na skraj lasu. Spokój, żadnych śladów obecności „nieprzyjaciela”. Rozkazuję dowódcy jednej z drużyn szybki marsz w szyku ubezpieczonym. Po kilku minutach, gdy szperacze znaleźli się w połowie drogi, wyruszam wraz z gońcem za nimi. Umawiam się z zastępcą, że gdy znajdę się na skraju lasu, reszta plutonu wraz z bronią maszynową dołączy do nas możliwie szybko. Przez las z gęstym poszyciem maszerujemy dwójkami, utrzymując ten sam szyk – ze szperaczami i drużyną wzmocnioną cekaemem na przodzie, z ubezpieczeniami bocznymi i dodatkową strażą tylną, zachowując łączność wzrokową. Gdy dochodzimy do rozległej polany, ustawiam cekaem w pobliżu drogi, a jedną drużynę wysyłam skrajem lasu, równoległe do drogi będącej osią marszu. Idą szykiem bojowym, ubezpieczeni od strony lasu, utrzymując ze mną łączność wzrokową. Gdy tylko mi-

nęli polanę, zgodnie z moim poleceniem wrócili na drogę, aby maszerować przez las, a my szybkim krokiem ruszamy przez polanę, starając się jak najszybciej osiągnąć następny skraj lasu. Pośród gęstych drzew w dalszym ciągu utrzymujemy poprzedni szyk bojowy wraz z ubezpieczeniami ze wszystkich stron. W środku naszego oddziału znajduje się cekaem. Po przejściu 2 km osiągamy koniec lasu. Przed nami rozciąga się otwarta przestrzeń, widać pierwsze zabudowania wsi Psary, w odległości ponad 1 km. Dalej czerni się las, w głębi którego stoją nasze baraki. Kryjąc się na skraju lasu zajęliśmy stanowiska ogniowe.

Przez lornetkę wyraźnie widzę żołnierzy „nieprzyjaciela”, zmieniających stanowiska, kręcących się po wiosce w poszukiwaniu najlepszego miejsca do ustawienia cekaemu. Był to pluton, który godzinę przed nami opuścił Obryte z zadaniem zorganizowania obrony Psar. Wysłałem meldunek do dowódcy kompanii i z ukrycia rozpoznawałem „nieprzyjaciela”, który zbyt długo wyszukiwał odpowiednich stanowisk, zapominając o własnym ubezpieczeniu. Z wysokiego, rozłożystego drzewa dokładnie widziałem zarówno słabo zamaskowanych żołnierzy, jak i dwóch oficerów-rozjemców: por. Rycaja i ppor. Kolankiewicza.

„Co teraz robicie?” – pyta mjr Górnisiewicz. Mówię o własnym meldunku, który major trzyma w ręku, podaję swoje ostatnie obserwacje i decyzję, aby czekać na dalsze rozkazy lub na dołączenie posuwających się za mną oddziałów. Na razie mój pluton zajmuje stanowiska obronne, nie zdradzając swojej obecności ubezpiecza się z boków i z tyłu. Dobrze zamaskowani obserwujemy wioskę, spodziewając się rozkazu – określenia walką sił „nieprzyjaciela”. Na tym zakończono ćwiczenia. Dziękuję moim kolegom-podkomendnym za pomoc i dobrą współpracę. Taki panował zwyczaj.

Zarządzono zbiórkę kompanii we wsi Psary. Podczas omówienia ćwiczeń precyzyjnie odpowiadałem na pytania obserwatorów. Major pochwalił moje dowodzenie, określając je jako celujące. Pozostali oficerowie nie mieli zastrzeżeń. Tylko kpt. Cicharski milczał jak zakłęty.

Był to okres końcowych egzaminów. Okazało się, że gdy mjr Górniewicz dowiedział się o historii z listem, zainteresował się moją osobą. Nie dowierzając opinii kapitana o moich wiadomościach wojskowych, polecił, abym w jego obecności dowodził „oddziałem rozpoznawczym”. W kilka dni po ćwiczeniach pospiesznie egzaminowano mnie ze wszystkich przedmiotów, gdyż okazało się, że wystawiono oceny bez sprawdzenia moich wiadomości! W rezultacie tego nadzwyczajnego i zarazem niespodziewanego egzaminu otrzymałem pięć ocen bardzo dobrych, a piętnaście dobrych, zajmując 44 lokatę. Taki wynik zaskoczył wszystkich, gdyż prawdopodobnie na skutek decyzji zawziętego kapitana wstrzymano mi awans. Gdy inni byli już plutonowymi, a w najgorszym wypadku kapralami, ja pozostałem szeregowcem – tyle, że nie strzelcem z cenzusem, lecz strzelcem podchorążym. Byłem wyjątkiem, gdyż pozostali nieawansowani strzelcy z cenzusem odeszli do pułków bez tytułu podchorążego.

Trzydziestego maja odbyła się promocja IV kursu podchorążych rezerwy 8 DP. Po nabożeństwie w kolegiacie i ostatnim już raporcie na dziedzińcu koszarowym uroczystie rozdano świadectwa nominacji na podchorążych rezerwy. Wręczał je, mówiąc do każdego jakieś ciepłe słówko, dowódca 8 DP gen. bryg. Antoni Szylling. Prymusem w kompanii strzeleckiej był prawnik Józef Śliwowski, a w plutonie cekaemów Zygmunt Duszyński. Prymusom wręczono ozdobne szable oficerskie. Po uroczystości odbyła się ostatnia defilada i wspólna z generałem fotografia pod pułkowym pomnikiem. Podczas żołnierskiego

obiadu prysnął na kilka godzin służbowy nastrój. Generał, pułkownicy i nasza kadra śmiali się z dowcipów naszych aktorów. Do obiadu podano po kieliszku wódki. Uroczystość zakończyła całonocna zabawa taneczna w sali Powiatowego Komitetu WFiPW.

W ten sposób zakończył się ośmiomiesięczny okres szkolenia podchorążych.

Leonid Teliga wraz z pięcioma kolegami odjechał do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Maz. Za dwa lata zostaną oficerami zawodowymi. Zygmunтови Duszyńskiemu pierwsza lokata nie pomogła, prawdopodobnie wzrost nie zezwolił mu ówczesnie na zrealizowanie marzeń o służbie zawodowej w wojsku. Stu pierwszych podchorążych z listy lokat pozostało w Pułtusku, na dalszym szkoleniu, reszta rozjechała się do 21 pp w Warszawie, do 32 pp w Modlinie lub pozostała w 13 pp (inny budynek koszarowy). Kilkunastu strzelców z cenzusem, o których przekonano się, że nie nadają się na oficerów rezerwy, odeszło do pułków bez tytułu podchorążego. Obowiązywała ich nadal skrócona, jednoroczna służba wojskowa.

Na razie rozjechalismy się na cztery dni zasłużonego odpoczynku. Codziennie po południu spotykałem się z Helą. Chodziliśmy do kawiarni, kina i na spacer w Al. Ujazdowskich. Nie mówiliśmy, a nawet nie myśleliśmy ani o polityce, ani o zbliżającej się wojnie. W tym czasie kończyła się tragedia w Abisynii. Włosi wkroczyli do Addis Abeby, a Liga Narodów nadal dyskutowała o możliwościach wprowadzenia sankcji gospodarczych wobec agresora.

Urlop minął wyjątkowo szybko. Pozostało nam już tylko 12 tygodni służby wojskowej. Przez najbliższe dwa miesiące mieliśmy „poszerzać i pogłębiać” naszą wiedzę wojskową, a przede wszystkim przez 3-4 dni w tygodniu uczestniczyć

w ćwiczeniach przeprowadzanych w ramach szkolenia wyższych dowódców – wspólnie z zawodową Szkołą Podchorążych Piechoty i z batalionem manewrowym z Rembertowa. W takich ćwiczeniach zawsze brali udział oficerowie z Wyższej Szkoły Wojennej, z którymi często rozmawialiśmy o założeniach i przebiegu ćwiczeń.

Mimo niezłej zaprawy marszowej byliśmy podczas tych ćwiczeń nadmiernie zmęczeni. Pamiętam uciążliwy 80-kilometrowy marsz, z jedną dłuższą przerwą na obiad. Najgorzej było podczas marszu w nocy. Gdy już znudziło nas oglądanie gwiazdzistego nieba i zakończyliśmy spory o nazwy gwiazdozbiorów, gwiazd i planet, zapadaliśmy w półsen. Szliśmy jak automaty, od czasu do czasu spoglądając na jasną plamę chlebaka poprzednika, karabiny nosiliśmy „na pas broń”, aby nie zrobić krzywdy komuś z następnej czwórki. Niekiedy, na zakręcie drogi, żołnierz wpadł do rowu, pociągając za sobą następnego. Najlepiej było podczas takiego półsnu trzymać się biedki wiozącej cekaem.

W czasie jednej z przerw, solidnie zmęczeni, rozmawialiśmy z majorem, słuchaczem Wyższej Szkoły Wojennej. Skarżyliśmy się nie tylko na zmęczenie fizyczne, ale także wyczerpanie psychiczne, powodujące ograniczenie prawidłowego myślenia oraz zmniejszenie zdolności obserwacji. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że gdy jesteśmy bardzo zmęczeni, to stajemy się jak gdyby bezbronni – niezdolni do obrony, do walki. Kandydat na oficera sztabowego uroczyście nas zapewniał, że na pewno podczas wojny będziemy mieli do dyspozycji samochody ciężarowe i unikniemy wyczerpujących marszów. Wojna przyszłości miała być wojną pozycyjną: z okopami i zmasowanym ogniem artyleryjskim, a nie wojną o ruchomym, szybko zmieniającym się froncie, jak to było podczas wojny bolszewickiej.

W połowie czerwca wizytował nas gen. dyw. Mieczysław Norwid-Neugebauer, inspektor armii. Po długim omówieniu naszego ćwiczenia – obrony Pułtusa („kompania okrakiem na drodze z Ciechanowa”) wpisał się do Księgi Pamiątkowej: „Szkola zrobiła z Was, podchorążowie, materiał na dowódców. Pamiętajcie, by życie całe stworzyło z Was oficerów, chlubę Państwa Polskiego”.

Podczas niedzielnych spacerów po ulicach Pułtusa już prawie wszyscy podchorążowie paradowali w mundurach kamgarnowych. Pozostali odwiedzali krawców, którzy za niewielką opłatą dopasowali zbyt obszerne służbowe płaszcze i mundury. Własne mundury zamawiano u krawców żydowskich, wyspecjalizowanych w szyciu ubiorów wojskowych. Mieliśmy także wyjściowe czapki – wysokie, dobrze usztywnione, z okutym daszkiem, co było zarówno przywilejem oficerów, jak i podchorążych.

W tym czasie, gdy maszerowaliśmy po piaszczystych drogach Mazowsza lub wśród lasów Kurpiowszczyzny, grupa 10-12 „dekowników” nie próżnowała. Dwudziestego trzeciego czerwca wystawili ostatnią i na pewno najlepszą rewię, pt. *Roześmiany Pułtusk*. Była to, jak zwykle, składanka słowno-muzyczna. Kilka utworów odegrała orkiestra jazzowa, wystąpił skrzypek-podchorąży, wystawiono kilka skeczów, opowiedano różne dowcipy, śpiewał chór rewelersów pod kierunkiem Mietka-Mordki Wrubla. Przebrany w góralski strój Mietek Bodych opowiadał dowcipy starego bacy, a konferansjerem był podchorąży ubrany w elegancki frak. Publiczność bawiła się doskonale. Rewię powtarzano kilka razy w Pułtusk, a następnie wystawiono w pobliskich miasteczkach, gdzie spotkała się z równie dobrym przyjęciem.

Nasi „dekownicy” stali się fachowcami w dziedzinie propagandy i rozrywki. Gdy tylko zakończyła się ostatnia rewia,

zabrali się do „Jednodniówki”, która po wielu latach miała nam przypominać pobyt na IV kursie.

„Jednodniówkę” otwierał wiersz naszego „wieszczą”, deklamowany przez autora podczas wszystkich kolejnych akademii i rewii. Dalej umieszczono podobizny dostojników i dygnitarzy oraz naszych dowódców, a także apel kpt. Cicharskiego, przypominający o czekającej nas pracy dla potęgi naszej Ojczyzny. Kilku kolegów opisywało Pułtusk i życie w wojsku. Zamieszczono także „Kronikę IV kursu”, spis imienny kadry: 14 oficerów i 17 podoficerów, pracujących przez wiele miesięcy nad przekształceniem cywilów we wzorowych żołnierzy, oraz listę 176 kolegów, którzy otrzymali tytuły podchorążych. Na zakończenie umieszczono nasz apel do następców na V kursie.

W każdym tygodniu mieliśmy w dalszym ciągu kilkudniowe ćwiczenia, połączone z noclegami w stodołach, pod celtami w lesie lub w szczerym polu.

W dwóch ostatnich miesiącach naszego pobytu w Pułtusku zetknąłem się z nie znanym mi dotychczas zagadnieniem mniejszości narodowych. Wprawdzie było wśród nas kilku Żydów, kilku przechrztów i kilku ewangelików o niemieckich imionach i nazwiskach, nigdy jednak nie słyszałem o żadnym ekscesie na tym tle lub o szykanowaniu kogoś ze względów wyznaniowych czy narodowościowych. Gdy w poniedziałki wyruszaliśmy na kilkudniowe ćwiczenia, dołączano do nas żołnierzy z różnych kompanii strzeleckich 13 pp. Formowano wtedy batalion piechoty, w którym przydzielano nam funkcje dowódców drużyn i plutonów. Dopiero podczas takich ćwiczeń mogłem stwierdzić, że stosunkowo dużą część żołnierzy stanowili Litwini lub Białorusini. Nigdy nie miałem z nimi żadnego kłopotu. Wytrzymali, zdyscyplinowani, wdzięczni za dobre słowo. Kiedyś jako dowódca drużyny wybrałem na swojego zastępcę spokojnego żołnierza, o twarzy inteligent-

niejszej od pozostałych, który mówił z charakterystycznym, wschodnim akcentem. Dopiero później dowiedziałem się, że był Litwinem. Batalion nasz zajął stanowiska obronne na skraju lasu, wysuwając do przodu ubezpieczenia. Moja drużyna miała zorganizować zasadzkę w pobliżu szosy. W przodzie, w zaroślach, ukryłem czujkę: swego zastępcę z jednym żołnierzem. Gdy po godzinie wybrałem się do nich, aby sprawdzić czy nie śpią, usłyszałem cichą rozmowę. Na mój widok zamilkli, a na pytanie odpowiedzieli, że rozmawiali po litewsku, stwierdzając od razu, że to nie jest zakazane. W drodze powrotnej do Pułtusza dowiedziałem się od mojego zastępcy, że mieszka na Suwalszczyźnie, niedaleko Sejnu. Rodzice mają 50 ha lichej ziemi, a on jest jedynakiem. Ukończył w Święcianach gimnazjum i liceum, ale, niestety, przed kilku laty szkole odebrano prawa szkół państwowych, więc nie mógł wstąpić na Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie ani nie przysługiwała mu jednoroczna służba wojskowa. Znał dobrze język polski, jednakże za swój macierzysty uważał litewski. Po odbyciu służby wojskowej chciał studiować na uniwersytecie w Kownie, wyjeżdżając z kraju legalnie. Nie chciał uciekać na Litwę, chciał pozostać lojalnym obywatelem polskim. Od tego dnia rozmawialiśmy wiele razy. Gdy byłem dowódcą drużyny, był moim zastępcą, a kiedy pełniłem obowiązki dowódcy plutonu, zostawał moim gońcem. Z ciekawością słuchałem jego opowieści o życiu w litewskiej wiosce. Zapraszał mnie na wakacje do swoich rodziców, twierdząc, że Suwalszczyzna jest najpiękniejszym zakątkiem Polski. Opowiadał z oburzeniem o różnych złośliwościach władz polskich wobec Litwinów mieszkających u nas, jak również – chyba szczerze – oburzał się na represje przeciwko Polakom na Litwie.

Do tej pory nigdy nie zastanawiałem się nad tym problemem. Okazało się, że w zasadzie nic o sobie nie wiemy, istnieje

między nami mur, zbudowany ze złej woli i głupoty. A przecież faktem było, że Polacy czuli ogromną sympatię i sentyment do Litwinów, a mimo to byliśmy wobec nich bardzo ostrożni, czasem nawet niechętni. Litwini z zasady nie awansowali. Nie kierowano ich do szkoły podoficerskiej, nie powierzano im żadnej ważniejszej funkcji. W podobny sposób postępowano z Białorusinami. Ci w większości byli analfabetami, dla których Polski Biały Krzyż (instytucja powołana do pracy kulturalno-oświatowej w wojsku) prowadził naukę czytania i pisanie. Podobno Białorusini – o czym dowiedziałem się później – na skutek jakiejś akcji propagandowej nie chcieli uczyć się języka polskiego, obawiając się wynarodowienia.

W pierwszych dniach lipca odbywał się w Pułtusk Kon- gres Eucharystyczny Katolickiego Związku Młodzieży Żeń- skiej diecezji płockiej. Zjechało się około 2000 młodszych i starszych dziewcząt. W uroczystości otwarcia wzięła udział kilkunastoosobowa grupa podchorążych, oddelegowanych przez kpt. Cicharskiego, wśród których byłem i ja. Dowód- ca 13 pp w przemówieniu powiedział, że żołnierz w Wojsku Polskim otrzymuje wychowanie religijne, a najwyższe ideały armii polskiej to Bóg i Ojczyzna.

Życie koszarowe w dalszym ciągu upływało nam na coty- godniowych manewrach i ćwiczeniach. W środę toczyliśmy walki obronne w rejonie Nasielska, aby pod naporem prze- ważających sił „nieprzyjaciela” wycofywać się na linię rzeki Narew. W czwartek od rana mieliśmy bronić przeprawy przez rzekę. Nasze stanowiska znajdowały się na niskim brzegu, a od zachodu z wysokiego brzegu miał przeprowadzić się i na- cierać „nieprzyjaciel”. Byłem dowódcą plutonu strzeleckiego. Sąsiednim plutonem dowodził mój dobry kolega, prawnik z Pruszkowa, pchor. Julek Mazurkiewicz, a jego zastępcą był inny pruszkowianin, student chemii pchor. Genek Kowalski.

Dowodzony przez nich pluton rozbudował swoje stanowiska obronne na moim prawym skrzydle, na skraju wioski. Wzorowo zamaskowani, byliśmy niewidoczni z drugiego brzegu rzeki. W tym czasie przebywały na wakacjach w wiosce liczne rodziny z Warszawy. Było kilka młodych kobiet z małymi dziećmi i dwie licealistki. Julek i Genek często kręcili się tam już od rana. Podczas obiadu zapowiedziano, że na ćwiczenia przyjechał gen. Edward Rydz-Śmigły, który niedawno objął stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych.

W dobrych nastrojach oczekiwaliśmy natarcia, kończącego ćwiczenia. Nie mając na razie nic do roboty, leżeliśmy w okopach lub w dołach, patrząc na słońce zbliżające się do zachodu i na przeciwny, wysoki brzeg Narwi. Wtem po linii przebiegł stłumiony ostrzegawczy okrzyk: „Śmigły! Śmigły!” Przez lornetkę dokładnie widziałem Naczelnego Wodza. Stał trochę wysunięty przed liczną switę generałów i wyższych oficerów. Wszyscy przez lornetki patrzyli na linię naszej obrony, to znów na rozłożone przed nimi mapy sztabowe. Widocznie omawiali kończące się ćwiczenia. Widok był niecodzienny. Na tle nisko nad horyzontem stojącego słońca srebrzyły się generalskie szlify, zachwycaly kolorowe otoki na czapkach kręcących się adiutantów – wszystko to robiło na nas duże wrażenie.

W pewnym momencie lornetki obserwatorów zwróciły się w kierunku moich sąsiadów. Pokazywano coś, co wywołało poruszenie wśród generalicji, gdyż i gen. Rydz-Śmigły zaczął tam patrzeć. Spojrzałem i ja w prawo. Przed linią dokładnie zamaskowanych stanowisk stali dowódca plutonu i jego zastępca – Julek i Genek, otoczeni barwnie ubranymi kobietami i dziewczętami. Wokół beztrosko biegały dzieci, podchorążowie używali dziewczętom swoich służbowych lornetek, aby lepiej mogły obejrzeć najwyższych dostojników wojskowych. Ta niecodzienna scena trwała bardzo krótko, a wymowa jej

była jednoznaczna: tam sztab i obserwatorzy wojskowych ćwiczeń, a tutaj dwóch podchorążych z młodymi kobietami, które koniecznie, choćby z daleka, chciały zobaczyć Naczelnego Wodza, a tymczasem zabawiały rozmową żołnierzy, mających bronić przeprawy przez rzekę. Po kilku minutach, gdy już wszyscy leżeli dokładnie zamaskowani, a letniczki po zaspokojeniu ciekawości wróciły do wioski, zjawił się por. Sochaczewski z wiadomością, że z rozkazu gen. Rydza-Śmigłego obydwaj podchorążowie za lekceważenie obowiązków zostali ukarani tygodniem średniego aresztu. Karę mieli odbywać w areszcie przy wartowni przez trzy kolejne soboty i niedziele oraz dodatkowo przez jedną noc z soboty na niedzielę. Profos, też kolega, nadzorujący areszt, zapisywał do specjalnej książki nazwiska zgłaszających się do odbycia kary i wprowadzał ich do dość ciemnej, ponurej izby, z dwiema pryzmami i kratami w oknie, gdzie zamknięci od zewnątrz powinni przebywać przez wyznaczony okres.

Areszt Julka i Genka nie był ściśle regulaminowy i rygorystyczny. Jeśli nic nie zapowiadało wizyty oficera inspekcyjnego, wychodzili z celi i siedzieli w wartowni, słuchając radia, rozmawiając z kolegami lub grając w szachy. W niedzielę dostarczyłem im zakupiony w kiosku opasły numer niedzielnego wydania „Kuriera Warszawskiego” oraz „Wiadomości Literackie”. W świetlicy, jak zwykle w czasie wolnych godzin, pełnej gwaru i papierosowego dymu, grałem w tenisa stołowego, gdy niespodziewanie zjawił się kpt. Cicharski, trzymając w ręku „Wiadomości” i „Kurier”. Z gniewem wykrzyknął do mnie: „Czy to wy podaliście do aresztu te gazety?” Przyznałem się. „To wam nie ujdzie na sucho! Ja nie pozwolę na uprawianie polityki w wojsku!”

Gdy kapitan zjawił się w świetlicy, pierwszy, który go dostrzegł, krzyknął: „Baczność!” Kapitan zapomniał o sakra-

mentalnym: „Dajcie spocznij!” Koledzy więc stali w postawie zasadniczej i ze wzrastającym zaciekawieniem przyglądali się tej scenie. Zdziwili się bardzo, gdy usłyszeli: „Zdejmujcie pas, zaraz przyjdzie podoficer służbowy, zostaniecie aresztowani!” Struchlałem, nie spodziewając się takiego zakończenia służby wojskowej. Kapitan wypadł ze świetlicy równie szybko, jak się zjawił, a ja powlokłem się do sypialni, gdzie po zdjęciu pasa usiadłem na taborecie, aby opowiedzieć kolegom szczegóły mojego wykroczenia.

W południe zeszliśmy na obiad, a podoficer służbowy jakoś nie przychodził. Najbliższy sąsiad z sypialni, Staszek Wołosiecki, zatroskany o mój dalszy los, poszedł zasięgnąć języka. Gdy wrócił, dowiedziałem się, że nasz dowódca zaskoczył w wartowni pełniących służbę: jeden z aresztantów grał z wartownikiem w szachy, a drugi spokojnie czytał gazetę. Wtedy właśnie wydało się, kto dostarczył pisma. Kapitan najpierw wpadł wzburzony do świetlicy, aby zawiadomić mnie o aresztowaniu, a następnie poszedł zameldować dowódcy pułku. Ten jednak w tym czasie przyjmował dowódcę piechoty dywizyjnej płk. dypl. de Laveaux. Podobno kapitan w pokoju dowódcy był bardzo krótko, a wyszedł zaczerwieniony i wściekły. Z nikim nie rozmawiał, obydwie pisma zaniósł do wartowni i bez słowa położył na stole. Było oczywiste, że ucichła ta burza w szklance wody.

Następnego dnia kpt. Cicharski obrzucał mnie ponurym spojrzeniem, a przy wieczornym rozkazie wywołał przed kompanię i zakomunikował, nie podając szczegółów, że za przekroczenie regulaminu zostaje ukarany wstrzymaniem najbliższego awansu. I w ten oto sposób, jako jedyny, opuściłem Pułtusk w stopniu szeregowca podchorążego, gdy moi koledzy zostali sierżantami lub plutonowymi podchorążymi.

Po kilku dniach dowiedziałem się od por. Sochaczewskiego, adiutanta dowódcy pułku, szczegółów tego wydarzenia. W tym czasie grupa wojskowych z inicjatywy „Polski Zbrojnej” ogłosiła apel o bojkotowanie „Wiadomości Literackich”, które zamieściły opowiadanie Z. Uniłowskiego „*Dzień rekruta*” i fragment książki Z. Rudnickiego „*Żołnierze*” Kapitan pomylił słowo bojkot ze słowem zakaz. Płk de Laveaux zwrócił na to uwagę i powiedział, że nie widzi nic karygodnego w czytaniu zarówno „Wiadomości”, jak i „Kuriera”. Regulamin naruszył tylko komendant warty, zezwalając na podanie pism przebywającym w areszcie.

W końcu lipca nadeszły najpiękniejsze chwile naszego pobytu w Pułtusk. Pozbyliśmy się karabinów, bagnetów, masek i pozostałego wyposażenia. Wystarczał nam pas główny, blok papieru i mapnik ze sztabówkami najbliższych okolic. Por. Matykaszwili wprowadzał nas w różne tajniki dowodzenia plutonem i niekiedy nawet kompanią. Omawialiśmy dokładnie wszystkie fazy bitwy o Pułtusk w grudniu 1806 r. i wydaje mi się, że chętniej rozmawialiśmy o tamtych wydarzeniach niż o tworzeniu stanowisk obronnych na północ od Pułtusk w celu powstrzymania (co wydawało się nam nierealne) oddziałów pancernych nieprzyjaciela, usiłującego przez zaskoczenie opanować most na rzece Narwi.

Jednocześnie z tymi rozważaniami nasuwało się nam wiele pytań: dlaczego nie przeszliśmy kursów nauki prowadzenia pojazdów mechanicznych, dlaczego przez blisko rok naszej służby wojskowej zawsze musieliśmy maszerować, nigdy nie przewożono nas wojskowymi samochodami, dlaczego nie widzieliśmy na ćwiczeniach ani samochodów pancernych, ani czołgów, dlaczego nigdy nie posługiwaliśmy się radiostacją, na pewno głównym środkiem łączności w zbliżającej się wojnie.

Nasze uwagi i zastrzeżenia, zgłaszane na przedpolu Pułtusa podczas ćwiczeń aplikacyjnych, były fragmentem wielu dyskusji na tematy związane obronnością kraju i bezpieczeństwem naszego państwa, ale były to rozważania na szczepku podchorążych, a najwyżej podporuczników rezerwy.

Zajęci zagadnieniami i problemami wojskowymi, nie myśleliśmy o najbliższej przyszłości, o życiu w cywilu. Ostatnie dni pobytu w Pułtusku miały niespodziewanie szybko. Pogoda była słoneczna, pełnia lata, na plaży nad Narwią kilka dziewcząt stale towarzyszyło podchorążym, wiążąc z nimi plany wyrwania się z tego pięknego, ale sennego miasteczka. Później okazało się, że prawie wszystkie plany pozostały w sferze niezrealizowanych marzeń.

Nadszedł wreszcie dzień pożegnania z Pułtuskim. Zrozumeliśmy nagle, że jednocześnie musimy rozstać się z najbliższymi kolegami. Był to dzień, w którym wszystko było ostatnie. Wyjątkowo długo trwało ostatnie śniadanie; do wspomnień należał już pośpiech podczas jedzenia. Tak oto kończył się fragment naszego życia.

Służbę tego dnia pełnił por. Rycaj, oficer spokojny, solidny, wielki służbista, bardzo przez nas lubiany za wyrozumiałość i życzliwość. „Panowie podchorążowie, o ósmej zbiórka na dziedzińcu i wymarsz na ostatnie ćwiczenia aplikacyjne. Po obiedzie nastąpi zdawanie zbytecznych sortów mundurowych, sienników i koców, a później odbierzenie przepustki i rozkazy wyjazdu, aby po trzech dniach urlopu zgłosić się do swoich macierzystych jednostek!”

Zbiórkę robi jeden z nas i zdaje raport porucznikowi. Już po raz ostatni w zwartej kolumnie ze śpiewem opuszczamy koszary. Idziemy szosą w kierunku odległego o 6 km Gromina. Kilkadziesiąt kilometrów dalej jest Ciechanów, a za nim granica Prus Wschodnich. Wspominamy, jak na tej szosie mieliśmy

pierwszy marsz w pełnym rynsztunku. Zatrzymujemy się na wzgórzu po lewej stronie szosy. Jest już po żniwach. Okolica jest urzekająco piękna. Przed nami rozciąga się las, za nami Pułtusk. Czerwone dachówki tworzą prostokątne plamy na tle ciemnej zieleni wysokich drzew. Gdy mamy odjeżdżać, miasto staje się nam bardzo bliskie. Chcę utrwalić w pamięci jego panoramę.

Mamy rozwiązywać ostatnie już zadanie. Por. Rycaj uśmiechając się, rzuca nam wielokrotnie powtarzany temat: „Szybkie oddziały »nieprzyjaciela« przerwały się przez naszą obronę i kierują się na Pułtusk, aby uchwycić przeprawę”. Jak zwykle, otrzymujemy uzupełniające dane: nasi sąsiedzi, rozpoznane siły „nieprzyjaciela”, środki łączności, m.p. dowódcy itd. Omówienie trwało dość długo, może podświadomie przedłużaliśmy ostatnie chwile. Ledwo zdążyliśmy na obiad.

Por. Rycaj zaproponował nam zbiórke na dziedzińcu w celu pożegnania się z kapitanem. Spotkało się to z ogólnym sprzeciwem. Dowódca kursu nie zapisał się dobrze w naszej pamięci. Niektórzy koledzy poszli jednak do niego ukradkiem. Kapitan nie wychodził z kancelarii, a my czekaliśmy, aż rozkazy wyjazdu wyniesie nam sierżant szef Modelski, z którym żegnamy się serdecznie. Wzruszające było pożegnanie z por. Rycajem i plut. Zakrzewskim. Obydwaj byli w sposób widoczny poruszeni naszymi słowami. Z kolegami wymieniamy podpisy w „Jednodniówce”, zbieramy adresy, obiecując natychmiast napisać po powrocie do domu. Niewiele z tych obietnic pisania listów i częstych spotkań zostało spełnionych.

Po kilku dniach meldowałem się wraz z kolegami w dowództwie 32 pp w Modlinie. Dostałem przydział do 6 kompanii, dowodzonej przez por. Dębowskiego, który zapytał mnie o przyczyny wstrzymania awansów. Koledzy odpowiedzieli, że to za czytanie. Wyjaśniłem całą sprawę, a w kilka dni póź-

niej, jeszcze przed wymarszem na letnie manewry, usłyszałem w rozkazie dziennym o awansowaniu mnie na st. strzelca i na kaprała. Odchodząc do cywila byłem już plutonowym. Podczas manewrów, zakończonych w okolicy Łochowa, pełniłem obowiązki zastępcy dowódcy plutonu, podporucznika rezerwy. Tygodnie mijały w pogodnym nastroju. Kończąc wojskową służbę wspominałem pożegnalne słowa gen. Szyl-linga: „Celem waszego szkolenia było wychowanie was na oficerów i na wzorowych obywateli naszego państwa. W czasie szkolenia nastąpiła selekcja. Oddzieliliśmy tych, z których nie będzie można wychować oficerów. Pozostali tylko ci, którzy posiadają walory dowódców, nieugiętą wolę, odwagę, zdolność podejmowania szybkiej i prawidłowej decyzji, potrzebne cechy charakteru: prawość, uczciwość, miłość Ojczyzny, wolę poświęcenia się, umiejętność zdobycia się na największy wysiłek w potrzebie”.

Po zakończeniu manewrów letnich wieńczących czynną służbę wojskową powracaliśmy do domów. Był 18 września 1936 r. Mundury wojskowe zdejmowaliśmy w niespokojnym czasie. Nad Polską gromadziły się ciemne chmury, pojawiały się wyraźne oznaki zbliżającej się wojny.

Służba wojskowa w Szkole Podchorążych stanowiła zamknięty rozdział. Nigdy już nie rozmawiałem z żadnym z naszych dowódców i przełożonych. Z ogromną większością kolegów – absolwentów IV kursu, nie spotkałem się. Wiem, że jedni studiowali, a inni rozpoczęli pracę. Ja już w wojsku ustaliłem plany na najbliższe lata. Chciałem rozpocząć dalszą naukę, ale aby nie obciążać zbytnimi kosztami starych rodziców, postanowiłem najpierw zarobić i wpłacić na książeczkę oszczędnościową 2-3 tys. zł. Taka suma pozwalała na ukończenie studiów. Rozpocząłem pracę w jednej z fabryk chemiczno-farmaceutycznych w Warszawie na Woli.

W dniach 20 września – 30 października 1937 r. odbywałem pierwsze ćwiczenia wojskowe. W fabryce, zgodnie z obowiązującymi przepisami, otrzymałem za ten okres pełne wynagrodzenie. Jeśli powoływano na ćwiczenia oficera rezerwy, to otrzymywał on w wojsku dodatkowe wynagrodzenie, np. podporucznik 150 zł, podchorążym płacono tylko „strawne” – w zależności od stopnia wojskowego.

Na ćwiczenia skierowano mnie do III batalionu 32 pp, detaszowanego do Działdowa, na granicy z Prusami Wschodnimi, w odległości 150 km od Warszawy. Przedwojenne, poniemieckie koszary znajdowały się w pobliżu dworca kolejowego, a plac ćwiczeń i strzelnica niedaleko folwarku Malinowo, w sąsiedztwie rzeczki Szkotówki, wzdłuż której biegła granica państwa. W najbliższą niedzielę wybraliśmy się na zwiedzanie Działdowa. Miasteczko było wyjątkowo czyste i zadbane, liczyło ponad 6000 mieszkańców, już na pierwszy rzut oka różniło się „pruskim” charakterem od Pułtusza i innych małych miasteczek w tzw. Kongresówce. Oglądaliśmy stary ratusz, ruiny zamku krzyżackiego, zwiedzaliśmy Muzeum Mazurskie, wysłuchując opowieści o dziejach Mazurów, oglądając książki i pisma w języku polskim, ale drukowane czcionką gotycką.

W poniemieckich koszarach kwaterował wydzielony z macierzystej jednostki III batalion 32 pp z Modlina, dowodzony przez ppłk. Sidorskiego. Był to pogodny grubas, z małą bródką, dobry dowódca i wzorowy gospodarz. Kwatermistrzostwo batalionu, korzystając z pracy żołnierzy, prowadziło gospodarstwo rolne i hodowlę trzody, co zapewniało żołnierzom obfite wyżywienie.

Na ćwiczenia przyjechało dziesięciu podchorążych, w tym połowa z IV kursu. Należało do nas szkolenie młodego rocznika: musztra i pogadanki na tematy wojskowe. Dodatkowo mieliśmy ćwiczenia aplikacyjne, polegające na wędrownkach

z mapą w rękę w pobliżu granicy i wyszukiwaniu miejsc odpowiednich do zbudowania stanowisk obronnych, ustawienia punktów obserwacyjnych, placówek i zasadzek, na wypadek zagrożenia ze strony Niemców.

Podczas ćwiczeń z ciekawością obserwowaliśmy, co się działo po tamtej stronie granicy. W pobliżu nie było żadnej wioski, tylko wielkie gospodarstwo rolne. Wśród zabudowań folwarku kręcili się robotnicy, na polach pracowały traktory. W pobliżu była czynna duża cegielnia z wysokim kominem. W okolicy nie było przejścia granicznego. Szosę zabarykadowano, a tor kolejowy częściowo rozebrano po polskiej stronie. Niegdyś jeździło się tędy do Nidzicy i Olsztyna.

Miejscowi ludzie opowiadali, że granica ożywa nocą. Kwitnie przemysł, z którego wielu dobrze żyje. Z Niemiec przez zieloną granicę przenoszono sacharynę, kamienie do zapalniczek, tanie zegarki i sprzęt fotograficzny, a w drugą stronę wędrowały artykuły żywnościowe, przede wszystkim wędliny, grzyby suszone i drób. Podczas naszych nadgranicznych wędrówek nie spotkaliśmy funkcjonariuszy Straży Granicznej, prawdopodobnie mieli jakieś punkty obserwacyjne, których nie zauważyliśmy. Tuż nad granicą, nad dość wąskimi rzeczками Nidą i Szkotówką, co kilkaset metrów znajdował się kamień graniczny, będący jedynym i raczej symbolicznym zabezpieczeniem naszej granicy. Podobnie było i po niemieckiej stronie, nigdy nie zauważyliśmy tam ani strażnika, ani żołnierza.

Powołanym na ćwiczenia podchorążym przydzielono dużą sypialnię. W pobliżu mieliśmy natrysk i ubikację. Po tygodniu zżyliśmy się bardzo. Był m.in. Mietek Bodych, jeden z czołowych rewiowców z IV kursu w Pułtusku. Po kilku wieczornych próbach udało mu się utworzyć zespół wykonawców różnych skeczów oraz pięcioosobowy chór rewelersów. Zaangażowano

do współpracy kilka pań z Rodziny Wojskowej, wykazujących pewne aspiracje artystyczne. Mnie przypadła rola inspicjenta i konferansjera, przez co zyskałem pewną popularność w kosharach i w mieście, gdyż nasze przedstawienie powtarzaliśmy dwukrotnie w sali kinowo-teatralnej.

Ćwiczenia kończyliśmy w końcu października. Płk Sidorowski żegnając się z nami zapowiedział, że na wszystkich podchorążych wysyła wnioski oficerskie. Ostatniego dnia przed południem czekała nas jeszcze pogadanka kpt. Jasińskiego. Był to inteligentny, elokwentny i nadzwyczaj grzeczny oficer. Cechą charakterystyczną były mocno skrzywione wargi, jak mówiono – następstwo postrzału w roku 1920. Opowiadał też, że był już pułkownikiem i został zdegradowany za udział w pojedynku, w którym ciężko zranił albo nawet zabił przeciwnika. Powtarzano w zaufaniu, że jest urzędującym w Działdowie oficerem kontrwywiadu.

Po dość długiej, interesującej pogadance na temat naszych przygotowań do wojny, o stosunkach polsko-niemieckich i o warunkach życia w małym przygranicznym garnizonie kpt. Jasiński wypytywał nas o wrażenia z ćwiczeń, o nasze spostrzeżenia i uwagi, dotyczące zarówno miasteczka, jak i garnizonu. Nikt nie zabierał głosu. Wtedy ja, zupełnie niepotrzebnie, poruszyłem dwie sprawy. Zacząłem od sprawy ogólnokrajowej. Możemy spodziewać się wojny, jedynym kryterium powoływania do najważniejszych prac powinna być uczciwość i zdolności, a tymczasem nas na zakończenie ćwiczeń kpt. Jasiński pyta, kto należy do Związku Strzeleckiego, organizacji ściśle powiązanej z obozem piłsudczyków i Ozonem. Czy tylko ta legitymacja ma określać dobrego obywatela i oficera? Druga sprawa dotyczyła denerwującej mnie pewnej kastowości. Opowiedziałem o tym, jak w Działdowie młody podporucznik, dość złośliwy, krzyczał na dziedzicu

do sierżanta odznaczonego Krzyżem Walecznych: „Sierżancie! Ruszajcie się prędzej! Ja tu nie będę czekał!”, zmuszając do biegu niemłodego już człowieka, gdy ten szedł z kancelarii z listą stojących w szeregu żołnierzy młodego rocznika.

Usłyszałem tylko jedną odpowiedź, że zmiany w sposobie odzywania się oficera do podoficera z „wy” na „pan”, a także szersze udostępnienie szkół oficerskich dla podoficerów szybko doprowadziłyby do obniżenia rangi korpusu oficerskiego i do utraty ogromnego autorytetu, jaki w społeczeństwie ma oficer.

Kpt. Jasiński żegnając się z nami, podawał każdemu rękę, dołączając jakąś uwagę lub serdeczne życzenia. Przed odjazdem mieliśmy jeszcze wizytę u lekarza, który miał stwierdzić stan naszego zdrowia. Lekarz kolejno prosił nas do gabinetu. Ja byłem na końcu. Gdy zacząłem się rozbierać, lekarz wyszedł z pokoju, zostawiając na biurku mój zeszyt personalny.

Sprowokowany taką sytuacją, zacząłem go przeglądać – w rubryce „Uwagi i opinie” napisano: „Wymaga obserwacji ze względu na przekonania polityczne”. Opinia Kursu Podchorążych była znacznie dłuższa. Dowódca kursu omawiał wyniki mojej służby. Uznał, że jestem należycie wyszkolony, dobrze dowodzę plutonem, posiadam duży zasób wiadomości wojskowych, ale na zakończenie stwierdził: „Wstrzymano awans na skutek manifestowania przekonań politycznych”. Opinie por. Dębowskiego z 32 pp oraz ppłk. Sidorskiego były dobre. Obie kwalifikowały mnie do awansu oficerskiego. Natomiast wszystko zmienił dopisek kpt. Jasińskiego: „Jednostka destabilizacyjna!” Gdy lekarz wrócił do gabinetu, siedziałem na krześle z obojętną miną. Po zbadaniu ubrałem się spokojnie i, żegnając się, podziękowałem za uwagi dotyczące mojego zdrowia. Wiedziałem już, że dzisiejszą dyskusją z kpt. Jasińskim przekreśliłem swój awans oficerski.

Nigdy niepublikowane zdjęcia z ostatniej przedwojennej defilady.
Warszawa, Aleje Ujazdowskie, dnia 11 listopada 1938 roku.



Marszałek Edward Rydz-Śmigły ze swoim sztabem



Czoło defilującej kolumny



Szkoła Podchorążych Lotnictwa



Dwa warszawskie pułki piechoty. W roku 1938 kwaterowały
w Warszawie trzy pułki piechoty: 21 pp „Dzieci Warszawy”
z 8 DywPiech (w Cytadeli); 30 pp z 10 DywPiech;
36 pp „Legii Akademickiej” z 28 DywPiech (na Pradze).



Szkoła Podchorążych Marynarki Wojennej

Jednocześnie dopiero teraz zrozumiałem sprawę ryngrafu i „Wiadomości Literackich”, a także postępowanie kpt. Cicharskiego w stosunku do Bolka Kordysza, który przed powołaniem do wojska był naczelnikiem w pruszkowskim gnieździe „Sokoła”, organizacji uważanej za proendecką, a więc tym samym antypiłsudczykowską, i prawdopodobnie otrzymał z referatu wojskowego opinię podobną do mojej. Żał mi się zrobiło, że w taki głupi sposób załamały się moje marzenia o stopniu oficerskim, tym bardziej że i moja Matka bardzo chciała widzieć mnie w oficerskim mundurze.

Rok 1937 kończył się dla mnie nie najlepiej. Mocno odczułem rozstanie z Helą.

Czwartego lutego 1938 r. Hitler objął naczelne dowództwo Wehrmachtu, co nie wróżyło nic dobrego. Dwunastego marca nastąpiło przyłączenie Austrii do Rzeszy niemieckiej.

W lipcu spędzałem urlop w Poroninie. Mieszkaliśmy ze Staszkiem Wołosieckim w pensjonacie „Marluan”, w pobliżu dworca kolejowego. W kilka dni po naszym przyjeździe w sąsiednim pokoju zamieszkała Hania wraz ze swoją siostrą Marysią. Wszyscy mieszkaliśmy od urodzenia w Pruszkowie, ale poznaliśmy się w Poroninie. Po kilku dniach właścicielka pensjonatu, znana malarka na szkle, p. Aniela Gut-Stapińska przepowiedziała nam małżeństwo, zapowiadając wiele różnych komplikacji.

W pierwszych dniach sierpnia 1938 r. otrzymałem wezwanie na miesięczne ćwiczenia wojskowe. Wiedziałem już, że zostanę tzw. żelaznym podchorążym, i że będą to moje ostatnie ćwiczenia. Ponownie trafiłem do kompanii por. Dębowskiego w 32 pp w Modlinie. Zmieniło się moje nastawienie do służby wojskowej, gdyż wiedziałem już, że nie miały większego znaczenia zabiegi i starania, aby wzorowo odbywać ćwiczenia. Mogłoby to tylko śmieszyć dowódców albo wydawać się podejrzanym. Gdy

por. Dębowski zapytał mnie, jaką chciałbym objąć funkcję, opowiedziałem historię mojej nieszczęsnej dyskusji z kpt. Jasińskim i opłakane jej rezultaty. Przez blisko miesiąc pomagałem plutonowemu, który zastępował chorego szefa kompanii i pogubił się w papierach, sprawozdaniach, raportach i rozkazach. Miałem dość dużo pracy kancelaryjno-biurowej, którą starałem się prowadzić wzorowo. Zamiast maszerować z kompanią, jeździłem wozem taborowym, pilnując dużej skrzynki wypełnionej różnymi papierami i dokumentami, bez których kompania nie mogła normalnie funkcjonować. Gdy zrobiłem, co do mnie należało, gdy rozkaz dzienny był gotowy, mogłem opalać się lub z innymi „łazikami” grać w karty.

Por. Dębowski podczas pożegnania powiedział: „Ta cholerna opinia wlecze się za wami jak smród za kompanią”. Zapewnił mnie, że jednak wyśle dla mnie wniosek awansowy na stopień podporucznika rezerwy. Podobno miał na to otrzymać zgodę dowódcy batalionu. Oświadczenie to nie zrobiło na mnie już większego wrażenia. Poprzednie emocje przeminęły bez echa. Spokojnie rozstawałem się z 8 DP i 32 pp. Na początku 1939 r. zamiast oficerskiego awansu otrzymałem w RKU nową kartę mobilizacyjną – białą z czerwonym paskiem. Przeniesiono mnie do 9 DP, do 34 pp w Białej Podlaskiej.

W końcu marca 1939 r. zaskoczyła nas wszystkich cicha mobilizacja. Niby odbywała się ona w największej tajemnicy, ale dość szybko dowiadaliśmy się, gdzie są koledzy i znajomi, którzy niespodziewanie i bez zapowiedzi zniknęli, pozostawiając wiele nie załatwionych spraw.

Po kilku tygodniach zaczęto mówić o żądaniach Hitlera, w tym przyłączenia Gdańska do Rzeszy, a także eksterytorialnej szosy i linii kolejowej przez nasze Pomorze, nazywane przez Niemców korytarzem. Całe społeczeństwo polskie było jednomyślne — powiedziało: „Nie!”

Nie było w nas megalomanii, nikt nie twierdził, że będziemy mogli sami sprostać Niemcom. Powszechnie zdawano sobie sprawę, że jeśli wybuchnie wojna, to jej losy decydować się będą na Zachodzie — to Anglia i Francja pokonają Hitlera i zmuszą go do ustąpienia, a rola Polski w tych zmaganiach ma być pomocnicza, utrudniająca Niemcom rozgrywkę z naszymi aliantami. Niestety, w potęgę naszych sprzymierzeńców wierzyliśmy bezkrytycznie.

W Niemczech 20 kwietnia, dla uczczenia 50. urodzin Hitlera, odbyła się wielka parada wojskowa. Takiego pokazu siły świat jeszcze nie widział. W osiem dni później Niemcy wypowiedziały układ morski zawarty z Anglią oraz pakt o nieagresji podpisany z Polską.

Nie wiedzieliśmy, że wojna jest aż tak blisko... Przygotowywałem się do rozpoczęcia studiów na początku października.

Część II

Godziny rozpacz

Upalne dni i gwiazdziste noce – takie w mojej pamięci zostało ostatnie przed wybuchem drugiej wojny światowej lato.

Do połowy sierpnia 1939 r., mimo niejasnych przeczuć i różnych groźnych zapowiedzi, wojna była jakąś mglistą i trochę nierealną możliwością. Dopiero w drugiej połowie miesiąca zaczęło narastać przekonanie o niebezpieczeństwie. Woźni z magistratu roznosili karty powołania, a na kolei widzieliśmy transporty wojskowe, na umajonych gałęziach wagonach stały okryte brezentem działa.

W Fabryce Stowarzyszenia Mechaników w Pruszkowie ustawiono dwa działa przeciwlotnicze, a na dachu nastawni kolejowej w pobliżu mostu na Utracie dyżurowało dwóch żołnierzy w hełmach bojowych i z lornetkami. Była to obsługa cekaemu z celownikiem przeciwlotniczym. Pod koniec miesiąca kopano rowy przeciwlotnicze, rozwieszano zasłony na oknach, naklejano skrzyżowane paski papieru na szyby. Okna fabryk pomalowano na niebiesko, wygaszono uliczne latarnie.

W ostatnich dniach sierpnia utworzono w Pruszkowie Pomocniczą Służbę Bezpieczeństwa. Komendantem został mój kolega z podchorążówki Julek Mazurkiewicz, a ja jego zastępcą. Od lat przyjaźniłem się z Julkiem, należał

on kiedyś do Straży Przedniej i Legionu Młodych (pro-rządowych organizacji młodzieży szkolnej i studentów). Jego ojciec był kierownikiem szkoły, działaczem BBWR, a następnie OZN. W starostwie złożyliśmy przyrzeczenie, a w komisariacie policji przy ul. Klonowej nr 7 oddano nam do dyspozycji mały pokój. Urzędowanie rozpoczęliśmy od sporządzenia listy ochotników – mężczyzn w starszym wieku, którzy mieli być strażnikami, oraz młodych dziewcząt-harcerek, potrzebnych nam jako łączniczki.

Służba Bezpieczeństwa miała dozorować fabryki, mosty, tory kolejowe i linie wysokiego napięcia. Ustaliliśmy listę obiektów, które należało zabezpieczyć. Na dwugodzinny dyżur strażnicy wychodzili z białymi opaskami na rękawie ze stemplem Zarządu Miejskiego, uzbrojeni jedynie w laski. Trwała dalej „cicha” mobilizacja.

W ostatni sierpniowy wieczór późno położyliśmy się spać, wysłuchując komunikatów radiowych. Jak codziennie, o godz. 23 radio transmitowało muzykę taneczną z „Cafe Clubu”. W przerwach nadawano zaszyfrowane wojskowe komunikaty oraz reklamy najnowszych filmów.

W piątek, 1 września, obudził mnie krótki sygnał fabrycznych syren. Nasłuchiwałem. Rodzice jeszcze spali. Tapczan brata był pusty. Jurek – zmobilizowany przed tygodniem – czuwał gdzieś w podwarszawskich lasach, ochraniając stolicę reflektorami i aparatami podsłuchowymi. Usnąłem ponownie. Przez myśl mi nie przeszło, że ten prawie nie zauważony krótki ryk syren fabrycznych mógł oznaczać wybuch wojny. Po godz. 8 ponownie zawyły syreny fabryczne. W radiu ogłoszono orędzie prezydenta. A więc wojna! Zjadam śniadanie i wychodzę z domu. Na ulicach panuje spokój. Przed komisariatem stoi duża grupa starszych osób, następnych ochotników do Służby Bezpieczeństwa.

Ludzie zachowywali się spokojnie – przekonani, że wojna będzie się toczyć gdzieś daleko, na granicach kraju, że pod osłoną naszej armii są bezpieczni.

Do Warszawy pojechałem na rowerze. W pracy na razie nie było żadnych zakłóceń. Na dziedzińcu fabrycznym kilka osób rozmawiało o wojnie. Każdy miał jakieś rewelacyjne wiadomości o działaniach aliantów. Najwięcej i najgłośniej mówił tęgi Francuz, zawsze elegancko ubrany dr Chevaleaux, kierownik działu licencyjnej produkcji syropu „Famela” – szeroko reklamowanego leku przeciwko gruźlicy płuc. Jak zwykle do pracy przyjechał czarnym citroenem, którego wyjątkowo ustawił na podwórku, w pobliżu bramy, jak gdyby przygotowując się do szybkiego wyjazdu. W końcu czerwca był na urlopie we Francji. Zmobilizowany jako oficer rezerwy, otrzymał rozkaz powrotu do Polski z pewną misją, w którą nas nie wtajemniczał, a o którą nie pytaliśmy, rozumiejąc dobrze co to jest tajemnica wojskowa.

Gadatliwy Francuz zachwycał się sprawnością mobilizacyjną armii francuskiej. Wracając do Polski w końcu sierpnia, zaobserwował wiele czołgów przesuwających się w kierunku granicy niemieckiej, a w pobliżu granicy widział na lotniskach liczne eskadry angielskich bombowców. Niemcy przepuścili go przez granicę, wyznaczając trasę przejazdu, na której był eskortowany przez policyjny samochód.

Kierownictwo naszej fabryki na środku dużego podwórka omawiało sytuację wojenną, nanosząc na mapę swoich marzeń opowieści dzielnego optymisty z Francji.

Późnym popołudniem zaryczały syreny fabryczne. Kto mógł, wychodził na dziedziniec z maską przeciwgazową. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, aż ktoś zauważył: „O! Lecą!” Na błękitie nieba przesunęło się kilkanaście srebrzystych samolotów, lecących w szyku trójkowym – tak wysoko, że nikt

nie mógł rozpoznać znaków na skrzydłach. Może to nasze? Po chwili wątpliwości rozwiały rozrywające się w górze pociski artylerii-przeciwlotniczej. Strzelano coraz częściej i wydawało się, że coraz celniej. Ale były to tylko złudzenia. Niemcy nie zmienili szyku i spokojnie lecieli nad Warszawą.

Kiedy nieosiągalne dla artylerii samoloty znalazły się nad naszymi głowami, z przerażeniem zobaczyliśmy, że zaczęły się od nich odrywać czarne punkty, które gwałtownie powiększały się, rosły w oczach. Ktoś krzyknął przeraźliwie: „Uciekajmy! To bomby!” Tym razem mieliśmy szczęście, bomby omijały naszą fabrykę. Usłyszeliśmy głuchy huk, a później wybuchy następowały jeden po drugim, bardzo szybko, tak że wkrótce było po wszystkim. Przez chwilę panowała cisza, pozornie nic się nie działo, samoloty poleciały dalej. Tymczasem ponad dachy sąsiednich domów powoli zaczął wznosić się słup dymu, kurzu i ognia, a jednocześnie doleciał do nas zduszony, przejmujący jęk, przechodzący w rozpaczliwy krzyk. Z okien zaczęły wylatywać szyby, rozbijając się z trzaskiem o bruk, a górą, miotając wierzchołkami wysokich drzew, przewalał się z dziwnym wyciem podmuch wzburzonego powietrza. To wszystko trwało bardzo krótko, przez kilkanaście przyśpieszonych uderzeń serca. Przybierały na sile dalekie okrzyki, narastał jęk rozpacz, a tuż obok nas zaczęły spadać ze świstem stalowe odłamki pocisków, tłukły po dachach i jak szybkie kłasnienia uderzały w asfalt podwórka. Uciekliśmy do budynków, szukając schronienia w swoich pokojach i halach fabrycznych. Broniły nas żelbetonowe stropy.

Takie było moje pierwsze zetknięcie z wojną. Po kilku minutach wiatr przygonił do nas ciemny, gęsty tuman dymu i kurzu. Ostry zapach eksplodujących materiałów wybuchowych mieszał się z dymem z płonących domów i z wyrzuconym do góry pyłem ze starej zaprawy murarskiej. Jakaś zdenerwowana pracownica

zaczęła histerycznie krzyczeć: „Gaz! Gaz!” Wszyscy mieliśmy maski przeciwgazowe, ale należało powstrzymać narastającą panikę. Nie zakładałem maski, ponieważ nie czułem nic poza dymem z pożarów i zapachem wybuchających pocisków.

Szybko odjechał do domu monsieur Chevaleaux. Już go nie zobaczyłem, podobno przez Rumunię wyjechał do Francji.

W fabryce nic się nie zmieniło. Słuchać było stuk drewnianych butów, w jakich robotnicy chodzili po hali produkcyjnej. Wszystkie urządzenia pracowały. Uzupełniłem uwagi dziennik produkcji. Tak jak każdego dnia ważyłem przed odesłaniem do magazynu wyprodukowane chemikalia. Na dziedziniec wjeżdżały ciężarowe samochody. Wróciła półciężarówka po odwiezieniu na pocztę paczek z lekarstwami, wysyłanymi do hurtowni aptekarskich w całej Polsce. Przed godz. 22 opuściłem fabrykę. Wieczór był wyjątkowo ciepły. Powietrze na Woli nasyczone było zapachem ugaszonych pożarów i zburzonych domów. Ledwo widoczne tramwaje zgrzytały na zakrętach. Nigdzie nie było widać nawet najmniejszego światełka. Jechałem wolno rowerem, uważając na pozbawione świateł dorożki i samochody. Tylko na torach kolejowych widziałem przyćmione światełka zwrotnic i semaforów.

Od przerażonych rodziców dowiedziałem się o bombach zrzuconych na Pruszków. Prawdopodobnie celowano w Warsztaty Kolejowe, zniszczono kilka domów, zabito kilkanaście osób. Włączyłem radio. Muzyka, komunikaty, zaszyfrowane teksty. Trwają ciężkie walki nad granicą. Zniszczono setki niemieckich czołgów, zestrzelono kilkadziesiąt samolotów. Długo w noc nie mogłem zasnąć.

W sobotę od rana urzędowałem w komisariacie. O godzinie ósmej nowa zmiana wyruszała na dwugodzinną wędrowkę wokół fabryk, wzdłuż torów kolejowych i linii wysokiego napięcia, obok mostów i transformatorów.

Od kilku dni kopano rowy przeciwlotnicze na podwórkach, skwerach, w parkach, w pobliżu budynków mieszkalnych. Wykopano ich już wiele, teraz po niemieckim nalocie zaczęto je udoskonalać, budując schrony. Z desek układano ochronne dachy, które zasypywano ziemią i maskowano gałęziami lub darnią, wewnątrz ustawiano ławki i nawet małe stoliki. Wielu ludzi w pośpiechu zamieniało piwnice w schrony; przenoszono tam łóżka, pościel, ubrania i walizki z najcenniejszymi przedmiotami. Gromadzono zapas świec, poszukiwano lamp naftowych.

Kto miał maskę przeciwgazową, już się z nią nie rozstawał. Wielu ludzi ustawiało się przed aptekami, by kupić środki opatrunkowe lub uspakajające, a także wodę wapienną, aby nasycić tampon z waty, przez który powinno się oddychać podczas ataku gazowego. Długie kolejki ustawiały się przed urzędami pocztowymi, jedni wpłacali różne należności, inni wycofywali zaoszczędzone pieniądze.

Tory uszkodzone bombą lotniczą naprawiono dość szybko, jednakże transport kolejowy pracował coraz gorzej, gdyż samoloty ostrzeliwały pociągi. Jedynie kolejka EKD trzymała się rozkładu jazdy. Ludzie pracowali normalnie, czynne były wszystkie fabryki i biura. Do pracy znowu pojechałem na rowerze. Widziałem skutki bombardowań. Ze zrujnowanych budynków przygnębieni ludzie wyciągali resztki dobytku. Usiłowano dostać się do zasypanych. Wyciągnięte spod ruin trupy, przykryte kocami, leżały w pobliżu.

Za Włochami, przy szosie wolskiej, leżały na ziemi dobrze zamaskowane, umocowane do stalowych lin, balony zaporowe, które o zmierzchu wypuszczano do góry, podobno na wysokość kilku kilometrów, aby przeszkodzić ewentualnym atakom nieprzyjacielskich lotników. W fabryce rozmawiano o wczorajszym nalocie, ale panował spokój. Zakończyliśmy

produkcję pierwszej partii fenacetyny. Zawartość wielkiego zbiornika wypuszczano na prasy filtracyjne. Dyrektor był zadowolony. W poniedziałek mieliśmy rozpocząć przygotowania do produkcji następnej partii. Nikt nie wspomniał o wojnie, myśleliśmy o wynikach analizy i o tym, że niepotrzebny już będzie import fenacetyny z Niemiec. Mogliśmy zaspokoić całkowicie zapotrzebowanie kraju.

O godz. 18 wsiadłem na rower. W poniedziałek mieliśmy pracować normalnie, powinienem być w fabryce o godz. 7.00.

Na ulicach Woli tłoczyli się zdenerwowani ludzie. W szeroko pootwieranych oknach ustawiano radioodbiorniki, aby przechodnie mogli wysłuchać komunikatów o walkach nad granicą. Na skraju Woli, obok leżących balonów zaporowych rozmieszczono stanowiska artylerii przeciwlotniczej. Na szosie panował duży ruch. Wojskowe ciężarówki rozganiały trąbieniem tarasujące drogę furmanki.

We Włochach zaskakuje mnie przedświąteczna wilegiatura. W stawach kąpią się młodzi ludzie. Na wysokim brzegu grupki mężczyzn grają w karty, inni popijają wódkę, przebiegając w rozłożonej na papierze zakąsce. W domu pośpiesznie jem obiad, opowiadając rodzicom ostatnie wiadomości z Warszawy. W komisariacie zastępuję Julka. Nasi wartownicy w dalszym ciągu mają tylko laski jako uzbrojenie.

Po wczorajszym nalocie zapanował w mieście trudny do opanowania lęk przed bombami lotniczymi. Narastała obawa przed niemiecką dywersją, tzw. piątą kolumną, o której coraz więcej pisano w gazetach i mówiono w radiu. Zapanowała atmosfera podejrzeń nawet wśród sąsiadów. Padły posądzania lub nawet oskarżenia o sprzyjanie Hitlerowi. Przy okazji próbowano załatwiać dawne zatargi i nieporozumienia. Wzburzeni ludzie kilka razy przyprowadzili wystraszonych mężczyzn, przekonując nas, że to na pewno szpiedzy, gdyż zachowywali

się podejrzenie, albo że dywersanci, gdyż nie mają żadnego dokumentu, nie znają miasta i pytają o drogę do kolejki lub o jakąś ulicę. Niewiele osób miało wtedy dowody osobiste. Po kilku godzinach, gdy dyżurny policjant miał trochę wolnego czasu, sporządzono protokół, a następnie tylnym wyjściem wypuszczono aresztantów na wolność.

Późno w nocy przyjechał z Warszawy komisarz policji wraz z cywilem, który od razu przywitał się ze mną. Był to Włodzimierz Lechowicz, którego poznałem w starostwie w końcu sierpnia, podczas „odprawy”, na której byłem wraz z Julkiem Mazorkiewiczem. Mówił nam wtedy o naszych obowiązkach i o zadaniach jakie nas czekają w Pomocniczej Służbie Bezpieczeństwa. Podpisywaliśmy wtedy jakąś deklarację lub zobowiązanie. Gdy oczekiwaliśmy na tramwaj, w pobliżu Placu Zbawiciela, Julek powiedział mi, że poznany w Starostwie cywil to „dwójkarz” – Włodzimierz Lechowicz. Dumny z poznania prawdziwego oficera „Dwójki”, zapamiętałem to nazwisko. Po latach, już w PRL-u, trudno mi było uwierzyć, że to on został Ministrem Handlu Wewnętrznego, Prezesem Komitetu Drobnej Wytwórczości, później ambasadorem w Holandii, a po przejściu na emeryturę – redaktorem naczelnym organu Stronnictwa Demokratycznego. Już wtedy było wiadomo, że do pracy w II Oddziale Sztabu Generalnego Wojska Polskiego skierowało jego NKWD, był sowieckim agentem. W tamtą pamiętną noc, z 2 na 3 września 1939 roku, przyjechał do Pruszkowa, wraz z komisarzem policji, aby uczestniczyć w zatrzymaniu i przewiezieniu do specjalnego obozu w Jabłonnie osób podejrzanych o współpracę z hitlerowskimi organizacjami. Przybyły z Warszawy komisarz oczekiwał w głębi komisariatu na przybycie wezwanego telefonicznie aspiranta Iwańczyka, kierownika pruszkowskiego Komisariatu, a Lechowicz rozsiadł się przy stole w pokoju przy wejściu do Komisariatu, przy którym urzędowałem.

Gdy zjawił się aspirant Iwańczyk, oczekiwano na przybycie kilku zaalarmowanych policjantów. Lechowicz pokazał mi listę kilkunastu osób o niemieckich nazwiskach, którzy mieli być przewiezieni do obozu w Jabłonie. Na liście było nazwisko mojego zastępowego z czasów harcerstwa: Leopold Wild z ulicy Szkolnej nr 4. Od razu zaprotestowałem, wiedząc, że była to jakaś pomyłka. Uważałem Poldka za polskiego patriotę. Opowiedziałem Lechowiczowi wydarzenie sprzed kilku lat.

Było niedzielne przedpołudnie. W parku „Sokoła” rozgrywano jakiś mecz koszykówki. Wokół boiska stało kilkaset osób. Obok mnie stał Poldek Wild. Mecz przerwał Staszek Szabelski, przynosząc wiadomość o tragicznej śmierci naszych bohaterów narodowych: Żwirki i Wigury. Ta zaskakująca wiadomość wstrząsnęła zebranymi. Poldek zaczął płakać. Chusteczką ocierał łzy, ściekające po policzkach. Meczu nie ukończono.

Lechowicz, wpatrzony we mnie, wysłuchał tej opowieści i po chwili wahania skreślił nazwisko Poldka z tej listy. Po dłuższej chwili milczenia powiedział mi: „Jutro lub pojutrze zostanie ogłoszona mobilizacja rezerwistów z czerwonym paskiem na kartach mobilizacyjnych. Będziecie panowie potrzebni w Pruszkowie. Możecie nie zgłaszać się na mobilizację, a Mazurkiewicz niech przyjedzie do mnie, to otrzyma zaświadczenia, zwalniające was z tej mobilizacji!”

W połowie nocy nareszcie uspokoiło się. Do rana siedziałem na schodkach przed wejściem, wysyłając co dwie godziny patrole na ciche zaciemnione ulice. Nad ranem przyszło kilka zrozpaczonych kobiet, które przyniosły żywność i bieliznę dla aresztowanych w nocy mężczyzn, podejrzanych o sprzyjanie hitlerowcom. Płaczące kobiety błagały o jakąś wiadomość o uwięzionych mężach i synach, przeklinały wojnę i złośliwych sąsiadów. Przechodnie, współczujący początkowo kobietom,

gdy dowiedzieli się, że są to żony lub matki aresztowanych niemieckich kolonistów, natychmiast z zadowoleniem powitali ich los. Przez te kilka dni narodziła się już zbiorowa nienawiść do wszystkiego co niemieckie.

W niedzielne południe, wracając z kościoła zaszedłem do Komisariatu, w którym urzędował Julek Mazurkiewicz, następne, kolejne zmiany wartowników, dla dozoru ważnych obiektów. Wartownicy mieli „urzędowe” opaski oraz laski, jako uzbrojenie. Naszą rozmowę przerwał zdyszany ojciec Julka, przynosząc wiadomość o naszej mobilizacji.

Nic nie powiedziałem Julkowi. Uważałem, że naszym najważniejszym obowiązkiem jest zgłoszenie się do jednostki wojskowej po ogłoszeniu właściwej mobilizacji. Tej samej niedzieli, po południu, Julek odjechał do 18 pp w Skierniewicach, a ja do 34 pp w Białej Podlaskiej. Po wielu latach, gdy już poznałem prawie wszystkie szczegóły działalności W. Lechowicza na terenie powiatu warszawskiego i Warszawy, byłem przekonany, że chciał nas obu, Julka i mnie, wykorzystać w „siatce” dywersyjno-szpiegowskiej, którą miał zamiar uruchomić, gdy zacznie się okupacja hitlerowska. Nigdy się nie dowiem, czy tak było naprawdę...

Obowiązek kierowania Służbą Bezpieczeństwa przekazujemy burmistrzowi St. Gruszczyńskiemu i żegnamy się. Do domu idę bardzo wolno, czeka mnie największa przykrość – pożegnanie z rodzicami. Zatrzymują mnie znajomi, podając fantastyczne informacje, że kawaleria polska wkroczyła do Prus, a Bortnowski zajmuje Gdańsk.

W domu nastrój przedpogrzebowy. Wysłuchaliśmy kilkakrotnie powtarzanego komunikatu radiowego o powołaniu rezerwistów z kartami z czerwonym paskiem. Już przed kilkoma dniami, czekając na tę chwilę, zapakowałem do małej walizki najpotrzebniejsze przedmioty: zmianę bielizny, ręczniki, chu-

steczki do nosa, skarpetki, przybory do golenia i mycia, pastę i szczotki do zębów i do butów, pantofle gimnastyczne, kilka paczek sterylnych opatrunków i wodę kolońską. Wziąłem także wieczne pióro i mały blok papieru, aby zapisywać wojenne przeżycia. Przebieram się w wyjściowy mundur podchorążego. Dopasowana bluza, długie spodnie i czapka z okutym daszkiem.

Rozstania z rodzicami bałem się najbardziej. Żegnając się z nimi mówię najprostsze, banalne słowa pocieszenia. Wychozę, już drugi syn odchodzi na wojnę, a oni zostają sami. Ojciec przekroczył siedemdziesiątkę, a ja nie wiem, kiedy wrócę. Odwracam się po raz ostatni. Mama stoi w kuchennym oknie, ojciec wyszedł za mną na podwórko i rozmawia z sąsiadem ubranym w strażacki mundur. W tej krótkiej chwili czułem boleśnie, że kończy się pewien etap mojego życia. Narasta niepokój przed tym, co mnie czeka, i żal za tym wszystkim, co zostawiam.

Na dworcu nikt nie wiedział, kiedy przyjedzie pociąg do Warszawy. Dyżurny ruchu doradził mi, abym do Warszawy pojechał kolejką EKD, a następnie tramwajem do Dworca Wschodniego, skąd odchodzą pociągi do Brześcia. Na peronie EKD otoczyli mnie ludzie, pytając o sytuację na froncie, pełni złudzeń, że człowiek w mundurze wie więcej, niż podają komunikaty.

Na ul. Marszałkowskiej tłum śpiewał pieśni patriotyczne i wznosił okrzyki: „Niech żyje marszałek Rydz-Śmigły! Niech żyje minister Beck! Niech żyje Anglia! Niech żyje Francja! Śmierć Hitlerowi!” Szedłem w kierunku Nowego Świata. Przed ambasadą brytyjską uszczęśliwiony tłum zajął całą jezdnię. „Niech żyje Anglia! Razem do zwycięstwa!” – okrzykom towarzyszył nie bardzo udany śpiew naszego hymnu, a później *Roty*.

Czekając na tramwaj wysłuchałem radiowego przemówienia min. Józefa Becka. Dobrze znaliśmy ten nieco

zachrypnięty głos. Minister z przekonaniem wyrażał wiarę, że sprzymierzeńcy nasi nie zawiodą nas.

Na Dworcu Wschodnim biwakował tłum ludzi. Zawiadowca doradził mi jazdę do Białej Podlaskiej autobusem odjeżdżającym ze Starego Miasta. Linie kolejowe są bowiem intensywnie bombardowane, samoloty niemieckie dosłownie urządzą polowania na pociągi, uszkadzając przy tym tory.

Na Stare Miasto dojechałem tramwajem. W kasie powiedziano mi, że odjazd ma nastąpić późnym wieczorem, gdyż najbezpieczniej jest podróżować nocą, ale wszystkie bilety zostały już sprzedane. Kasjer radził mi: „Panie wojskowy! Czy nie lepiej jechać koleją?”. Zdecydowałem się poczekać do odjazdu autobusu. Podszedł do mnie młody Żyd, z małą walizką podobną do mojej. On także jest podchorążym rezerwy z kartą z czerwonym paskiem i jedzie do Brześcia, gdzie przed dwoma laty ukończył kurs dywizyjny. Dla niego też nie było miejsca w autobusie. Postanowiliśmy zameldować o naszych trudnościach w najbliższej Komendzie Wojskowej.

Naszej rozmowie przysłuchiwała się młoda blondynka. Okazało się, że również chce jechać do Białej Podlaskiej, gdzie jej ojciec był zawiadowcą stacji. Po maturze dostała się do Szkoły Pielęgniarstwa i w końcu sierpnia przyjechała do Warszawy. Tymczasem w lokalu szkoły powstaje szpital wojskowy, a rok szkolny nie rozpocznie się. Wraca więc do domu. Do Komendy Wojskowej w Pałacu Mostowskich poszliśmy razem. Byłem w mundurze wojskowym, więc zdecydowałem się występować w imieniu całej trójki. Od podchorążego wzięłem książeczkę wojskową, od dziewczyny legitymację szkolną i zameldowałem się u najstarszego w tej sali, majora. Na moją prośbę wypisał specjalne pismo z naszymi nazwiskami i przyłożył stempel.

Gdy się ściemniło, nadjechał autobus z szybami zamalowanymi na niebiesko i ze słabą żarówką nad ostatnimi rzę-

dami ławek. Przed odjazdem przyjechał na rowerze wachmistrz żandarmerii z przepustką zezwalającą na opuszczenie Warszawy. W dalszej drodze przydaliśmy się kierowcy, który przy każdym posterunku wojskowym tłumaczył, że wiezie rezerwistów na mobilizację. Pierwszy posterunek wojskowy zatrzymał nas tuż za mostem Kierbedzia, drugi na Gocławku. Sprawdzono zezwolenia na opuszczenie Warszawy, wylegitymowano mnie i mojego sąsiada oraz kierowcę. Przyjrzano się pozostałym pasażerom, którymi w większości byli Żydzi. Podobną kontrolę przeprowadzono w Mińsku Mazowieckim, Siedlcach, Międzyrzecu.

Między Siedlcami a Międzyrzecem utknęliśmy w długiej kolumnie wozów i samochodów. Z góry dolatywał głuchy, dudniący warkot lecących wysoko samolotów. Gdy ucichł, ruszyliśmy dalej. Przed Białą Podlaską ostatni raz kontrolowano dokumenty. Koszary znajdowały się tuż obok szosy, ale ja postanowiłem najpierw odprowadzić do domu dziewczynę. Mieszkała w budynku dworcowym, a mnie na razie nie śpieszyło się – w koszarach powinienem się stawić dopiero rano. Pożegnaliśmy się z podchorążym jadącym do Brześcia. Z dziewczyną, która miała na imię Zosia, pożegnałem się przed dworcem kolejowym. Umówiliśmy się, na spotkanie we wtorek, ale losy potoczyły się inaczej.

Do koszar wędrowałem pustymi ulicami. Nad miastem unosił się zapach spalenizny, świadczący o tym, że bomby niemieckie nie ominęły Białej Podlaskiej. Wartownik przy bramie stuknął obcasami i wskazał budynek, w którym miałem się zameldować. Otworzyłem drzwi, sala była duża, pełno dymu i duszno. Na wprost wejścia wisiały trzy portrety dostojników państwowych i orzeł, na innych ścianach różne tablice informacyjne. Przy stołach na środku sali siedzieli rozgadani rezerwiści. Okazało się, że musimy czekać do rana. Zasypiam

w sąsiedniej sali, na sienniku wypchanym słomą, z głową na walizce. Rano nie było pobudki. Myję się i golę, dostajemy śniadanie. Przybywają dalsi rezerwiści.

W sali, w której odbywała się rejestracja zmobilizowanych, ustawiono osobny stół dla oficerów, osobny dla podchorążych i podoficerów oraz trzy dla szeregowców. Zająłem miejsce w dość długiej kolejce, ale wobec tego, że formalności załatwiano powoli, poszedłem do pułkowego fryzjera, aby mnie ostrzygł do gołej skóry. Kilku takich łysych widziałem w mojej kolejce i pomyślałem, że to dobry pomysł, gdyż w okopach nie będę miał kłopotu z myciem głowy. Radio u fryzjera, podobnie jak w sali, w której przeprowadzano rejestrację, grało na cały regulator. Mówiono o ciężkich walkach na wszystkich frontach i o wypowiedzeniu przez Wielką Brytanię i Francję wojny Niemcom.

Od fryzjera dowiedziałem się o miejscu kwaterowania naszego pułku. 34 pp wraz z 9 DP był już w marcu na Pomorzu, a my stanowiliśmy obsadę batalionu marszewego i mieliśmy być pierwszym uzupełnieniem pułku.

Po obiedzie zarejestrowani rezerwiści pomaszerowali kilka kilometrów za miasto do letniego obozu 34 pp w lasach za torami kolejowymi. Mnie z dwoma podchorążymi zatrzymano do następnego dnia. Od jakiegoś kapitana dowiedzieliśmy się, że nasze awanse oficerskie są w dowództwie 9 DP w Siedlcach. Na razie mamy zostać zastępcami dowódców plutonów. Karabinów nie braliśmy. Po otrzymaniu awansów mamy otrzymać pistolety.

W wieczornych wiadomościach radiowych podano komunikat Sztabu Naczelnego Wodza o zasięgu działań i skutkach walk.

Wyjścia na miasto już nie było. Obijaliśmy się w koszarach. Następnego dnia zostałem zarejestrowany. Tęgi sierżant spi-

sujący nasze personalia był wzorem opanowania i spokoju. Kolorowe baretki na letniej bluzie świadczyły o dwóch ranach, Krzyżu Walecznych i innych odznaczeniach.

Wypisywanie nowej karty ewidencyjnej i pobieranie sortów mundurowych trwało dość długo. Otrzymałem nowy sukien-ny mundur, bez owijaczy, ze specjalnymi paskami płócien-nymi, ściągającymi u dołu spodnie, łączącymi je z cholewką butów. Braliśmy już ostatnie mundury z magazynu mobiliza-cyjnego. Buty były twarde, nierozchodzone. Wziąłem hełm, łopatkę i maskę przeciwgazową, długi, obszerny płaszcz, dwa koce, pas główny i pasek do spodni, plecak i chlebak. Dwa koce po zrolowaniu umieściłem na plecaku wypchanym płasz-czem. Do chlebaka poza manierką i menażką zapakowałem trzy obronne granaty. Mundur wyjściowy wraz z walizeczką włożyłem do worka, do którego przyczepiłem kartkę z na-zwiskiem i adresem i oddałem do pułkowego magazynu. Był piąty dzień wojny.

Nie wiedzieliśmy, że nasz 34 pp już przestał istnieć. Wcho-dząca w skład Armii „Pomorze” 9 DP, dowodzona przez płk. dypl. Józefa Werobeja, otrzymała do obrony pięćdziesięcio-kilometrowy nadgraniczny odcinek w rejonie Tucholi. 34 pp, dowodzony przez ppłk. Wacława Budewicza, zajmował jako odwód stanowiska bojowe w okolicy Lubiewa i Klonowa, na północ od Koronowa. Uderzyły na niego oddziały ze składu XIX korpusu pancernego gen. Heinza Guderiana.

Organizowanie batalionu marszowego 34 pp odbywało się w obozie letnim pod Białą Podlaską i przebiegało dość sprawnie. Po wielu latach dowiedziałem się, że dowodził nami kpt. Tadeusz Radziszewski. Ja zostałem zastępcą dowódcy 1 plutonu 2 kompanii. Na razie nie mieliśmy broni maszyno-wej, byliśmy jednak przekonani, że w dniu wymarszu na front otrzymamy etatową liczbę erkaemów i cekaemów. Zajmujemy

kolejne baraki, w których stały żelazne łóżka z siennikami wypchanymi słomą. Posiłki gotowano w kompanijnych kuchniach, a chleb przywożono z piekarni w koszarach. Podczas wieczornego rozkazu podano nam plan zajęć na dzień następny oraz wyznaczono kompanię służbową.

Pociągi kursowały coraz gorzej. Pod semaforem transporty ewakuacyjne stały po kilka godzin. Las wokół torów wypełniał się wtedy ludźmi. Najpierw były to rodziny rolników ewakuowanych wraz z całym dobytkiem z przygranicznych wiosek, a także uciekinierzy z Pomorza i z Poznańskiego oraz założycieli fabryk zbrojeniowych, ewakuowanych wraz z maszynami i dokumentacją produkcyjną. Później przyjeżdżali urzędnicy z ministerstw i różnych warszawskich biur. Wszyscy wędrowali na wschód. Dopiero za Bugiem miał zapanować ład i porządek i miała rozpocząć się normalna praca.

Powszechnie modlono się o deszcz, aby chmury przystłoniły niebo i utrudniły niemieckim lotnikom celowanie. Ale deszcz, niestety, nie spadł. W górze niezmiennie lśnił błękit. Wysuszone długotrwałymi upałami rzeki i bagna nie stanowiły żadnej przeszkody dla zmotoryzowanych wojsk niemieckich. Piaszczyste drogi tylko tumanami kurzu broniły polskiej ziemi.

Szóstego września rozpoczęła się w oddziałach musztra. Regulaminowa. Z koszar dostarczono nam owalne aluminiowe blaszki, łatwe do przełamania na pół. Miały to być „znaczkki tożsamości”, zawieszane na szyi. Jedna część miała zostać na piersi zabitego żołnierza, a drugą powinno się umieścić na krzyżu nagrobnym. Aby wypełnić dłużyący się czas, zgłosiłem się do wybijania liter na znaczkach. Dostałem od szefa spis ludzi naszej kompanii oraz młotek i alfabet ze stalowych liter. Jednakowy tekst wybijalem na obu połówkach: pułk, imię i nazwisko, rocznik, stopień i wyznanie.

Któregoś dnia obserwowaliśmy nalot na Białą Podlaską. Kilka samolotów na dużej wysokości przeleciało nad miastem, zrzucając bomby w okolicy dworca i fabryki płatowców. Artyleria przeciwlotnicza zestrzeliła jeden samolot. Zaczął się palić, spadając ciągnął za sobą długą smugę dymu. Dwóch lotników wyskoczyło ze spadochronami. Złapano ich i przyprowadzono do koszar. Jeden z nich mocno kulał, skręconą kostkę owinięto mu bandażem. Byli w skórzanych kurtkach i jedwabnych szalikach. Zachowywali się butnie – aż do chwili, gdy usłyszeli krzyk zebranych przed koszarami ludzi, domagających się samosądu. Wieczorem przewieziono ich do Brześcia.

Siódmego września był pięknym dniem jesiennym. Szarobłękitne niebo, babie lato, kolorowe liście na drzewach. Przed południem wysoko nad miastem znowu ukazały się samoloty. Nasze działa, ustawione w Podlaskiej Wytwórni Samolotów i na terenie koszar, strzelały niecelnie. Tym razem jednak lotnicy niemieccy dali nam spokój, widocznie wyznaczono im inne cele.

W lesie niedaleko naszych baraków biwakowały całe rodziny uchodźców i samotni wędrowcy, a także młodzi ludzie z Białej Podlaskiej, którzy w obawie przed nalotami woleli nocować w namiotach w pobliżu wojska. Podczas ostatniego przelotu samolotów ponownie nad naszym lasem ukazały się rakiety. Nie ulegało wątpliwości, że to dywersanci dawali sygnały niemieckim lotnikom. Przerwano nasze zajęcia i utworzono kilkusobowe patrole, które przeszły przez las. Nie zatrzymano nikogo podejrzanego.

Na pożyczonym od szefa kompanii rowerze pojechałem do miasta, zabierając przepustkę wystawioną przez dowódcę plutonu, gdyż żandarmeria zatrzymywała włączających się żołnierzy. Dopalała się fabryka płatowców. Sterczały mury zniszczonej hali produkcyjnej. Na pocztę podjąłem z książeczki oszczędnościowej 85 zł, pozostawiając 3100 zł, które

przeznaczyłem na lata studiów. Napisałem list do rodziców. Nie spełniłem natomiast prośby kolegów o kupno półlitrowej butelki wódki. Obowiązywał bowiem surowo przestrzegany zakaz sprzedaży alkoholu.

Niespodziewanie natknąłem się na dwóch moich przyjaciół z IV kursu w Pułtusk. Witek Łabanowski i Julek Postrych szykowali się do dalekiej podróży na prawie nowym motocyklu. Witek po ukończeniu SGGW, jako specjalista obróbki drewna, pracował w fabryce w Białej Podlaskiej, gdzie produkowano dość przestarzałe typy samolotów, w których było jeszcze wiele drewnianych części. Do motocykla przymocowali dwa kanistry z benzyną, za siedzeniem, na błotniku, umieścili dodatkowo bagaż. W naszym sąsiedztwie wiele osób przygotowywało się do wyjazdu z miasta samochodami, wozami, na rowerach i na motocyklach. Choć najbezpieczniej było wędrować nocą, to jednak uchodźcom śpieszno było opuścić miasto.

Koledzy, żegnając się ze mną powiedzieli mi w sekrecie, że Witek otrzymał dziś z dyrekcji fabryki polecenie udania się w kierunku granicy rumuńskiej, gdyż tam wyjeżdża personel techniczny wraz z dokumentacją nowych typów samolotów. Julek pracował w Ministerstwie Komunikacji czy w Dyrekcji PKP, którą także ewakuowano. Mają zamiar nocować w Zamościu; jeśli dobrze pójdzie, to już jutro będą daleko na południe od Lwowa. Wiadomość ta wstrząsnęła mną. Nigdy nie uwierzyłbym w takie defetystyczne informacje gdyby nie nasza stara znajomość ze szkoły podchorążych. Oburzyłem się w duchu, że w takiej chwili mogli myśleć o opuszczeniu Polski. Tuż przed odjazdem przekazali mi najgorszą informację: front został przerwany, a Niemcy zbliżają się do Radomia, w związku z tym rząd i marsz. Rydz-Śmigły opuszczają Warszawę, przenoszą się do Brześcia i do Łucka. Stałem zdruzgotany. Gdy koledzy odjechali, pomyślałem, że chyba nie powinienem

im wierzyć. Może to zdrajcy? Może celowo sięją panikę? To niemożliwe! Przecież wojna trwa dopiero tydzień!

Nie podzieliłem się z nikim uzyskanymi w mieście informacjami. Po kolacji wybrałem się do kancelarii, aby wysłuchać wieczornej audycji radiowej. Jednakże Warszawa I już nie nadawała. Najlepiej słyszeć było Wilno. Wiadomości były suche, krótkie, bez komentarzy; głosiły: wojska francuskie przekroczyły granicę niemiecką i są już w Zagłębiu Saary. Najsilniejsza flota świata, marynarka brytyjska, rozpoczęła blokadę Niemiec. Bombardowano Kanał Kiloński. Miliony ulotek rozrzucanych przez samoloty angielskie wzywają Niemców do obalenia Hitlera.

Z naszego kraju nie było dobrych wiadomości. Usłyszeliśmy apel o powstrzymanie wędrowki mężczyzn na wschód, gdyż wszyscy będą potrzebni do obrony Warszawy (można było się domyślać, że poprzednio wzywano warszawian do opuszczenia stolicy). Ostrzegano przed zrzuconymi z samolotów dywersantami w mundurach polskich żołnierzy, kolejarzy lub w cywilnych ubraniach. „Dostarczajcie ich żywych, wtedy udzielą nam potrzebnych informacji”.

O godz. 18 przybiegło kilku chłopców z wiadomością, że z drugiej strony lasu ktoś na polu rozpala ogniska. Las był duży, kilkuhektarowy, o dość gęstym poszyciu. Dowódca batalionu wysłał dwa patrole. Dowodziłem jednym z nich. Na łące pod lasem płonęło kilka dużych ognisk, do których nie tak dawno dołożono szczap i gałęzi. Ludzi rozpalających ogniska nie odnaleźliśmy. Zgasiliśmy ogniska, ostrzegając biwakujących uchodźców, że będziemy strzelać do każdego, kto zacznie rozpalać ogień.

Wieczorem syrena zniszczonej fabryki płatowców krótkimi gwizdami ogłaszała alarm lotniczy. Gdy ucichła, usłyszeliśmy głuchoe dudnienie – daleko, gdzieś nad Siedlcami. Ktoś uparcie

twierdził, że to odgłosy wielkiej bitwy. Kończył się pierwszy tydzień wojny. Źle spałem tej nocy. Rano poprosiłem szefa o przepustkę do miasta, gdyż zdecydowałem się podjąć resztę pieniędzy z książeczki. Niestety, poczta była już nieczynna.

Miasto zmieniło się raptownie. Było zaśmiecone i zatłoczone. Kręcili się uchodźcy, pragnący odpocząć w swej wędrówce. Najwyraźniej nie zdawano sobie sprawy, że miasto może być bombardowane, że jest za małe na przyjęcie tak wielkiej liczby ludzi. Nie było benzyny. Sklepy zamknięte. Nawet w wielu studniach zabrakło wody.

Naloty niemieckie prawie całkowicie sparaliżowały kolej, a uchodźcy z rozbitych lub zatrzymanych w drodze transportów wędrowali dalej zatłoczonymi szosami. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, że niemieccy lotnicy rozpoczną polowanie na wędrujących. W najbliższych dniach najwięcej uchodźców zginie na szosach.

Wróciłem do obozu. Okazało się, że na łące pod lasem, na której palono ogniska, nad ranem zostały wyłożone białe prześcieradła. Wysłany patrol przyniósł dwa długie prostokątne płótna. Było to coraz bardziej podejrzane. Nasi przełożeni postanowili dokładnie skontrolować las. Wydano rozkaz, aby załadować broń i strzelać do tych, którzy nie będą chcieli się zatrzymać. To były nasze pierwsze działania bojowe.

Las otoczono szczelnym kordonem. Patrole, złożone z trzech żołnierzy pod dowództwem podoficera lub podchorążego, otrzymały zadanie rewidowania wozów i wszelkiego rodzaju bagaży. Oficerowie mieli legitymować i rewidować wszystkie podejrzane osoby. Uchodźcy, których wozy stały w lesie, nie mieli przy sobie nic podejrzanego. Wyraźnie natomiast rzucał się w oczy niepokój kilku mężczyzn w mundurach kolejarzy. Przed zbliżającymi się żołnierzami odchodzili w głąb lasu. Legitymowaliśmy ich na końcu. Pochodzili z Poznańskiego.

Dokumenty mieli w porządku – aż za dużo różnych zaświadczeń. Szli do Kowla po rozbiciu transportu kolejowego. Na razie odpoczywają tu od kilku dni.

W głębi lasu w gęstych zaroślach dostrzeżono naruszoną ziemię. Dużym nożem lub łopatką wycięto gruby kawał darniny i wsunięto pod nią raketnicę w zielonym, brezentowym futerale. Robiono to w pośpiechu, dlatego niezbyt dokładnie. Potwierdzało to wcześniejsze informacje o działalności w naszym pobliżu grupy dywersantów, ale jednocześnie świadczyło o niedokładności naszych poszukiwań, gdyż na pewno przeoczono inny, lepiej ukryty sprzęt agentów „piątej kolumny”.

Porucznik, który przed wieczorem zawiózł raketnicę do koszar, po powrocie przekazał nam w największej tajemnicy tragiczne wieści: ubiegłej nocy przejechała przez miasto długa kolumna samochodów Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa. Warszawa była tak zagrożona, że marsz. Rydz-Śmigły postanowił dowodzić wojskami z Brześcia. O tym, jak wielkie będzie to utrudnienie, wiedział każdy, kto popatrzył na mapę Polski.

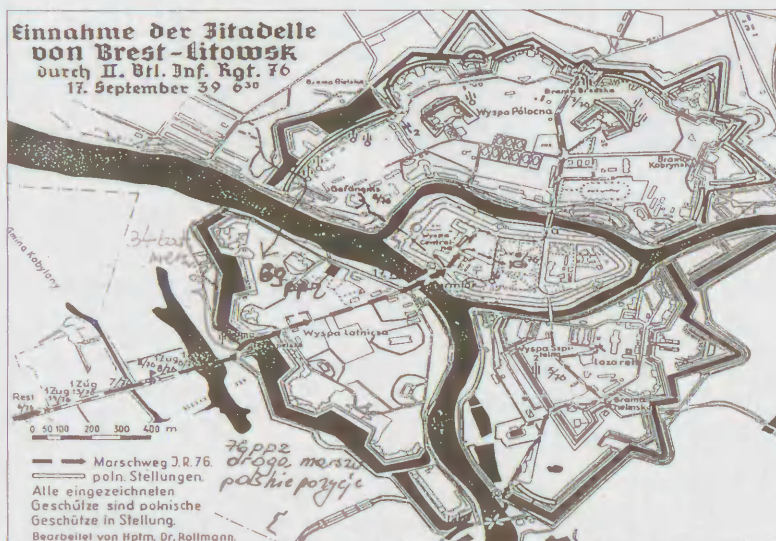
Od rana 9 września w dalszym ciągu ciepło i pogodnie. Żołnierze byli przygnębieni i niespokojni, być może wskutek wczorajszych wydarzeń. Dłużący się dzień starano się wypełnić różnymi pracami i rutynowymi ćwiczeniami, aby jak najmniej czasu było na myślenie. Żołnierze pomagali samotnym kobietom i starym ludziom. Młócono zboże, zaorywano ścierniska. Patrole dowodzone przez podchorążych wędrowały przez las i po okolicznych wioskach, kontrolując pojazdy, zatrzymując i legitymując podejrzanych wędrowców. Żołnierze jednak coraz częściej zadawali kłopotliwe pytania: co my tu robimy, jeśli tam biją się z Niemcami? Jak długo będziemy jeszcze odpoczywać w barakach? Odpowiedź mieliśmy jedną: taki jest rozkaz i musimy czekać.

Po obiedzie niespodziewanie zadzwonił telefon. Kancelaria pułku wzywała naszego dowódcę batalionu. Kpt. Radziszewski z adiutantem i gońcem pojechali na rowerach do koszar. Wrócili po kilku godzinach. Zarządzono odprawę oficerów, dowódca rozkazał ściągnąć warty i patrole i przygotować się do wymarszu. Zaprzęgano konie do kuchni polowych i wozów taborowych, pakowaliśmy plecaki i rolowaliśmy koce. Kucharze zaczęli gotować kolację, którą mieliśmy jeść już „w polu”. Rodziny uchodźców szykowały się, aby przejąć opuszczone przez nas pomieszczenia, gdyż były w nich łóżka, stoły, umywalki, a także elektryczność. Ostatnie spojrzenie na kancelarię: telefon na stole, pootwierane, puste szafy na akta, na parapecie okiennym maszynka elektryczna, na której gotowaliśmy kawę, na ścianie na wprost okna — portrety prezydenta i dwóch marszałków.



Niemieckie zdjęcie Cytadeli Brzeskiej

Ruszyliśmy na południe, następnie skierowaliśmy się na wschód. Na razie nie znamy celu naszej wędrówki. Na skraju lasu jemy kolację. Zauważyliśmy, że w odległości kilkuset metrów za nami żarzą się ogniki papierosów. Wysłany do tyłu patrol zatrzymał dwóch kolejarzy. To byli ci sami, których legitymowaliśmy w lesie. Wprawdzie nie mieli przy sobie nic podejrzanego, ale kapitan polecił nam odprowadzić ich daleko i ostrzec, że jeśli ruszą za nami, to zostaną rozstrzelani jako dywersanci. To radykalnie pomogło, nie spotkaliśmy już żadnego.



Niemiecki plan Cytadeli Brzeskiej z zaznaczoną drogą marszu i pozycjami polskich oddziałów

Przez całą noc wędrowaliśmy polnymi drogami, kierując się na wschód. Gdy się rozwidniło, na skraju lasu rozłożyliśmy się na odpoczynek. Był już 10 września. Wokół miejsca naszego odpoczynku ustawiono warty i ubezpieczenia. Większość

żołnierzy długo i dokładnie czyściła broń. Zdumiewała cisza i spokój. Później usłyszeliśmy niemieckie samoloty. Leciały z północy na południe. Dochodziły strzały karabinów maszynowych i odgłosy rozrywających się bomb. Byliśmy dobrze zamaskowani, leżąc pod drzewami w dość gęstych zaroślach. W południe po raz pierwszy obserwowaliśmy walkę powietrzną. Dwa samoloty na dużej wysokości goniły się w kółko, strzelając prawie bez przerwy. Nie mogliśmy w niczym pomóc naszemu pilotowi, tylko ktoś zaczął się głośno modlić. W pewnym momencie obydwie samoloty przestały zataczać koła i zaczęły oddalać się od siebie. Widocznie zabrakło im amunicji, jeden odleciał na północ, a drugi na wschód.

Dowódca naszej kompanii pojechał z gońcem (rowerami) do Białej Podlaskiej i przywiózł dalsze rozkazy, kilka map sztabowych, najnowsze wiadomości wojenne oraz opowieść o zbombardowaniu dzisiejszego ranka naszego opuszczonego obozu w lesie. Mieliśmy nieprawdopodobne szczęście, ale nikt nie cieszył się, gdyż do baraków wprowadzili się już uchodźcy.

Podjęliśmy dalszy marsz. W pewnym momencie nad nami, tuż nad wierzchołkami drzew, przeleciał na wschód polski samolot, mała awionetka RWD, z literami na płatach zamiast wojskowej szachownicy. Leciał tak nisko, że widać było dwie osoby w kabinie.

Szliśmy piaszczystą, leśną drogą, dwójkami, z karabinami „na pas broń”, starając się jak najmniej kurzyć. Pomiędzy rozciągniętymi kompaniami jechały kuchnie polowe i wozy taborowe. Wiemy już, że idziemy do twierdzy w Brześciu, aby walczyć na nowo tworzonej linii obronnej. Dzięki zaopatrzeniu dostarczanemu przez Rumunię musimy wytrwać aż do decydującego uderzenia naszych zachodnich sprzymierzeńców. Późnym wieczorem zatrzymaliśmy się. Podobno do Bugu już tylko 10 km, dwie-trzy godziny drogi. Zbieramy się kompaniami na wysokiej

skarpie, za nami, wśród drzew są kuchnie i wozy taborowe. Chleba już nie ma. Posilamy się sucharami i suszoną słoniną.

Przed nami ciągnęła się szosa Warszawa-Brześć. Pusta przez cały dzień, o zmroku się ożywiała, wypełniał ją wędrujący tłum. Zdumiewające, gdzie w dzień mogło ukryć się tyle ludzi i pojazdów! W milczeniu patrzyliśmy na tragiczny pochód. Szli żołnierze, kolejarze, strażacy, pocztowcy, a także cywile – ubrani w palta i futra, obładowani przeróżnymi bagażami. Wśród mężczyzn z rzadka widać kobiety i dziewczęta-harcerki. Samochody ciężarowe i osobowe, wozy strażackie i meblowe, stare powozy i karety, bryczki, dorożki, wozy chłopskie i taborowe. Bez przerwy okrzyki, nawoływania, wzywania zaginionych, przekleństwa i poganianie: „Szybciej! Szybciej!”, aby jak najprędzej znaleźć się za Bugiem!

Był to widok tak niesamowity, że aż wydawał się nierealny. Nikt, nawet największy pesymista, nie mógł sobie wyobrazić takiej ucieczki. Takiego popłochu. Szosa była tak zatłoczona, że nie było na niej miejsca dla naszej zwartej grupy, nie było gdzie wcisnąć się nawet na siłę. Czekaliśmy, aż przersedzi się tłum uciekinierów. Chcieliśmy iść razem, w szyku zwartym, w plutonach i w kompaniach, aby nie pogubić się. Niebo zaczynało już szarzeć, gdy nareszcie udało się nam ustawić w kolumnie marszowej. Ludzie wędrowali wprawdzie nieprzerwanie, ale znacznie mniej było pojazdów. Był jedenasty dzień wojny, 11 września 1939 r.

W pobliżu Terespoła na szosie znajdowały się zasieki z drutu kolczastego. Obok stali żandarmi i policjanci. Wąskim przejściem przepuszczano pojazdy, legitymując kierowców i woźniców. Żołnierzy kierowano do innego przejścia i ustawiano w kolumny czwórkowe, odsyłając w większych grupach do twierdzy brzeskiej. Nas nie zatrzymywano – maszerowaliśmy jako zwarty oddział.

Było już zupełnie widno, gdy wkroczyliśmy na wielki dziedziniec. Przyjechały nasze wozy taborowe i kuchnie polowe. Oficerowie udali się na odprawę, a my mogliśmy obejrzeć słynną twierdzę

od wewnątrz. Twierdza przypominała fortyfikacje modlińskie. Budowana przed wiekiem, z prasowanej, dobrze wypalonej cegły, mogła imponować grubością murów. Dachy porośnięte były trawą. Gdy udało się nam wejść na forteczne mury, zobaczyliśmy fosę broniącą dostępu do twierdzy oraz leżące w pobliżu miasto Brześć. W jasnym słońcu błyszczały kopuły cerkwi i wieże kościołów. W środku twierdzy stało kilka dwu- i trzypiętrowych budynków, wzniesionych znacznie później. Niedaleko nas były stanowiska dwóch działek przeciwlotniczych, więc poczuliśmy się znacznie pewniej. Stały także stare działa piechoty, wkopane w ziemię, które mogły strzelać w górę, ale tylko do samolotów przelatujących pod kątem znacznie mniejszym od prostego. W pionie nie dawały się ustawić. Stojące na dziedzińcu samochody szykowały się do drogi. Kilkanaście ciężarówek, okrytych szczelnie plandeką, oraz cztery czy pięć osobowych fiatów zniknęły w bramie prowadzącej do miasta. Na dziedzińcu pozostały tylko nasze pojazdy konne, wielu zmęczonych żołnierzy, wyglądających jak maruderzy, oraz nasz marsz-batalion. Na kwatery otrzymaliśmy kilka sal w dwupiętrowym budynku.



Jedna z bram na terenie Cytadeli Brzeskiej

W twierdzy, pod osłoną działek przeciwlotniczych, zaczął żołnierzom wracać dobry humor. Po dziedzińcu kręcili się zaafetowani podoficerowie z jakimiś papierami, przechodzili oficerowie. Toczyło się prawie normalne życie koszarowe. Wiedziony ciekawością, rozpoczynam wędrówkę po twierdzy. Tu w grudniu 1917 r. podpisano rozejm, a później prowadzono rokowania pokojowe państw centralnych z bolszewikami. Pokazano mi też budynek, w którym 8 września 1930 r. uwięziono przywódców opozycji. Był to dawny klasztor Brygidek, przerobiony na więzienie.

Do naszego batalionu przydzielono kilkudziesięciu żołnierzy z różnych rozbitych jednostek. Wśród nich spotykam dwóch pochodzących z Pruszkowa: Nowakowskiego i Szymańskiego. Ten ostatni to znany piłkarz z klubu „Znicz”. Dołączył do nas w hełmie bojowym, z karabinem i z ładownicami pełnymi amunicji. Służbę wojskową odbywał w 32 pp i opowiedział nam dokładnie, dzień po dniu, losy pułku. Szymański wycofywał się w kierunku Warszawy. Rankiem 8 września był w Pruszkowie. Kiedy zobaczył, że szosą z Nadarżyna nadjeżdżają Niemcy, przedostał się do Warszawy. Do Białej Podlaskiej dojechał samochodem ciężarowym, a następnie pieszo dotarł do Brześcia. Uspokoilem się, słuchając tej opowieści: nie było ponownego nalotu na Pruszków.

Wiedzieliśmy już, że Naczelne Dowództwo przeniosło się na południe, bliżej rumuńskiej granicy. Koledzy z IV kursu podchorążych mówili więc prawdę. W twierdzy widać było ślady pośpiesznej ewakuacji. Pootwierane okna w budynkach, wszędzie śmieci, porozrzucane papiery, słoma. Kilka-naście starych czołgów umieszczono w bramach: niektóre z działami zwróconymi na przedpole, inne w poprzek, w celu zablokowania wjazdu.

Po obiedzie zarządzono na dziedzińcu zbiórkę batalionu. Wyznaczono kompanię służbową. Żołnierze przystąpili do

sprzątania dziedzińca i sal, w których mieliśmy kwaterować. Mury forteczne jak gdyby odgrodziły nas od rzeczywistości. Żołnierze myli się, golili, prali bieliznę. Wieczorem śpiewali piosenki, kilku oficerów grało w brydża.

Dwunastego września przed południem opuszczamy twierdzę, zaopatrzeni w żelazne porcje: suchary, konserwy mięsne i suszoną słoninę. W manierkach mamy czarną wojskową kawę.



General Brygady Konstanty Plisowski – dowódca obrony
Cytadeli Brzeskiej

Zajmujemy stanowiska wzdłuż fosy. Odcinek wyznaczony naszemu batalionowi zaczyna się na Bugu, a kończy przy szosie z Terespolu. Nasze ubezpieczenie ma zająć stanowisko przy nasypie kolejowym w pobliżu mostu, by obserwować przedpole i rzekę. Spodziewamy się rychłego uderzenia Niemców

od strony zachodniej, od Białej Podlaskiej, Małaszewicz i Terespoła. Za nami ciągnie się fosa dwudziestometrowej szerokości i podobno kilkumetrowej głębokości, wypełniona wodą, z błota wyrasta sitowie, tatarak i kępy traw. Tuż za fosą, w odległości kilkudziesięciu metrów od miejsca, w którym mamy kopać nasze stanowiska bojowe, ciągną się wysokie, zbudowane z czerwonej, prasowanej cegły, mury twierdzy, przykryte warstwą ziemi, porośniętej trawą i krzewami. Poziom wody w fosie był niższy od pól o blisko 2 m. W tej łagodnie pochyłej skarpie mamy wydrążyć okopy. Wzdłuż fosy rosną stare drzewa, głównie klony i kasztanowce. W odległości 50 m przed naszymi stanowiskami znajdował się dom, w którym mieszkała staruszka z mężem i wnuczką, którzy nie chcieli opuścić domu, nie mieli dokąd iść. Zapewniali, że w piwnicy mają przygotowany solidny schron, a przecież „ktoś musi doglądać inwentarza”.

Przygotowując stanowiska obronne najpierw wykopaliśmy wnęki, w których można było leżeć, a później głębokie doły strzeleckie, ukrywające żołnierza w pozycji stojącej. Ziemia była dobra do kopania. Błotnisty czarnoziem łatwo ustępował pod naciskiem łopatk. Z tyłu bezpieczeństwo zapewniały mury forteczone, dla nas nie było jednak odwrotu, nie było dokąd się cofać. Opuścić stanowiska można było tylko drogą nad fosą, do bramy i szosy. Wykopaną ziemię wyrzucaliśmy przed okop, układając na wierzchu warstwę darni. Od góry osłaniały nasze stanowiska gęste korony drzew.

Kopanie linii okopów przebiegało dość sprawnie i szybko. Obiecywano nam erkaemy i cekaemy oraz działko przeciwpancerne. Na razie przed czołgami miało nas bronić stare działko 75 mm, ustawione obok bramy. Wewnątrz twierdzy zgromadzono duży zapas amunicji. Natomiast z amunicją do

naszych karabinów nie było najlepiej. Pełne ładownice mieli tylko żołnierze przydzieleni w Brześciu do naszego marsz-batalionu. Nasi żołnierze dostali w koszarach tylko po 15 nabojów do karabinów, a część z nich zdążyli już wystrzelać do niemieckich samolotów. Ja nadal nie miałem karabinu, czekałem na przydział broni maszynowej, ciągle musiały mi wystarczyć przechowywane w chlebaku granaty.

W odległości 2-3 km przed naszymi stanowiskami widać było zabudowania gospodarcze, na pewno zaczynała się jakaś wioska. Wysłano tam ubezpieczenia, a kępy krzewów na przedpolu wycięto, abyśmy mieli dobrą widoczność. Przed wieczorem byliśmy gotowi do obrony. Dowódcy plutonów na odprawie poznali hasło i odzew, zmieniane każdego dnia. I tyle na razie było naszego wojowania.

Kończył się dwunasty dzień wojny, a my nie widzieliśmy nieprzyjaciela. Jedyne oznaki działań wojennych to przelatujące nad nami błyszczące w słońcu samoloty, do których bezskutecznie strzelała artyleria przeciwlotnicza, oraz stale przybliżające się odgłosy wielkiej bitwy – rozgrywanej na północy, a teraz szybko przesuwającej się na zachód i na południe od nas. Tak właśnie wędrowały nocne błyski na niebie i coraz silniejsza kanonada artyleryjska. Wiedzieliśmy już, że Niemcy dotarli pod Warszawę.

Podczas pogadarek dowódca kompanii tłumaczył nam trudności mobilizacyjne armii francuskiej, pocieszając, że niedługo uderzy ona na linię Zygfryda i dalej na Berlin. Słuchaliśmy opowieści o zwycięskich działaniach lotnictwa i marynarki brytyjskiej. Mieliśmy trzymać się jeszcze tylko przez pewien czas, a już niedługo, po zakończeniu mobilizacji, nastąpią decydujące uderzenia aliantów. W mglisty poranek 13 września wysłano wzmocnione patrole, gdyż przedpole przesłoniła gęsta mgła. Groziło nam zaskoczenie.

Duże poruszenie wywołał polski pociąg pancerny, jadący powoli od strony Terespola. Po przejechaniu mostu na Bugu rozplynął się w porannej mgle. Szybko zapomnieliśmy o nim, poruszeni wiadomością przyniesioną z twierdzy. Otóż nad ranem w środku fosi, w odległości kilkunastu metrów od mostu na szosie, zobaczono mężczyznę w mundurze kolejarza lub pocztowca. Rozpaczliwie wzywał pomocy, chwycił się tataraku i kęp trawy, ale powoli zagłębiał się w bagno. Najpierw próbowano go ratować, a kilku żołnierzy pobiegło na poszukiwanie łodzi lub pontonu. Wszystkie próby pomocy wstrzymano jednak, gdy ktoś zaczął zastanawiać się, w jaki sposób człowiek ten znalazł się w środku bagniska. Nie mógł tam wejść, gdyż fosa była dość głęboka, a ponadto musiałby przedostać się przez stanowiska naszych żołnierzy. Wykluczono także, aby mógł przejść szosą, na której stały posterunki. Wysunięto przypuszczenia, że jest to dywersant niemiecki, zrzucony z samolotu niefortunnie, gdyż nad ziemią wisiała mgła. Na pewno zdążył oswobodzić się ze spadochronu, zdjąć go i zatopić. Nie pomogły błagania tonącego. Niektórzy nawet chcieli wydostać go z tej topieli, aby zmusić do udzielenia informacji, nie było jednak sposobu, aby mu pomóc. Przyglądano się więc, jak tonie, dla własnego spokoju przyjmując za pewnik ogólne przekonanie, że to szpieg i niemiecki dywersant.

Do wieczora na naszych stanowiskach było spokojnie. Co dwie godziny wyruszały patrole na wiadukt kolejowy i do wioski. Kilkakrotnie w ciągu dnia przelatywały samoloty. Jeden z nich leciał dość nisko, ale nie strzelał z karabinów maszynowych ani nie zrzucał bomb, więc prawdopodobnie robił zdjęcia fotograficzne naszych stanowisk. Pod wieczór usłyszeliśmy dość bliskie salwy artyleryjskie z północnego wschodu.

Po ciemku poszedłem z kilkoma żołnierzami do twierdzy po kolację i suchy prowiant dla kompanii. W rogu dziedzińca

płonęło duże ognisko. Przy nim siedziało trzech podoficerów uzbrojonych w erkaemy, a tyłem do ogniska stał samochód ciężarowy. Z samochodu wynoszono stosy teczek i segregatorów biurowych i podawano je starszemu sierżantowi, który układał je w pobliżu ogniska. Dwaj inni wojskowi brali akta, odczytywali głośno nazwę instytucji lub wydziału, numer sprawy i datę, a następnie kartki papieru wrzucali do ogniska. Puste już teczki i segregatory także palono. Dokładne dane, nazwy i daty wpisywano do zestawienia, sporządzanego przez dwóch cywilów siedzących przy stoliku. Pomyślałem, że w ten sposób komisyjnie likwidowano dziesiątki najważniejszych do tej chwili spraw. Dwaj żołnierze zgarniali papiery i pudła długimi bosakami, pilnując, aby wszystko zamieniło się w popiół.

Gdy już spalono dokumenty, zaczęto z samochodu wynosić nieduże, zaplombowane worki z nowymi banknotami. Głośno odczytywano nominały litery serii i numery banknotów. Czynności te wykonywano z całkowitą obojętnością. Pieniądze dokładnie zgarniano bosakami do ogniska, aż zamieniły się w popiół. Dwaj cywile kończyli protokół, sporządzony w dwóch egzemplarzach. Zebrano podpisy komisji: „Pełnym imieniem i nazwiskiem, z podaniem stopnia i funkcji!” – przypominano podpisującym.

„Czy to już koniec?” – pytam jednego z cywilów, gdy odchodził od stolika z teczką, w której umieścił protokoły. „Widzi pan przecież, że koniec! stwierdził – siłąc się na obojętność.

Nie mogłem znaleźć sobie miejsca. To tak kończy się Polska?

Przez następny dzień, 14 września, trwała wymiana strażników artyleryjskich. Nieprzyjaciel był już blisko. Zaskoczyło nas jednak to, że zjawił się od północnego wschodu, a nie z zachodu, jak się spodziewaliśmy. Około południa służbowi poszli z menażkami do twierdzy po jedzenie. Przynieśli pęczak

z gulaszem, a w manierkach czarną wojskową kawę. Był to nasz ostatni obiad. W następne dni dostawaliśmy tylko kawę i suchy prowiant.

Na wschodnim przedpolu twierdzy przed południem rozpoczęły się walki, a na naszych stanowiskach panował spokój. Nie milkły salwy artyleryjskie. Wyraźnie było słychać długie serie karabinów maszynowych i coraz bliższy warkot silników. Były to na pewno czołgi i samochody pancerne.

Tuż po południu niespodziewanie nastąpiła cisza. Pewnie Niemcy mieli przerwę obiadową. Po kilkugodzinnej przerwie znowu zaczęła się walka na drugim brzegu Bugu. Wybuchy były coraz bliższe, a salwy artyleryjskie coraz głośniejsze. Wzmagał się ogień artyleryjski, narastał warkot silników i terkotanie karabinów maszynowych, aż na koniec usłyszeliśmy dalekie „Hura! Hura!”.

Późnym wieczorem dowiedzieliśmy się, że odparto dwa wielogodzinne natarcia niemieckie na twierdzę. Zniszczono kilka czołgów, zabito wielu niemieckich żołnierzy. Gdy czołgi zbliżyły się do murów twierdzy, nasze działa – strzelające ogniem na wprost, nie stanowiły wielkiego zagrożenia, ale zatarasowanie bram starymi czołgami uniemożliwiało Niemcom wdarcie się do twierdzy. Natomiast miasto i nie bronione forty znalazły się w ich rękach.

Nie mogliśmy usnąć. Do późnej nocy rozmawialiśmy z najbliższymi sąsiadami z dołów strzeleckich. W mroku nocy zmieniały się nasze ubezpieczenia, patrole wychodziły daleko na przedpole. Byliśmy czujni.

Jeszcze było zupełnie ciemno i wyraźnie świeciły gwiazdy, gdy rozległy się wybuchy artyleryjskie. Jest 15 września. Ziemia drży tak silnie, że zda się kołysać. Wybuchy są niedalekie, jest ich coraz więcej, następują coraz częściej. W pewnej chwili zaczęły ze strasznym wyciem przelatywać górą pociski,

wybuchając kilkadziesiąt metrów przed naszymi stanowiskami, oślepiając nas błyskami eksplozji, drażniąc ostrym zapachem materiałów wybuchowych. Natychmiast po wybuchu, gdy głowę wtulam w zwiedłe liście, słyszę jak opada piasek wyrzucony w górę, jak przelatują, groźnie piszcząc, stalowe odłamki, tłukąc po konarach drzew, ścinając gałęzie. Z rowów przenosimy się do głębokich dołów. Stoimy, gdyż w tej pozycji narażamy się znacznie mniejszą powierzchnią ciała na odłamki.

Domyślamy się, że wybuchające przed naszymi stanowiskami pociski były przeznaczone do zniszczenia twierdzy, ale nie-dokładnie ustawione działa strzelały za daleko, przenosiły poza mury, które chroniły nas przed artylerią strzelającą zza naszych pleców. Było to dość rzadkie wydarzenie, aby mury twierdzy dokładnie zabezpieczały tyły obrońców. Z tej strony, na razie, nic nam nie grozi. Bombardowanie trwało przez wiele godzin. Na twierdzę spadają bomby lotnicze. Coraz gęściej padają wokół nas rozgrzane, żelazne odłamki o postrzępionych brzegach.

W naszym batalionie są pierwsi ranni. Łżej rannych opatrują na miejscu koledzy lub sanitariusze. Zdajemy sobie sprawę, że to dopiero początek czekającej nas walki. Wobec ognia artylerii jesteśmy bezradni i bezbronni. Chronią na tylko głębokie dołki. Wiemy, że dopóki trwa nawałnica ogniowa, nie będzie żadnego natarcia nieprzyjacielskiej piechoty. Każdy z nas liczy na to, że pocisk nie uderzy w jego dołek. Podczas takiego bombardowania najbezpieczniej jest żołnierzom wysyłanym do przodu na ubezpieczenie, zaczajonym daleko od nas.

Coraz rzadziej słychać naszą artylerię. Widocznie zaczyna brakować amunicji. Gdy ustał ostrzał naszych stanowisk, usłyszeliśmy odgłosy boju toczącego się na wschodnim przedpolu twierdzy. Znowu narasta warkot silników. To na pewno czołgi poprzedzają natarcie piechoty. Później słychać

dalekie: „Hurra!” na tle długich serii broni maszynowej. Nie spodziewanie wszystko ucichło. Rozlegają się tylko pojedyncze strzały artylerii. Oddala się warkot motorów. Zapanała cisza.

Może teraz bój się zacznie na naszym odcinku? Na polu przed nami przybyło dołów po wybuchach pocisków artyleryjskich. Pościnane odłamkami grube konary i mniejsze gałęzie przykrywają nasze stanowiska. Wstajemy, aby rozprostować kości i zrobić choć kilka kroków wokół swojego stanowiska bojowego.

Dowiadujemy się o odparciu wielkiego natarcia czołgów i piechoty. Podobno zabito wielu Niemców, których ciała leżą na przedpolu.

Spokój nie trwał długo, może godzinę lub dwie. Wysoko w górze zaczął uparcie brzęczeć samolot. Po pewnym czasie, gdy stwierdził, że nikt z twierdzy do niego nie strzela, obniżył się tak, że dokładnie widzieliśmy czarne krzyże na płatach. Krążył wokół twierdzy. Już wiedzieliśmy, że nie przyniesie to nam nic dobrego. Przygłębił nas ten bezkarnie krążący samolot.

Znowu zaczęła strzelać niemiecka artyleria, rozległo się wycie pocisków dolatujących do naszych stanowisk. Żołnierze błyskawicznie znaleźli się w swoich dołkach. Pociski rozrywały się wśród nas. Teraz mury twierdzy nie dawały żadnej osłony. Zrozumieliśmy, że Niemcy przygotowują natarcie. Widocznie postanowiono nas powybić lub unieszkodliwić. Pociski padały również na teren twierdzy, ostrzeliwano w dalszym ciągu linię obrony od strony wschodniej. Nami zajęła się jedna bateria. A my nie mieliśmy ani działek przeciwpancernych, ani nawet karabinów maszynowych, tylko zwykłe karabiny z piętnastoma sztukami amunicji oraz granaty ręczne. Jedyne stare działo, armata 75 mm, pamiętająca wielką wojnę, tkwiło w bramie fortecznej.

Niemcy ostrzeliwali nasze stanowiska systematycznie i coraz celniej. Krążący samolot na pewno naprowadzał na cele. Pociski nadlatywały co kilkanaście minut. Trafiały w drzewa, wybuchały pomiędzy naszymi stanowiskami lub wpadały do fosy, wyrzucając kawałki błota i fontanny wody. Dość precyzyjne bombardowanie naszych stanowisk od Bugu aż do szosy trwało około dwóch godzin, a później Niemcy przestawiali celowniki i ogień przesunął się systematycznie i względnie dokładnie w drugą stronę, od szosy do Bugu. Wydaje mi się, że ta niemiecka regularność i precyzja pozwoliły nam uniknąć większych strat. Ktoś rozszyfrował ten system ostrzeliwania naszych stanowisk. Kiedy pociski uderzały w odległości około 100 m, a odłamki opadały na ziemię i gdy kończyło się przeraźliwe bzykanie nad naszymi głowami, wtedy należało biec w kierunku ostatnich śladów po uderzających w ziemię pociskach i trochę dalej spokojnie się położyć. Dzięki temu zyskiwaliśmy wtedy ponad godzinę odpoczynku i spokoju.

Wraz z nadejściem nocy mieliśmy dwie możliwości: albo przenieść się kilkaset metrów do przodu i na przedpolu drzeć w nowo zbudowanych stanowiskach bojowych, albo przeskakiwać to w jedną, to w drugą stronę, w zależności od tego, z której strony posuwał się wał ognia artyleryjskiego. Czasami, wracając do swojego rowu, wyczuwaliśmy leżący na ziemi Kawał ciepłego jeszcze stalowego czerepu z rozerwanego granatu.

Rankiem wrócili żołnierze ze stanowisk na dalekim przedpolu, gdyż lotnik wypatrzył ich nowo wykopane rowy strzeleckie i coraz częściej spadały tam pociski artyleryjskie.

W sobotę 16 września od rana odczuwaliśmy głód i pragnienie. Idąc za przykładem oficerów prawie wszyscy, siedząc nad fosą, golili się i myli. Przed południem został poważnie ranny pierwszy żołnierz w naszym plutonie. Ocalał go hełm.

Odłamek przebił grubą blachę i pokaleczył głowę w okolicy ciemienia. Założono opatrunek, ale rana mocno krwawiła. Miałem go odprowadzić do szpitala, zabierając jednocześnie meldunek do dowódcy batalionu.

Posuwaliśmy się skokami, wykorzystując przerwy pomiędzy salwami artyleryjskimi. Kryliśmy się za grubymi pniami drzew, gdyż ranny nie mógł kłaść się na ziemi. Niosłem jego karabin. Na ścieżce przy fosie leżały pościnane pociskami konary i gałęzie drzew, utrudniając nam posuwanie się w kierunku szosy. Najspokojniej było w wielkiej bramie. W twierdzy szerzyły się pożary, między zabudowaniami wisiały chmury dymu. W wielu budynkach widniały ogromne wyrwy, powstałe wskutek uderzania pocisków artyleryjskich. Na dziedzińcu pełno potłuczonego szkła, porozrzucanych desek, gałęzi, cegieł itp.

Ostrzał trwał. Po powrocie do plutonu przekonałem się, że położenie nasze nie zmieniło się. Była to bardzo dziwna wojna. Wiedzieliśmy, że nieprzyjaciel jest w pobliżu, ponieważ ustawicznie dokuczał nam ogniem artyleryjskim, zadawał dotkliwe straty, ale my nie widzieliśmy jeszcze niemieckiego żołnierza.

Przed wieczorem artyleria przeniosła ogień na szosę oddległą od nas o niecały kilometr. Nad szosą unosił się tuman dymu i kurzu. Niezdecydowani, powoli wstawaliśmy, ociągając się z opuszczeniem swoich dołów. Po kilkunastu minutach dostrzeżono, że w kierunku Terespoła wyjeżdżają z twierdzy samochody i wozy taborowe. Patrzyliśmy na ucieczkę czy też wycofywanie się naszych oddziałów. W pewnym momencie zobaczyliśmy, jak samochód ciężarowy uniósł się na kilka metrów i rozleciał się. Prawdopodobnie kierowca najechał na naszą minę, zakopaną na szosie.

Dotarł do nas niespodziewany i zaskakujący rozkaz: „Wycofujemy się na Kodeń! Zbiórka batalionu na szosie!”

Szosa była zatłoczona uciekającym wojskiem. Wydano polecenia, aby najpierw ściągnąć żołnierzy z prawego skrzydła, tych ze stanowisk nad Bugiem i z ubezpieczenia przy moście kolejowym. Z twierdzy dolatywały nas strzały broni maszynowej i zbliżające się okrzyki: „Hurra!” Coraz mocniej wyczuwaliśmy zapach spalenizny, a nad nasze stanowiska napływał dym z budynków płonących w twierdzy.

Zbliżał się wieczór. Zrobiło mi się zimno, nie wiem czy z wrażenia, czy tak raptownie ochłodziło się. Założyłem płaszcz, nie zdejmując pasa z munduru. Niespodziewanie usłyszałem bliski świst pocisków karabinowych, a później krótkie serie z broni maszynowej. Wydawało się, że Niemcy strzelali z leżącej przed nami wioski. Nagle – czego nikt z nas się nie spodziewał – z tyłu, zza naszych pleców, dobiegły groźne, gardłowe okrzyki w obcym języku. Gdy odwróciłem się, zobaczyłem na górującym nad fosą fortecznym murze kilku niemieckich żołnierzy w hełmach, w zielonkawych mundurach, z pistoletami maszynowymi. Krzyczeli coś, gestykulowali i pokazywali z góry na nas. Po chwili dołączył do nich oficer z pistoletem w rękę, z lornetką na piersi i z mapnikiem. Wykrzykiwał coś radośnie, wzywając do siebie żołnierzy. Po chwili stało ich tam kilkudziesięciu.

Ktoś z nas przeraźliwie krzyknął: „Niemcy w twierdzy! Mają nas na muszkach! Biegiem do przodu!”. W jednej chwili żołnierze poderwali się do ucieczki przez pola, w kierunku dalekich zabudowań.

Nad fosą obok mojego stanowiska leżał kompanijny rower, powierzony mojej opiece po zranieniu łącznika-kolarza. Na bagażniku już wcześniej umieściłem plecak, spodziewając się wycofywania na odpoczynek do twierdzy. Od kilku dni nie otrzymywaliśmy posiłków, więc byliśmy przekonani, że zostaniemy zmienieni przez inny batalion. Pochyliłem się nad

rowerem. Wtem usłyszałem natarczywy, głośny bzyk, jakby przeleciała gromada rozwścieczonych os. Była to krótka seria z karabinu maszynowego, wypuszczona w moim kierunku. Pociski zadzwoniły, odbijając się od ramy i wyłamując szprychę, a ja odczułem lekkie uklucie w lewym udzie. Pomyślałem, że skoro zostałem ranny, to tym bardziej muszę zabrać rower. Biegłem z nim, aby znaleźć się jak najdalej od naszych stanowisk i od Niemców.

Szybko zapadał zmrok. Gdy za chwilę odwróciłem się, w podnoszącej się mgle ujrzałem słabe zarysy twierdzy, wysokie drzewa nad fosą i wielkie łuny pożarów nad Brześciem.

Wiedziałem, że Niemcy nie będą nas gonili, gdyż na razie nie mogą przedostać się przez fosę, ale pędziłem razem z innymi zdyszаныmi żołnierzami ile sił w nogach. Obok nas i wysoko nad nami gwizdały kule karabinowe, później i to ucichło. Natomiast od strony szosy usłyszeliśmy warkot motorów, zmieszany z okrzykami i nawoływaniem.

Ktoś od początku próbował opanować ucieczkę. „Kierować się w lewo! Do drogi!” Biegnąc przez zaorane pole, zbliżaliśmy się do szosy, którą wycofywały się różne, pomieszane oddziały. Najwięcej było piechoty, ale szli także lotnicy i marynarze. Widziałem kolorowe otoki na wyjściowych czapkach kawalerzystów i czarne skórzane płaszcze żołnierzy broni pancernej. Był nawet jakiś generał, otoczony grupą wyższych oficerów.

Po pewnym czasie kolumna zaczęła się porządkować. Żołnierze szukali swoich dowódców, oficerowie wykrzykiwali nazwy macierzystych pułków, padały numery oddziałów. Naszej kompanii nie udało się zebrać, ponieważ wielu naszych żołnierzy przydzielono przed kilku dniami do naszych plutonów i nie zdążyliśmy się poznać. Niemniej jednak stanowiliśmy zwartą grupę. Prawie wszyscy nasi żołnierze mieli broń i dlatego jakiś pułkownik, starając się opanować chaos, rozkazał

nam maszerować szosą na końcu kolumny jako straż tylna. Dość szybko udało się zaprowadzić pewien porządek, a rannych pułkownik umieszczał na wozach taborowych, z których spędzał dekujących się zdrowych żołnierzy. Byliśmy ostatnim zwartym oddziałem wycofującym się z twierdzy w Brześciu w kierunku odległego płonącego Kodnia. Brukowana, wybita nierównymi kamieniami droga miała na szczęście po obu stronach piaszczyste koleiny, wyjeżdżone chłopskimi wozami.

Pośród ciągłych okrzyków i nawoływań usłyszeliśmy z tyłu warkot motorów. Zatrzymujemy się, a wtedy wystrzelona z niewidocznego dla nas pojazdu rakietą oświetliła ostatnich żołnierzy kolumny. Padamy, szykując się do obrony. Niepotrzebnie, i tak nie mamy żadnych szans. W ciemnościach ruszamy biegiem. Ponownie słyszymy za sobą warkot silników. Stajemy. Na pewno na tle płonącego miasteczka widać nasze postacie. Znowu rakietą. W jej jaskrawym świetle widać zarysy samochodu pancernego. Ale strzały nie padają. Dowódca naszego plutonu właściwie ocenił sytuację: prześladowcy utrzymując z nami łączność wzrokową, chcą wiedzieć, dokąd się wycofujemy. Gdy wkroczyliśmy pomiędzy pierwsze zabudowania płonącego miasteczka, Niemcy zostali na skraju zabudowań. Zatrzymał ich płonący Kodeń. Biją na alarm dzwony kościoła, w którym znajduje się cudami słynący obraz Matki Boskiej Kodeńskiej. Na przedmieściu przed małymi domkami w ogródkach stoją wystraszeni, milczący ludzie. Omijamy płonącą część miasteczka. I tak nic nie pomożemy. Gęsta zabudowa ułatwia przenoszenie się pożarów, tym bardziej że dachy są kryte słomą.

Zaczynała się niedziela, 17 września 1939 r.

Podczas wędrówki przez płonący Kodeń utraciłem kontakt z kompanią i plutonem, a także z batalionem. Zatrzymuję się przy jednym z ostatnich domków na przedmieściu. Na

ławeczce siedziało dwóch oficerów. Ja siadałem w rowie, w pobliżu innych, nieznanym mi żołnierzy. Gospodarze, ubodzy Polacy, wynoszą nam mleko w garnuszkach i pajdy chleba. Nie starcza dla wszystkich – ku zmartwieniu ofiarodawców. Mają oni dwóch synów w wojsku. Cicho i trwożnie pytają: „Co z nami teraz będzie?” Zjadłem łączywie dwa ostatnie suchary, popijając resztką kawy z manierki. Teraz w chlebaku pozostały tylko trzy stalowe granaty obronne i trzy zapalniki z zawleczkami.

W pobliżu siadł w rowie pułkownik w wyjściowej czapce i w sukiennym mundurze. Kłął głośno, gdy z moją pomocą ściągał długie, oficerskie buty. Po szybkim nocnym marszu miał bardzo otarte stopy. Wyglądały marnie. Pułkownik odzwyczaił się od długich marszów, pracował w MSWojsk. Spóźnił się na ewakuację, w twierdzy zostawił walizkę z całym bagażem. Dałem mu jeden ze swoich trzech osobistych opatrunków.

Moja ranna noga na pierwszy rzut oka nie wyglądała źle. Prawdopodobnie trafił mnie pocisk z pistoletu maszynowego, który odbił się od ramy rowerowej i rykoszetem uderzył w lewe udo. Na szczęście kość nie jest naruszona. Podczas ucieczki z twierdzy nie myślałem o ranie, choć i podczas marszu, i podczas krótkich chwil jazdy na rowerze odczuwałem silny ból. Ranę przemyłem wodą kolońską i założyłem opatrunek. Niestety, nie miałem plastra, a więc mała była szansa, aby bandaż utrzymał się na udzie.

Pułkownik pocieszał mnie, że rana nie jest głęboka, a wraz z upływem krwi należycie się oczyścić. Nie myję nogi, nie zmieniam skarpetki, gdyż boję się, że na spuchniętą stopę nie zdołam założyć buta. W dalszą drogę do Sławatycz wybieramy się razem z pułkownikiem, który zdobył gdzieś stare pepengi. Powoli doganiamy ostatnią grupę uchodźców z twierdzy

brzeskiej. Oddaję rower, gdyż kilku żołnierzy ma pojechać nad Bug, aby obserwować szosę i linię kolejową do Włodawy. Podobno duże oddziały niemieckie posuwają się tamtędy na południe. My też szliśmy w tym kierunku, ale drogą biegnącą po zachodniej stronie rzeki.

Nasza rozciągająca się nadmiernie karawana uciekinierów będzie się starała ukryć w lasach, obawiając się samolotów. Na przodzie idą zdrowi i silni, a na końcu słabsi i schorowani – najczęściej pozbawieni nie tylko sił, ale i resztek nadziei. Nieliczne samochody ciężarowe już dawno odjechały, nie było nawet wozów taborowych.



Pułkownik Gollnick, dowódca niemieckiego 76 pułku, który
17 września rozpoczął zajmowanie
Cytadeli Brzeskiej

Niespodziewana ucieczka była jedyną reakcją obronną porażonych strachem żołnierzy. Twierdzę brzeską uważaliśmy za idealne zabezpieczenie naszych tyłów. Ale od chwili, gdy zobaczyliśmy na murach wiwatujących niemieckich żołnierzy, nikomu nie przyszła do głowy myśl, aby się bronić, aby strzelać

do tych kilkudziesięciu rozradowanych Niemców, ustawiających się do pamiątkowej fotografii.

Nasza obrona nie miałaaby oczywiście sensu. Niemcy bowiem, uzbrojeni w pistolety maszynowe, dokładnie kontrolując nasz ruch, mogli w każdej chwili ogniem zademonstrować swoją ogromną przewagę. Nikt z nas nie był przygotowany na taki rozwój wydarzeń i być może dlatego w obliczu niebezpieczeństwa ogarnął nas zbiorowy strach – poddaliśmy się panice, a jednocześnie przestaliśmy logicznie myśleć. Wielu uciekających żołnierzy pozostawiło w dołach strzeleckich plecaki, a także różne przedmioty ze swojego wojskowego wyposażenia.

Gdy minęło to najgorsze – przerażenie wywołane zaskoczeniem – żołnierze zaczęli odruchowo się skupiać wokół najbardziej opanowanych dowódców, oficerów lub podoficerów, aby włączyć się do kolumny uciekinierów podążających na południe. Był to niezorganizowany tłum wojskowych w różnym wieku, w różnych mundurach i różnych stopni, najczęściej szeregowych. Oficerowie mieli pistolety, niektórzy nawet szable. Wielu żołnierzy nie miało broni.

Te trudne do zapomnienia godziny odwrotu uświadamiały nam ogrom klęski. Na razie nikt z nas nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób mogły tak szybko zawieść nasze wieloletnie przygotowania do wojny. Niepotrzebny okazywał się trud i pot wylewany na placach ćwiczeń, na manewrach i podczas długotrwałych marszów. Jeszcze przed kilkoma dniami wysłuchiwalismy zapewnień o głównej linii obrony na Bugu, wierzyliśmy w dalekowzroczne plany strategiczne naszego Naczelnego Dowództwa, w optymistyczne opowieści o przygotowywaniu wielkiej kontrofensywy wojsk alianckich na Zachodzie, a tymczasem Niemcy uderzyli na nasze stanowiska obronne ze wschodu, zza Bugu. Najbardziej deprymująca zaś

była nasza paniczna ucieczka z twierdzy brzeskiej, zdobytej z łatwością przez przeciwnika.

Gdy płonący Kodeń pozostał daleko za nami, byliśmy pewni, że Niemcy zaniechali pościgu. Był to dla nas jeszcze jeden dowód okazywanego nam lekceważenia.

Poboczami nierównej, wyboistej drogi, zmęczeni i głodni, potykając się co chwila na wystających kamieniach podążaliśmy na południe. Niemal równolegle Niemcy po drugiej stronie pobliskiego Bugu jechali dobrą szosą do Włodawy, gdzie na pewno będą na nas czekać, mając do dyspozycji samoloty, czołgi, samochody pancerne, radiostacje, artylerię i pistolety maszynowe z nieograniczoną ilością amunicji. Dzieląc się tymi myślami z towarzyszami wędrówki odczuwałem, jak zmienia się mój sposób myślenia. Na pewno nikt z nas nie zrezygnował z dalszej walki z Niemcami, ale w godzinie tej dotkliwej próby wrażenia nasze były jednoznaczne.

Nawet jednak po tak dotkliwej porażce nie utraciliśmy wiary w ostateczne zwycięstwo. Przy naszej grupie zatrzymał się jakiś major – artylerzysta: „...Musimy spędzić ten dzień gdzieś w lasach, zapewni to nam bezpieczeństwo. Na pewno najdalej jutro otrzymamy nowe rozkazy, dowiemy się, gdzie mamy się zbierać, dokąd maszerować – aby nadal walczyć!”.

Idący ze mną pułkownik powoli odzyskiwał równowagę ducha. Maszerował w pepegach, bez narzekań i przekleństw, swoje wspianiałe oczyszczone buty niósł na ramieniu. Być może dlatego, że idzie w pepegach, nie szuka towarzystwa wyższych oficerów, idących na początku kolumny. Gdy rozwidniło się na dobre, okazało się, że jesteśmy na końcu kolumny, którą stanowi niby jeszcze wojsko, ale w rzeczywistości tłum maruderów, zbieranina uciekinierów. Jesteśmy głodni, niewyspani i przemęczeni. Powinniśmy dłużej odpocząć, musimy jednak maszerować, aby nie utracić kontaktu

z wycofującymi się oddziałami i możliwie szybko dotrzeć do lasów w pobliżu Sławatycz. Pułkownik radzi mi, abym w tym miasteczku poszukał apteki i kupił surowicę przeciwtężcową.

W pobliżu jakiejś wioski mijamy stary cmentarz wojskowy. Wysoki, drewniany krzyż jest zrobiony bardzo solidnie, ale sztachety prawie spróchniałe. Na grobach nie można odczytać żadnych napisów, na niektórych leżą pordzewiałe, francuskie hełmy. Są tu groby z 1920 r. i wcześniejsze – żołnierzy I Brygady Legionów, która w tych okolicach walczyła w 1915 r. Pułkownik zaczął wspominać swoje przeżycia sprzed ćwierć wieku. Opowiadał, jak to w końcu sierpnia 1915 r. I Brygada maszerowała z Brześcia przez Kodeń, Sławatycze do Włodawy, a on – w składzie kilkusetosobowego oddziału umundurowanych i częściowo uzbrojonych młodych ludzi z Warszawy – dołączył do brygady. Snujący wspomnienia pułkownik jest wyraźnie wzruszony. Należy do pokolenia, któremu udało się zrealizować marzenia o niepodległości, a teraz przeżywa szok spowodowany ponowną jej utratą. Posmutniał. Dotychczas, dla podtrzymania swojego samopoczucia, opowiadał różne wojskowe anegdoty, a teraz raczej wspomnienia snuje nie dla zabicia czasu, ale z potrzeby podzielenia się z kimś swoimi smutnymi myślami.

Po południu zbliżyliśmy się do Sławatycz. Wrócili z rozpoznania rowerzyści. Przeprawili się łódką na drugą stronę Bugu i z bliska obserwowali ogromną kolumnę niemieckich czołgów, samochodów pancernych, motocyklistów i wielu ciężarówek wiozących żołnierzy.

Mijamy kilka gospodarstw w pobliżu szosy. Okolica niebogatą. Jest niedziela, gromadka kobiet i starych mężczyzn modli się głośno, klęcząc przed obrazem – przyćmioną starością ikoną w podniszczonych ramach, znajdującą się w obrębie fundamentu z cegieł.

Zbliżał się wieczór. Na nocleg upatrzyliśmy niewielkie gospodarstwo pod lasem. Na podwórku stały krowy i kręciły się kury, w stajni widać było dwa konie i żrebaka. Na nasze spotkanie z chałupy wyszła młoda wystraszona kobieta z dwójką małych dzieci. Chcemy kupić coś do jedzenia, zapewniając, że zapłacimy. Ale kobieta twierdzi, że nie ma niczego, bo wszystko zjadło wojsko. Stara się mówić po polsku, ale jej słownictwo, wymowa i akcent określają narodowość. Natomiast z bosonogim gospodarzem pułkownik uzgodnił, że zapłaci 5 zł za kurę, którą oni nam ugotują.

Byliśmy zmęczeni, postanowiliśmy więc spędzić noc w stodole, a rosół zjeść rano. Gospodarz miał nas obudzić. Wraz z nami byli jeszcze podporucznik rezerwy i podchorąży. Umyłem zakrwawioną nogę. Kalesony i spodnie wyprałem z krwi, ranę zdezynfekowałem resztką wody kolońskiej i zawinąłem czystym bandażem. Pułkownik wciągnął drabinę na górę, dla pewności, by nikt nam w nocy nie złożył wizyty. Zdjął pas, przełożył pistolet do kieszeni w spodniach i okręcił się kocem.

Obudziliśmy się wczesnym rankiem. Gdy zeszliśmy na dół, stwierdziliśmy, że gospodarze zniknęli wraz z całym dobytkiem. W kuchni, ciemnej i brudnej, stał żeliwny garnek, w którym gotowano naszą kurę. Rosół był jeszcze ciepły, ale miał przykry zapach. Okazało się, że kurę wrzucono do garnka bez usuwania wnętrzności. Bardzo nas zaskoczyło, że gospodarze byli tak pełni nienawiści do polskiego wojska. Wydarzyło się to przecież na Podlasiu, ziemi, którą uważaliśmy za rdzennie polską. Żli i głodni wyszliśmy na piaszczystą drogę, którą pomaszerowaliśmy do odległej o około kilometr wioski. Byliśmy przekonani, że z pobliskiego lasu obserwują nas czujne oczy złośliwego gospodarza, który w taki sposób zemścił się za urojone czy rzeczywiste krzywdy doznane od polskich władz.

W parterowym, murowanym budynku, w którym była szkoła, zastaliśmy zatrwożoną kobietę z dwiema córeczkami. Była nauczycielką, od kilku lat uczyła w tej szkole wraz z mężem, oficerem rezerwy, który został zmobilizowany w końcu czerwca. Pochodziła spod Siedlec, gdzie ukończyła seminarium nauczycielskie i gdzie spędzała u rodziców wakacje. Przyjechała tu przed kilkoma dniami i niepotrzebnie zabrała z sobą dzieci. Bezradna, patrzyła na nas smutnymi oczami.

Myjemy się i golimy. Nie chcemy przyjąć żadnego poczęstunku. Nauczycielka opowiada, że ostatnio, od roku czy dwóch, ludzie ze wsi byli do nich wrogo nastawieni, większość dzieci przestała chodzić do szkoły, a teraz mianowali sobie sołtysa, przyszli dzisiaj wczesnym rankiem i zabrali szkolne radio na baterię. Powiedzieli, że już nie będzie potrzebne, nie będzie dzieci uczyła, bo już nie ma Polski.

Zawrzała w nas krew, pytamy, gdzie mieszka ten sołtys. Kobieta błaga, abyśmy nic nie robili, gdyż my pójdziemy dalej, a ona tutaj zostanie.

Wychodzimy na drogę i szukamy chałupy sołtysa. W dużej, ciemnej i zadymionej izbie siedzi kilku mężczyzn w czapkach wokół stołu, na którym ustawiono radio. Wszyscy palą machorkę. Patrzą na nas z wrogą złośliwością. Słuchają komunikatu w języku rosyjskim. Zdenerwowany pułkownik pyta: „Co to, Warszawa nie nadaje, że słuchacie Moskwy?” Po chwili ktoś odpowiada ironicznie i spokojnie, że Moskwa niedługo tu będzie. „Krasnaja Armija” wchodzi do Polski. Ziemia do Wisły „powróci” do Rosji. Taki jest pakt z Hitlerem.

Wiadomość ta była dla nas przysłowiowym gromem z jasnego nieba. A więc wszystko stracone! W milczeniu staliśmy przez kilka minut, wsłuchani w moskiewski komunikat, wygłaszany radosnym, tryumfalnym głosem. Wyszliśmy z izby. W to ciepłe przedpołudnie nad polami widać było srebrzące

się w słońcu babie lato. Typowa polska jesień na tej ziemi, która według radiowych zapowiedzi już nie miała być polską.

Powtórzyliśmy nauczycielce naszą rozmowę z chłopami. Płakała. Dziewczynki tuliły się do niej i, nie rozumiejąc tego co zaszło, patrzyły na nas jak na sprawców matczynego nieszczęścia. Pułkownik radził nauczycielce, aby portrety ze szkolnych sal schowała, gdyż przydadzą się jeszcze. Niezupełnie więc stracił nadzieję.

Na drodze spotkaliliśmy kilku żołnierzy. Byli w drelichowych mundurach i w czapkach polówkach. Niemcy rozbroili ich pod Włodawą i puścili do domu. Żołnierze z bólem przyjęli wiadomość o wkroczeniu do Polski Armii Czerwonej. Ponieważ mieszkali w pobliżu Siedlec, więc namówiliśmy nauczycielkę do powrotu razem z nimi do domu rodziców. Przygotowała nieco jedzenia i picia na dwa-trzy dni marszu, zapakowała najpotrzebniejsze rzeczy. Żołnierze obiecali pomagać jej w marszu. Pakując się opowiadała o wydarzeniach w tej wiosce – jedynej w okolicy z ludnością w większości białoruską lub rosyjską. Przed kilkoma laty zamieszkał tu niestary pop, który głosił, że są to ziemie rosyjskie i na pewno powrócą tu rosyjskie rządy. Niezamożnym udzielał pomocy finansowej, zachęcał chłopów do niepłacenia podatków, uczył języka rosyjskiego, wskutek czego coraz mniej dzieci chodziło do szkoły. Przed dwoma laty rozpoczęto budowę drewnianej małej cerkwi. Po roku była już pod dachem i odprawiano w niej nabożeństwa. Na budowę jednak nie było zezwolenia władz. Przyjechali ludzie z powiatu i przy pomocy wojska cerkiew rozebrano, a popa aresztowano, gdyż nawoływał do zbrojnego oporu. Na miejscu cerkwi miejscowi ludzie posadzili kwiaty i kilka razy w tygodniu zbierają się na modlitwę.

Postanowiliśmy poszukać w Sławatyczach jakiegoś dowódcy, dowiedzieć się o dalszych zamiarach, a także zdobyć coś do jedzenia. Na razie rozpaliliśmy na polu ognisko,

aby upiec ziemniaków. Jeden z żołnierzy odstąpił nam kilka zapalek i kawałek draski.

W Sławatyczach nie było już dowództwa, nie było żadnego czynnika decydującego i korygującego. Armia rozpadła się na naszych oczach. Żołnierze z rozbitych oddziałów wędrowali w różnych kierunkach. Jedni maszerowali do Terespoła, a inni do Radzyna lub Lublina. Jedni szli z Włodawy, a inni tam właśnie się kierowali, gdyż mieszkali na ziemiach za Bugiem. Jeszcze rankiem tego dnia, przed otrzymaniem wiadomości o wkroczeniu Armii Czerwonej, wielu żołnierzy zamierzało wędrować na wschód, wierząc, że na błotach poleskich walka z Niemcami będzie trwała najdłużej. Teraz sytuacja zmieniła się radykalnie, wielu maszerowało na zachód, uciekając przed Rosjanami.

Rozstaliśmy się w Sławatyczach, pułkownik odnalazł znajomych – oficerów sztabowych, i odjechał chłopską furką w kierunku Parczewa lub Radzyna. Na pożegnanie radził mi, abym nie bagatelizował rany i jak najszybciej udał się do szpitala w Białej lub Międzyrzeczu po surowicę przeciwężcową. Przekazał mi też ostatni komunikat nadany przez radiostację warszawską. Broni się jeszcze stolica, Hel i Lwów. Padł Dęblin i Lublin. Trwają walki w Puszczy Kampinoskiej. Rosjanie przekroczyli granicę na całej długości mimo paktu o nieagresji, a zgodnie z umową zawartą z Hitlerem zajmą ziemię do Wisły. Dowiedziałem się pod słowem honoru, że nasz rząd zamierza przenieść się do Francji, a wojna – zgodnie z oświadczeniami zachodnich sprzymierzeńców — potrwa kilka lat.

Nie wiedziałem, co mam dalej robić. Kontakt z resztą mojego batalionu 34 pp nie miałem. Wraz z przypadkowymi towarzyszami wędrówki oglądałem mapę, rozłożoną przez jakiegoś podporucznika-rezerwistę. Każdy z nas proponował co innego. Ile dróg było na mapie, tyle propozycji.

Niektórzy postanowili maszerować za Bug, gdyż tam mieszkali lub mieli nadzieję, że tam właśnie grupują się nasze bojowe pułki kresowe, mające nadal walczyć. Inni od razu decydowali się na marsz w kierunku granicy rumuńskiej, a byli i tacy, którzy chcieli jak najszybciej dostać się do Warszawy. Powoli przerzedzało się towarzystwo skupione nad mapą. Pozostało kilku, z podporucznikiem rezerwy, właścicielem mapy. On sam postanowił wracać do Warszawy, skąd pochodził, i namawiał niezdecydowanych do wspólnej wędrówki bocznymi drogami.

Ja chciałem dostać się jak najszybciej do Międzyrzecza Podlaskiego i poszukać lekarza. Do Warszawy było 200 km, a do Międzyrzecza 50 km, czyli około dwóch dni drogi. Ból zwiększał się z każdym kilometrem, rana jednak nie krwawiła już tak bardzo jak poprzednio. Szedłem w grupie kilku żołnierzy. Mieszkańcy mijanych wiosek ostrzegali nas, aby nie chodzić szosami, gdyż Niemcy wyłapują polskich żołnierzy.

Pierwsza poważna uciążliwość zaistniała, gdy szykowaliśmy się do przekroczenia szosy Biała Podlaska – Parczew. Wiedzieliśmy, że w nocy szosę Niemcy oświetlają reflektorami i strzelają bez ostrzeżenia do osób przekradających się na drugą stronę. Podobno najbezpieczniej było przejść szosę, w dzień, należało tylko dokładnie obserwować zachowanie Niemców i skorzystać z ich nieuwagi. Z zarośli odległych o kilkaset metrów przyglądaliśmy się skrzyżowaniu polnej drogi z szosą. Stał tam samochód pancerny, obok którego przechadzali się dwaj rozgadani żołnierze niemieccy. Trzeci tkwił we władze samochodu, patrząc przez lornetkę to wzdłuż szosy, to w kierunku zabudowań pobliskiej wioski, a czwarty był na pewno wewnątrz, gdyż wystający karabin maszynowy wędrował jak gdyby poszukując celu. Ten czteroosobowy posterunek nie interesował się cywilami, którzy przechodzili swobodnie. Na-

tomiast zatrzymywał i rozbierał naszych żołnierzy, którzy musieli złożyć przed samochodem broń i wojskowy rynsztunek wraz z pasem głównym. Siadali potem w rowie, kilkadziesiąt metrów dalej. Co pewien czas przejeżdżał ciężarowy samochód, zabierając jeńców i broń.

Samochód pancerny przed wieczorem odjechał ze skrzyżowania, eskortując ostatni transport zatrzymanych. Dopiero wtedy zdecydowaliśmy się przedostać na drugą stronę. Ukryci niedaleko szosy, czekaliśmy na taką chwilę, kiedy w pobliżu nie będzie żadnego ruchu. Na drugiej stronie upadliśmy w kartoflisko, słysząc warkot silnika samochodowego. Był już zmrok, a myśmy nie wiedzieli, że obowiązywała godzina policyjna. Na szczęście Niemcy nas nie widzieli.

Po przejściu kilku kilometrów zatrzymaliśmy się na nocleg we wsi Sajówka. W jednym z domów nakarmiono nas kaszą z mlekiem. Korzystając z odpoczynku obmyłem udo. Starsza kobieta, poznanianka, poświęciła prawie pół szklanki wódki (trudno dostępnej w tamtych dniach), abym mógł przemyć ranę. Nie miałem już sterylnych opatrunków.

W czasie dnia przekonałem się, że w każdym gospodarstwie przebywali uciekinierzy, głównie z Warszawy i Poznańskiego, oraz żołnierze z rozbitych oddziałów. Kilku chorowało na czerwonkę. Leżeli w stodołach bardzo wyczerpani. Nie było żadnych leków, dawano im sok jagodowy z wodą. Opiekowała się nimi samorzutnie pielęgniarka z Warszawy.

Uchodźcy ciągle krzepili się wiadomościami o wojnie Rosjan z Niemcami, o zajęciu Nadrenii przez Francuzów itp. Nawet nie próbowaliśmy zaprzeczać ani mówić okrutnej prawdy.

Na śniadanie jedliśmy pieczone ziemniaki. Na szczęście było ich bardzo dużo, gdyż zaczynały się wykopki. Był to nasz jedyny pokarm. Odpoczywaliśmy dość długo w pobliżu wsi Łomazy. Obserwowaliśmy skrzyżowanie tak ważnych dla

nas dróg. Tu spotykali się żołnierze maszerujący w różnych kierunkach. Uniknęli niemieckich obław i rewizji, większość nie miała broni. Wielu rozbroili Niemcy, inni ukryli karabiny w przeróżnych schowkach – w dziuplach drzew, w stogach lub pod mostami. Pod dużym drewnianym mostem, na belce wzmacniającej konstrukcję, ukryłem i ja swoje granaty.

Prawie wszyscy napotkani żołnierze byli zdruzgotani psychicznie klęską. Wiara w potęgę naszego wojska i w siłę sprzymierzonych była tak wielka, że zetknięcie się ze świetnie uzbrojonym wojskiem niemieckim, wyposażonym w czołgi i samoloty, po prostu sparaliżowało pokonanych. Napotkana w lesie pod Łomazami grupa warszawskich harcerzy zbierała broń, zapowiadając dalszą walkę i szykując się do polowania na niemieckich motocyklistów.

Pod wieczór dotarliśmy do wsi Zahajki. Tu zamierzamy spędzić noc. W oknach domów ciemno. Nie prosiliśmy o żywność, ludziom brakowało najpotrzebniejszych rzeczy, a pieniądze nie miały żadnej wartości. Spyaliśmy tylko o miejsce do spania. Ktoś przyniósł nam kilka kawałków chleba.

Był już 21 września. Szedłem do Międzyrzecza wzdłuż drogi radzyńskiej, zachowując wielką ostrożność. Rozglądałem się po okolicy i nasłuchiwałem, aby nie dać się zaskoczyć niemieckim żołnierzom. Już w pierwszych zabudowaniach Międzyrzecza ludzie wyjaśnili mi, jak mogę najbezpieczniej dotrzeć do szpitala, radząc jednocześnie, abym przebrał się w cywilne ubranie. Uchodźców było w mieście dość dużo, ale osób cywilnych Niemcy nie legitymowali. Niełatwo jednak było zdobyć cywilne ubranie, gdyż zbyt wielu żołnierzy zmieniało się tutaj w cywilów. Zadanie to było tym trudniejsze, że miasto w większości było zamieszkałe przez Żydów, a ich stroje były zbyt charakterystyczne. Długiego chałata, krymki czy dużego czarnego kapelusza żaden żołnierz nie chciałby założyć.

Przez wąskie uliczki, podwórka i ogródki dostałem się do szpitala, ufundowanego przed wojną przez amerykańskich Żydów pochodzących z Międzyrzeca. Przypominała o tym marmurowa tablica. W szpitalu leżało kilkudziesięciu rannych żołnierzy. Brakowało środków opatrunkowych, mydła i proszku do prania, ale okazało się, że najbardziej potrzebnych lekarstw dostarczali niemieccy lekarze wojskowi. Najczęściej były to leki zrabowane w polskich aptekach. Starano się utrzymać czystość i porządek. Moją niewielką ranę zdezynfekowano i nareszcie założono właściwy opatrunek. Otrzymałem także zastrzyk z surowicy przeciwężcowej.

Miałem teraz do załatwienia dwie sprawy: nocleg i cywilne ubranie. W szpitalu nie było dla mnie miejsca, ale powinienem pozostać w mieście, aby za dwa-trzy dni skontrolować przebieg gojenia.

Nocleg znalazłem w ośrodku zdrowia na przedmieściu, przy szosie z Siedlec i Warszawy. Kierownik ośrodka, doktor medycyny, był oficerem rezerwy i został zmobilizowany w sierpniu. Zastępowała go żona Filomena, również doktor medycyny. Gdy mijały godziny pracy ośrodka, rozlokowywali się w nim uciekinierzy. Znalazło tam nocleg siedem osób: trzech przebranych w cywilne ubrania żołnierzy (w tym jeden podporucznik rezerwy) oraz czterech warszawskich harcerzy. Przed godz. 8 opuszczaliśmy ośrodek i wracaliśmy późnym popołudniem, po załatwieniu ostatniego pacjenta. Rana goiła się dobrze.

Dr Filomena wyszukała obrotnego młodego człowieka, który dostarczył mi trochę za długie spodnie, flanelową koszulę w kratę i za mały granatowy beret. Oddałem za to płaszcz wojskowy, mundur z pasem i dopłaciłem 20 zł. Zostało mi 8 zł i niepotrzebna książeczka oszczędnościowa.

Dr Filomena dała mi bonzurkę swojego męża, który jeszcze nie wrócił ze szpitala wojskowego gdzieś na południu Polski.

Miałem więc już kompletne ubranie, choć granatowa bonżurka, z jasnoniebieskimi obszyciami przy kieszeniach i sznurami do zapięcia guzików obciąganych niebieskim płótnem, przypominała strój operetkowego huzara. Z wojskowego wyposażenia zostały podkute buty.

Nikt z nas wcześniej nie wiedział, że Międzyrzec był największym w Polsce centrum handlu szczecina – surowcem w pewnym sensie strategicznym, służącym do wyrobu nie tylko szczotek, ale i najlepszych wyciorów armatnich. Dłatego olbrzymie jej ilości eksportowano. W mieście zajmowano się także garbarstwem i kuśnierstwem. Te zawody były głównym źródłem utrzymania większości ubożego społeczeństwa. W pobliżu rynku mieszkali bogaci Żydzi, ale była to nieliczna garstka wśród mrowia biedaków. Wędrowałem krótkimi, wąskimi egzotycznymi uliczkami. Znałem dzielnicę żydowską w Warszawie. Pułtusu i w Kazimierzu nad Wisłą, ale uliczki w Międzyrzecu były inne pewnie dlatego, że mieszkali tu wyjątkowo biedni ludzie. Drewniane budynki z małymi oknami i ganeczkami, podwórka zatłoczone dobudówkami, szopami, komórkami, w których były jakieś niewielkie, zastawione różnymi sprzętami i stołami pracownie, warsztaty i wytwórnie. Ten, tak dla mnie egzotyczny i nieznany świat miał niedługo zginąć.

Kilka razy rozmawiałem ze starymi Żydami garbującymi skórę i z krawcem, który za złotówkę skrócił mi spodnie. Dziwne to były rozmowy. Nikt z nas nie rozumiał tego, co się wydarzyło, jak w przeciągu trzech tygodni mogło zginąć takie duże państwo? Przeczytałem wiele książek o hitleryzmie. Podświadomie wyczuwałem grożące i Polakom, i Żydom niebezpieczeństwo. Ale oni, nie raz ciężko doświadczeni, uparczywie wierzyli, że są narodem wybranym, że nie mogą zginąć, bo jak wyglądałby świat, gdyby nie było Żydów. Gdy po raz ostatni

byłem w szpitalu, przyszedł niemiecki lekarz z tłumaczem Ślązakiem. Zapowiedziano, że nazajutrz po południu armia niemiecka zacznie wycofywać się z Międzyrzecza za Wisłę – zgodnie z międzypaństwową umową, a tutaj wkroczy Armia Czerwona. Należało natychmiast podać wykaz niezbędnych leków, a on postara się je dostarczyć, jeśli będą w nadmiarze w wojskowej aptece. Ponadto radził, aby wszyscy oficerowie, którzy mogą chodzić, przenieśli się do polskich rodzin, gdyż otrzymał informację, że ranni żołnierze zostaną wywiezieni za Bug, do szpitali sowieckich.

Do wieczora, kto tylko mógł, opuścił szpital. Pozostało kilkunastu ciężko rannych żołnierzy, w większości oficerów. Następnego dnia na rynku wymieniliśmy z wieśniakami kilka koców na kawałek słoniny i jajka. Chłopi handlowali z Żydówkami, wymieniając swoje produkty na materiały włókiennicze, nici, zapalki, cukier i sól. Niemcy nie interesowali się handlem. Od chłopów dowiedzieliśmy się o żołnierzach z rozbitych oddziałów, ukrywających się w lasach i dalej walczących z niemieckimi patrolami.

Pod czujnym okiem grubego, niemłodego niemieckiego żandarma starzy Żydzi zamiatali rynek i pobliskie uliczki. Widocznie zapadła jakaś decyzja pozostawienia czystego miasta. Na ścianach wisiały wielkie antyżydowskie plakaty: „Die Juden sind unser Unglück!” lub „Die Juden sind schuld am Kriege!”, a w pobliżu nieczynnej restauracji rozwieszono antyżydowskie pismo „Der Stürmer” – ze zdjęciami polskich Żydów, takich właśnie, jakich codziennie tu spotykałem: z długimi, siwymi brodami, w okularach, długich chałatach i krymkach na głowach.

Do wieczora Niemcy opuścili Międzyrzec. Na ulicach było gwarno i rojno. Nikt nie przestrzegał godziny policyjnej – zakazu opuszczania mieszkań po zachodzie słońca. Następnego

dnia w mieście panowało bezkrólewie. Nieprzerwanie trwała wędrówka uchodźców i żołnierzy przebranych w cywilne ubrania. Nieliczni już tylko kierowali się na wschód, w stronę Brześcia, ogromna większość podążała na zachód, w kierunku Warszawy.

Tego dnia dr Filomena wyciągnęła ze schowka aparat radiowy. Jednym z pierwszych ogłoszeń niemieckich był nakaz oddania odbiorników i zakaz słuchania radia pod groźbą kary śmierci. Anteny nie zdjęto jeszcze z dachu, więc szybko podłączyliśmy ją do aparatu. Okna zasłoniliśmy, światła zgasiiliśmy, w pokoju żarzyła się tylko skala aparatu radiowego. Warszawska radiostacja nadawała bardzo słabo i niewyraźnie. Wiadomości były tak przerażające, że siedzieliśmy jak sparaliżowani. Dotąd bowiem wbrew wydarzeniom istniała w nas nierealna wiara w nadprzyrodzoną moc walczącej z Niemcami stolicy. Wydawało się nam, że dopóki Warszawa się broni, to jeszcze nie wszystko stracone. Zastygliśmy w bólu słysząc, że po bohaterskiej obronie stolica Polski legła w gruzach, płonęła. Nikt nie przyszedł z pomocą, umieraliśmy osamotnieni, za pięknymi słowami aliantów nie przyszły czyny.

Następnego dnia przed godz. 8 wybrałem się z podporucznikiem rezerwy z Warszawy na cmentarz leżący na przeciwnym przedmieściu. Miasto zmieniło się podczas jednej niesamowitej nocy. Wszędzie wisiały czerwone chorągwie i transparenty w języku rosyjskim lub napisane alfabetem hebrajskim: „Zdrowstwuje Krasnaja Armija! Zdrowstwuje Krasnoarmiejcy!”, oraz inne (tłumaczone z trudem, gdyż nie znaliśmy języka rosyjskiego): „Witamy naszych oswobodzicieli! Niech żyje ZSRR – obrońca i wyzwoliciel światowego proletariatu!”.

Na rynku i wzdłuż szosy zbierała się młodzież żydowska. Starszych osób nie było. Stały młode Żydówki z pękami kwiatów, nowo powołani milicjanci w cywilnych ubraniach

i z czerwonymi opaskami. W pośpiechu uczono się zbiorowego śpiewu *Międzynarodówki*, skandowano powitalne okrzyki.

Na cmentarzu odszukaliśmy nowe groby żołnierskie, z drewnianymi krzyżami. Na kilku leżały hełmy, nie na wszystkich były nazwiska. Przybyło Polsce mogił nieznanym żołnierzom.

Od strony Białej Podlaskiej nadjechały samochody osobowe, które zatrzymały się kilkaset metrów przed pierwszymi transparentami. Były to „buciki” i „chevrolety” – montowane w Polsce, pozbawione naszych numerów rejestracyjnych, zarekwirowane polskim uchodźcom, którzy znaleźli się na Kresach Wschodnich. Po chwili pojawiła się kolumna wojska. Na przodzie błyskały instrumenty muzyczne orkiestry dętej. Żołnierze przyjechali mocno zniszczonymi ciężarówkami, które zatrzymały się daleko od miasta.

Do radosnego tłumu podeszli najpierw dostojnicy wojskowi, ci z samochodów osobowych, za nimi szła orkiestra, wygrywająca skoczne marsze, a dalej maszerował batalion piechoty. Żołnierze odbierali od wiwatujących kobiet wiązanki kwiatów, uwijał się fotograf w mundurze, ktoś wykrzykiwał: „Da zdrowstwujet sowieckaja włast! Da Zdrowstwujet Krasnaja Armija!” Około tysiąca młodych ludzi, mężczyzn i kobiet, wielu w chałatach i w krymkach – byli to na pewno najbiedniejsi mieszkańcy Międzyrzecza. Proletariat z takich ubogich miasteczek widział w zwycięskim komunizmie jasną drogę do lepszej przyszłości, jedyną nadzieję na wyrwanie się z wąskich i brudnych uliczek.

Kolumna żołnierzy zatrzymała się na rynku. Po krótkim powitaniu, ogłoszonym w języku rosyjskim, rozpoczęło się długie, wiecowe przemówienie jednego z oficerów sowieckich.

Ludzi występujących, tak jak my, tylko w roli obserwatorów, uczuciowo nie zaangażowanych w to uroczyste powitanie,

zadziwiał wygląd tych żołnierzy: byli wymizierowani i jak gdyby wystraszeni. Niespokojnie patrzyli na witający ich tłum i rozglądali się wokół. Trudno byłoby nam uwierzyć, gdyby ktoś to opowiadał, ale myśmy widzieli: karabiny żołnierze mieli na sznurkach, a nie na skórzanych lub parcianych pasach. Ubrani byli w długie płaszcze, barwy zgniłozielonej, u dołu nie obrębione, a nawet trochę poszarpane, buty miały cholewy z ciemnej ceraty lub z brezentu. Nosili furażerki, a plecaki robili z worka i grubego sznurka. Oficerowie mieli czapki okrągłe, bez dodatkowych odznak, tylko z gwiazdą.

Na rynku odnalazła nas dr Filomena i zażądała, abyśmy natychmiast udali się do ośrodka zdrowia, gdyż zbytnio się wyróżniamy i budzimy niepotrzebne zainteresowanie. Od jednego z pacjentów dowiedziała się, że w najbliższym czasie mają zacząć się aresztowania wszystkich przebywających w mieście polskich żołnierzy. Wieczorem do jej mieszkania przyszedł zaprzyjaźniony aptekarz-Żyd, który nie tak dawno, przed wojną, grywał w brydża z doktorostwem i potwierdził te wiadomości. Radził byśmy opuścili ośrodek.

Po południu niedaleko Międzyrzeca rozbił się samolot sowiecki, podobno myśliwiec. Leciał dość nisko wzdłuż szosy, spadł niespodziewanie, pilot zginął. Świadkowie opowiadali, że samolot nagle się zakrztusił, silnik zaczął pracować nierówno, aż zamilkł i samolot runął z wysokości około 100 m. Podobno próbowano odnaleźć winnego, bo mówiono, że ktoś do samolotu strzelał.

Wieczorem postanowiliśmy wyruszyć do Warszawy. Rano dostaliśmy po pełnym talerzu ryżu z mlekiem, a na drogę opiekunicha dr Filomena ofiarowała nam z trudem zdobyty bochenek chleba i pęto suchej kiełbasy z przedwojennych zapasów. Aptekarz przyniósł sowiecką gazetę „Prawda”, rozdawaną na rynku. Z mapki dowiedzieliśmy się, że linia demarkacyjna

po między Armią Czerwoną a wojskami niemieckimi biegnie na rzekach: Narew, Wisła i San.

Należało jak najszybciej znaleźć się za Wisłą.

Od rana na szosie było bardzo wielu takich jak my – wracających do Warszawy uchodźców lub poprzebieranych w cywilne ubrania żołnierzy. Tych ostatnich łatwo można było poznać – zdradzał ich nie tylko wiek i solidne wojskowe buty, z którymi nie chcieli się rozstawać, ale także spojrzenie. Gdy omijali z daleka posterunki niemieckich lub sowieckich żołnierzy, przypominali psa-włóczęgę, spoglądającego spode łba i szczerzącego zęby.

Przy mijanych mostach widzieliśmy już sowieckie posterunki wojskowe. Po kilku godzinach marszu zatrzymaliśmy się przy niewielkim moście, zaciekawieni rozmową oficerów sowieckich z przechodzącymi Polakami. Po raz pierwszy mogliśmy obejrzeć ich z bliska. Umundurowani byli znacznie lepiej niż szeregowcy. Zamiast oficerskich dystynkcji mieli kwadraciki lub trójkąty na kołnierzu zapiętej pod szyją bluzy. Przyjechali samochodem „opel-kadet”, przy którym teraz majstrował ubrudzony smarem żołnierz-kierowca. Mimo różnych starań i zabiegów samochód nie dawał się uruchomić. Idący z nami, przebrany w cywilne ubranie, oficer rezerwy, inżynier, który jeszcze przed miesiącem miał w Warszawie taki sam samochód, odsunął kierowcę, spróbował zapalić silnik, zajrzał pod maskę i orzekł: brak paliwa.

Oficerowie skłękali w ordynarny sposób kierowcę, ucieszyli się takim szczęśliwym dla nich zakończeniem przerwy w podróży i w znacznie lepszych humorach zaczęli nas częstować sowieckimi papierosami. Jeden z nich przyjrzał się mojej kurtce i zciekawiony zapytał: „Kakaja formacja?”. Odpowiedziałem, że to bonżurka, a on uznał, że wita go Francuz i grzecznie

odpowiadając „bonjour”, zaczął mnie wyciągać z gromadki stojącej wokół samochodu, wyjaśniał przy tym, że jako Francuz zostaną przewieziony do Moskwy i stamtąd szybko wrócę do kraju. Nie znając rosyjskiego języka, nieudolnie starałem się wyjaśnić nieporozumienie.

Dopiero jakiś stary kolejarz dopomógł mi, wyjaśniając oficerowi, że to nie jest umundurowanie, lecz tylko odzienie. Oficerowie, patrząc na rozbawionych Polaków, zmienili momentalnie swoje zachowanie, stali się źli i nieufni, widocznie domyślili się, że to z nich się śmiejemy. Odeszli na bok, nie słuchając wyjaśnień kolejarza. Pomyślałem, że lepiej będzie zniknąć im z oczu. Szybko przeszedłem przez most. Marsz sprawiał mi jednak coraz więcej trudności, ponieważ noga mi puchła. Noc spędziłem u gościnnych ludzi, u których nocleg znalazł podoficer zawodowy z 1 ppLeg. z Wilna, ranny w rękę, który kilkanaście dni spędził w szpitalu w Siedlcach. Opowiadał o zwycięskim boju w Kałuszyńie i o swoim powrocie do Wilna, gdzie zostawił rodzinę.

Rano 30 września gospodarze poczęstowali nas wojenną zupą: ziemniaki, kasza, marchew – wszystko rozgotowane, a na wierzchu trochę tłuszczu. Z sowieckiej gazety dowiedzieliśmy się o układzie niemiecko-sowieckim. W związku z nową granicą między ZSSR i Niemcami, biegnącą wzdłuż rzeki Bug, armia sowiecka powinna wycofać się z Międzyrzecza. Zdecydowałem się wrócić do ośrodka zdrowia. Uznałem, że noga wymaga dalszej kuracji, a do domu wrócę, gdy Niemcy uruchomią komunikację kolejową. Dr Filomena bez większego zdziwienia powiedziała, że spodziewała się mojego powrotu.

W niedzielę 1 października byłem jednym z nielicznych wiernych na porannej mszy. Gdy wyszedłem z kościoła, dostałem od żołnierza gazetę „Krasnoarmiejskaja Prawda”. Była tam

mapa z dokładnie zaznaczoną nową granicą na terytorium dawnego państwa polskiego.

Armia Czerwona wycofywała się z Międzyrzeca. W pośpiechu zabierano wszystko, co tylko można było wywieźć. Mienie państwowe, społeczne i prywatne. Wywożono deski z tartaku, szczecinę, kozuchy, szyny i podkłady kolejowe, składowane przez PKP, ławki ze szkoły i wyposażenie szpitalne. Wywieziono ciężko rannych polskich żołnierzy. Odjechali towarowymi wagonami. Pojechał z nimi pełen poświęcenia lekarz z Międzyrzeca – dr Bolesław Leman, por. rez. Zapamiętałem go, gdyż w Pruszkowie mieszkał jego brat aptekarz. Nie chciał rannych zostawić bez opieki, myślał, że wróci po umieszczeniu ich w jakimś szpitalu. Prawdopodobnie zginął w obozie starobielskim.

Rabowano dwór i pałac hr. Andrzeja Potockiego. Meble, obrazy, kwiaty z palmiarni, maszyny rolnicze i sprzęt, konie i bydło, zboże i słomę. Stary, zaufany kamerdyner hrabiego odjechał z wielkimi honorami, powozem zaprzężonym w dwa konie. Zasłużył się bowiem wielce: wydał tajną skrytkę, w której ukrywano kosztowności rodu Potockich – srebra, dywany, najcenniejsze obrazy i stare zegary. Z gorzelni nie zdążono wywieźć całego zapasu okowity, pozostałość spuszczone do rzeki Krzny. Kto mógł, leciał z kubłami, garnkami itp., aby nałapać alkoholu. Ostatni odjeżdżający z Międzyrzeca żołnierze sowieccy podpalili płynący rzeką alkohol. Wieczorem Krzna płonęła słabym, jasnobłękitnym płomieniem. Widok był niesamowity.

Wraz z odjeżdżającymi wojskami miasto opuszczali młodzi mężczyźni, którzy z komunizmem związali swoją przyszłość. Jednakże ogromna większość Żydów pozostała w mieście, co miało dla nich tragiczne następstwa. Zaprzyjaźnionego z dr Filomeną aptekarza-Żyda zapytałem,

jak sobie wyobraża życie pod niemiecką okupacją, gdyż na pewno wie o antysemityzmie agresorów niemieckich. Nie był pesymistą, choć przyszłości nie widział w jasnych barwach. Wierzył w ostateczne zwycięstwo zachodnich sprzymierzeńców. Zakochany, jak wielu Żydów, w niemieckiej kulturze, wierzył również w humanizm i niemieckie poszanowanie prawa. Uważał, że jidysz jest zbyt zbliżony do języka niemieckiego, aby okupanci nie wykorzystali tego w swoich stosunkach z Polakami. Tylko nieliczna garstka Polaków zna język niemiecki i dlatego Żydzi będą potrzebni jako tłumacze i pośrednicy. Przypomniał lata I wojny światowej, kiedy Żydom żyło się zupełnie znośnie pod niemiecką okupacją. Spalenie przez Niemców pałacu Potockich w Międzyrzecu w roku 1918 tłumaczył niepotrzebnymi wystąpieniami Polskiej Organizacji Wojskowej.

Wśród pacjentów dr Filomeny był najbogatszy w Międzyrzecu Żyd. Któregoś dnia spotkałem się z nim w poczekalni. Był bardzo gadatliwy. Chełpił się, że jest największym hurtownikiem szczeciny, którą wysyła nawet do Ameryki. Ma tam brata, który sprzedaje każdą ilość szczeciny. On ma już tam na koncie ponad 2 mln dolarów, więc nie boi się Hitlera. Córka jego studiowała na uniwersytecie w Berlinie, miała polski paszport, nie chciała emigrować do Nowego Jorku i wróciła do ojca w Międzyrzecu.

Do tego małego i cichego miasteczka wkraczała teraz armia niemiecka. Oficerowie łącznikowi obu zaprzyjaźnionych armii jadąc w otwartych samochodach towarzyszyli wychodzącym oddziałom Czerwonej Armii. Na poboczu szosy na wprost ośrodka zdrowia czekała na Niemców delegacja Gminy Żydowskiej, która mogłaby zarazem być delegacją mieszkańców. Był tam m.in. znajomy aptekarz. Tym razem byli ubrani w stroje europejskie.

Gdy nadjechał pierwszy pancerny samochód niemiecki, członkowie delegacji wyszli na szosę. Jeden z nich zamachał przyjaźnie ręką, a drugi zdjął białą serwetkę z dużej srebrnej tacy, na której leżał bochenek chleba. Taca trafiła do rąk stojącego we włązie żołnierza, który lekceważąco wrzucił ją do wnętrza pojazdu. Kolumna samochodów ruszyła w kierunku rynku.

Niemcy zajęli szkołę i pokoje u chrześcijan na kwatery dla podoficerów, kilku oficerów zamieszkało w pałacu, a dowódca podobno na plebanii. Unikano kwaterowania u lekarzy, obawiając się chorób zakaźnych. Wkrótce pojawili się żandarmi oraz przedstawiciele administracji, ubrani w mundury różnych formacji, z opaskami ze swastyką. Hitlerowskie flagi ozdobiły kilka budynków.

Urządowanie niemieckich władz rozpoczęło się od rekwiizycji towarów, ocalałych jeszcze w żydowskich magazynach i hurtowniach. Młodzi Żydzi, nadzorowani przez pokrzykujących żandarmów, ładowali do ciężarowych samochodów wszystko, co przedstawiało jakąś wartość lub mogło być przydatne dla niemieckiej gospodarki.

Na początku października wrócił do domu dr Artur, który jako chirurg został zmobilizowany do wojskowego szpitala w Lublinie. Był całkowicie wyczerpany i duchowo rozbity. Przez wiele godzin nocnych wysłuchiwaaliśmy jego wspomnień.

W tych dniach niepewności i ogólnego chaosu wytworzyły się w mieście nienormalne warunki, nikt nie chciał brać pieniędzy. Aptekarz płacił lekarzowi za wizytę specyfikami lub środkami opatrunkowymi, piekarz codziennie dostarczał chleb, twierdząc, że jego rodzina ma zapewnioną opiekę lekarską itp.

Na ziemi lubelskiej kończył się ostatni fragment wrześniowej epopei. Na drogach znowu pojawili się wędrowcy

– żołnierze przebrani w cywilne ubrania, wracający do swoich domów. Walczyli do końca, uniknęli szczęśliwie niewoli, a teraz omijali posterunki niemieckie. Ze szpitali wracali ranni i inwalidzi, szli także ci nieliczni, którym udało się przedostać nielegalnie przez Bug – nową granicę, od początku pilnie strzeżoną.

Gdy ruszyły pociągi z Terespoła do Warszawy, uzyskałem przepustkę dzięki znajomościom dr. Artura. Na zatłoczonym dworcu byłem już przed wieczorem. Z przepustką wydaną przez Komendę Miasta można było przejść przez miasto podczas godziny policyjnej, obowiązującej od 20.00 do rana, a także znajdować się na dworcu kolejowym. Pociąg z Terespoła przyjeżdżał około godz. 22.

Osiemnastego października, po 46 dniach zaskakującego, nieregularnego wojowania, wracałem do rodzinnego domu, nie spełniwszy najważniejszego obowiązku Polaka, obrony wolności Ojczyzny. Ponieśliśmy klęskę nie tylko zaskakującą, ale i całkowitą. Dla mnie były to chwile tragiczne – poległo kilku moich przyjaciół. Głęboko przeżywając gorzkie porażki, odczuwałem, że bezpowrotnie przeminęły moje prawie beztroskie młodzieńcze lata, że jednocześnie załamały się wszystkie osobiste plany i zamierzenia.

Ranek tego dnia był chłodny, pochmurny i mglisty. Pociąg jechał bardzo wolno, zatrzymując się na wszystkich przystankach. Stałem przy szeroko otwartych drzwiach towarowego wagonu, patrzyłem na niekończące się pobojuwisko: wyludnione okolice, zniszczone budynki, pozrywane druty telefoniczne, na samotne wojenne mogiły oznaczone najprostszymi drewnianymi krzyżami, rozrzucone wśród pól.

Po dwunastu godzinach pociąg dotarł do Dworca Wschodniego. To już była inna Warszawa – niemieckie mundury kolejarzy, obce patrole wojskowe i posterunki żandarmerii, a mia-

sto zniszczone. Przy moście Poniatowskiego legitymowano i rewidowano młodych przechodniów.

Na dawnym przystanku EKD przy ul. Marszałkowskiej dowiedziałem się, że kolejka kursuje od granicy miasta. Dowlokłem się do tego prowizorycznego przystanku, na którym spotkałem pruszkowskiego proboszcza, ks. Edwarda Tyszkę. Powiedział mi, że widuje mojego ojca w kościele. Jechaliśmy w tłoku, przejrzałem kupioną w Warszawie gazetę. Był to „Nowy Kurier Warszawski” z 18 października 1939 r. Od kolejki szedłem z ks. Tyszką, który opowiadał mi o wkroczeniu Niemców do Pruszkowa, o pierwszym okresie okupacji.

Szedłem ze spuszczoną głową. Myśląc o rodzinie, o domu, nie spostrzegłem, że w pewnej chwili ksiądz zszedł na jezdnię, a ja znalazłem się przed młodym żołnierzem niemieckim, ze znaczkiem trupiej główki na czapce. Gdy uniosłem głowę, żołnierz uderzył mnie, aż beret spadł na ziemię, a gdy pochyliłem się, kopnął mnie w bolące udo. Ks. Tyszka pośpiesznie zaczął tłumaczyć Niemcowi, że jestem inwalidą, wracam ze szpitala i mam specjalną przepustkę. Na pewno nie był to najlepszy język niemiecki, ale żołnierz zrozumiał. Popatrzył na mnie. Może miałem przerażoną minę, a może został przekonany przez księdza, w każdym razie, gdy podnosiłem kij, który wypadł mi z ręki, Niemiec zręcznie uniósł butem mój beret, nałożył mi go na głowę i popchnął w kierunku proboszcza. Zaraz zaczął bić następnego, równie zaskoczonego przechodnia, który pewnie też nie wiedział, że przed niemieckim żołnierzem należy zdejmować czapkę.

Przez dłuższą chwilę nie wiedziałem, co się ze mną stało. Na szczęście ksiądz wziął mnie za łokieć i udzielił bezcennej rady, by usuwać się z drogi esesmanom, przechodzić na drugą stronę ulicy lub schronić się do najbliższej bramy, a przede

wszystkim bacznie obserwować, co się dzieje na ulicy. Rady te pomagały mi przez całą okupację.

Dotarłem wreszcie do domu. Byli rodzice. Był Jurek, który wrócił do domu dużo wcześniej, tuż po upadku Warszawy.

Następnego dnia od rana zabraliśmy się z bratem do usuwania z okien papierowych taśm, które miały zabezpieczać szyby podczas bombardowania. W dziwnym nastroju spaliliśmy niepotrzebne już papierowe zasłony na okna, a później zasypywaliśmy doły przeciwlotnicze w sąsiednim ogrodzie. Przez wiele tygodni żyliśmy w przedziwnym odrętwieniu, starając się o niczym nie myśleć. Nie mówiliśmy o przyszłości, która rysowała się ponuro. Czuliśmy, że nastąpił koniec pewnej epoki. Dopiero później zrodziło się przekonanie, że dla nas kampania wrześniowa trwać będzie nadal, że nikt nas z żołnierskiej przysięgi nie zwalniał, że to nie był koniec, lecz tylko przerwa, po której podejmiemy walkę i będziemy ją toczyć aż do zwycięstwa, do odzyskania niepodległości.

CZĘŚĆ III

Oficer ludowego WP

Piąta wojenna zima, podobnie jak cztery poprzednie, mocno dawała się ludziom we znaki. Od listopada trzymał silny mróz, a gruba warstwa brudnego śniegu przykrywała ziemię. Marzliśmy w nieogrzanych mieszkaniach. Rozebrano już ostatnie parkany. Nie było czym palić w kuchniach.

Szesnastego stycznia 1945 r. rano rozpoczęła się paniczna ucieczka niemieckich żołnierzy z Pruszkowa. Polacy mieszkający w pobliżu niemieckich kwater czekali na dogodny moment, aby rozpocząć rabunek pozostawionego w piwnicach węgla. Kto zdąży, będzie nareszcie miał ciepło w mieszkaniu. Przed kilku dniami rozpoczęła się radziecka ofensywa. Artyleryjska kanonada i nieustanny jazgot katiusz przesuwwały się na zachód, omijając na szczęście nasze udręczone miasto. Po południu saperzy wysadzili Elektrownię Pruszkowską i Fabrykę Mechaników. Od wieczora, przez całą noc, po nasypie, na którym niegdyś biegła linia kolejowa z Warszawy do Skierniewic, uciekali małymi grupkami przestraszeni ostatni niemieccy żołnierze. Słyszać było przekleństwa i nawoływania.

Przed południem 17 stycznia 1945 r. od strony Nadarżyna wjechało na wyboiste ulice Pruszkowa kilka czołgów 1 BPanc 1 armii WP. Zaczęto ozdabiać domy biało-czerwonymi flagami.

Ulice nabrały odświeżonego wyglądu. Był to koniec ponad pięcioletniej hitlerowskiej okupacji naszego miasta.

Wiadomości przenikające w ciągu ostatnich tygodni zza Wisły nie nastawiały dobrze do nowej władzy. Jeśli żołnierzy przyjmowano z zaciekawieniem i nawet z pewną serdecznością, to powstające urzędy od razu otoczyła duża ostrożność i nieufność. W kilka dni po wyzwoleniu ujawnił się w Pruszkowie Komitet Miejski PPR przejmując całą władzę nad miastem. Na ulicach pojawiły się patrole Milicji Obywatelskiej, a jednocześnie rozpoczął działalność Resort Bezpieczeństwa, kierowany i wspomagany przez NKWD, które wyrzucało ludzi z domów, by zająć na własne potrzeby kilka willi w Komorowie i na Ostoi oraz trzy budynki w Pruszkowie.

Pierwsze ogłoszenie utrzymywało godzinę policyjną, a także obowiązek zaciemniania od zmroku do świtu. Choć nie było elektryczności, to należało zasłaniać okna, zapalając świecę lub lampkę karbidową. Lawinowo narastały powszednie trudności. Brakowało żywności, urwały się dostawy z pobliskich wiosek, kończyły się skromne zapasy karbidu do prymitywnych okupacyjnych lampek, co zapowiadało wieczorne ciemności w wyciębionych mieszkaniach. Nie było opału, lekarstw, środków czystości. Nie istniał transport kolejowy. Po zlikwidowanej linii kolejowej pozostał tylko pusty nasyp, natomiast kolejka EKD nie kursowała z powodu braku prądu. Nie było pracy. Największe fabryki były zniszczone i tylko jedyna ocalała Fabryka Ołówków „St. Majewski” zapowiadała rozpoczęcie produkcji, obiecując zatrudnienie kilkudziesięciu osób. Ludzie byli krańcowo wyczerzeni, wygłodzeni i zziębnięci. Stłoczeni w mieszkaniach wraz z wysiedlonymi z Warszawy, byli z nimi coraz bardziej skłóceni. Stale narastały nowe konflikty. Nerwy nie dawały się utrzymać na wodzy. Do zwykłych, codziennych kłopotów i trosk dochodziła groźba domowych rewizji i aresztowań.

Na przełomie lutego i marca 1945 r. zarządzono rejestrację dawnych wojskowych i uczestników konspiracji, a następnie ogłoszono pobór do wojska tych wszystkich, którzy jeszcze nie służyli. W połowie marca otrzymałem wezwanie do stawienia się przed Komisją Poborową, która urzędowała we Włochach, w dużym, dwupiętrowym budynku zamienionym na biura Ministerstwa Obrony Narodowej, w pobliżu dworca kolejowego. Poszliśmy tam pieszo. Na nasypie dawnej linii kolejowej pracowali, przywożeni codziennie z Pruszkowa, robotnicy – którzy układali jeden tor do Warszawy Zachodniej.

Wejście do budynku ozdobiono flagami. Przed nim stało dwóch wartowników. Na schodach, na korytarzach i w pokojach wisiały czerwone transparenty z napisami: „Niech żyje Ludowe Wojsko Polskie!”, „Niech żyje niezwyciężona Armia Czerwona!”, „Niech żyje wieczysta przyjaźń polsko-radziecka!”. W pokojach rozwieszono kolorowe afisze: „AK – zapluty karzeł reakcji!” oraz „Nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera!”. Ten afisz ozdabiała uśmiechnięta, pyzata twarz uszczęśliwionego podporucznika.

Komisja Poborowa okazała się niepoważną formalnością. Młody podporucznik (lekarz lub student medycyny) zapytał: „Jak się czujecie?”. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą „Jako, tako!” Na pytanie następne: „Nic nie dolega?” odpowiedziałem: „Nie! Nic!”. To było wszystko. Nie polecono mi rozebrać się. Nie było prześwietlenia, gdyż nie było aparatu rentgenowskiego. Badający nie miał stetoskopu i nawet nie spojrzał w moje szwankujące oczy. „No, to dziękuję!”. Siedzący pod oknem dwaj kapitanowie ani na chwilę nie przerwali rozmowy o wspólnych znajomych z podlubelskiego miasteczka.

W innym pokoju po raz kolejny wypisywałem ankietę personalną, a później jakiś podoficer wypytywał mnie o różne szczegóły z mojego życia oraz o przebieg służby wojskowej.

O udziale w kampanii wrześniowej i o mojej pracy w konspiracji nic nie mówiłem, gdyż ostrzegał mnie przed ujawnianiem tych szczegółów znajomy podoficer, przyjmujący przed kilkoma tygodniami moją pierwszą ankietę personalną. Tym razem zażądano ode mnie zaświadczenia o ukończeniu Dywizyjnego Kursu Podchorążych. Na szczęście uprzednio pożyczyłem od jednego z kolegów (mieszkającego we Włochach) „Jednodniówkę” wydaną na zakończenie szkolenia w 13 pp w Pułtusk, ze spisem nowo mianowanych podchorążych. To wystarczyło.

Po kilku tygodniach, pod koniec kwietnia, otrzymałem powołanie do wojska. Awansowano mnie do stopnia podporucznika i polecono w ciągu trzech dni zameldować się w jednostce wojskowej nr 65-013 w Bydgoszczy. Pozostali koledzy z Pruszkowa otrzymywali przydziały do pułków stacjonujących na Mazurach, prawników kierowano na „doszkolenie” w podwarszawskich Babicach, a ci, którzy zdążyli wstąpić do Polskiej Armii Ludowej, odjeżdżali do Łodzi lub w Bieszczady.

Wojna jeszcze trwała. Polska była krajem przyfrontowym. Niektórzy radzieccy żołnierze zachowywali się tak jak w podbitym kraju. Do Pruszkowa docierała fala uciekinierów z dawnych Kresów Wschodnich, którzy opowiadali o okrucieństwach, jakie niesie sowiecka okupacja. Wielu przedwojennych oficerów oraz zagrożonych aresztowaniem działaczy antyhitlerowskiego podziemia wyjeżdżało na tzw. Ziemie Odzyskane, aby ukryć się, przeczekać niebezpieczne dni lub w oddalonych miejscowościach rozpocząć nowe życie, jako ktoś nie znany wśród nieznajomych.

Natomiast objęci poborem młodzi ludzie stawali przed komisją, a później odjeżdżali do swoich jednostek wojskowych, nie myśląc o współpracy z nową komunistyczną władzą czy też o budowaniu „socjalistycznego ustroju”. Po prostu spełniali

patriotyczny obowiązek. Wielu oficerów nie ujawniając przeszłości konspiracyjnej zgłaszało się do wojska, gdyż uważali, że swoją obecnością będą korzystnie wpływać na żołnierzy. Szybko się jednak przekonali, że oficerowie radzieccy, nazywani przez nas „popami” (pełniący obowiązki Polaka), zdawali sobie sprawę z nastawienia większości powoływanych do ludowego WP oficerów i podoficerów, więc od początku zastosowali wypróbowany w ZSRR system stałej obserwacji „podejrzanego elementu”, stosując najczęściej metodę wprowadzania do danego środowiska swoich „wtyczek”, tj. zaufanych ludzi – nie tylko komunistów, ale wszystkich gotowych (z różnych względów) do takiej współpracy.

Tuż po wyzwoleniu aresztowano kilku moich kolegów. Inni ukrywali się. Groźba aresztowania wisiała także nade mną. Przez kilka pierwszych tygodni „ukrywałem się” w mieszkaniu mojej Matki, przy ul. Stalowej nr 17. Zapewniało mi to raczej wątpliwe bezpieczeństwo, gdyż wiedzieli o mnie wszyscy sąsiedzi, a okupacyjna solidarność Polaków należała, niestety, do przeszłości, NKWD bowiem wraz z UB oraz Komitet Miejski PPR w krótkim czasie dokonali w Pruszkowie tego, czego przez kilka lat gestapo nie zdołało osiągnąć: rozbili jedność polskiego społeczeństwa.

W moim życiu prywatnym był to również okres trudny. Przed rokiem ożeniłem się. Żona Hania była w ciąży, w czerwcu spodziewaliśmy się bliźniąt. Ustaliłem już wcześniej z Matką i Hanią, że jeśli otrzymam kartę powołania, to pójdę do wojska, nie będę się starał o reklamację. Pocieszałem się tym, że mogłem śmiało zostawić pod opieką Mamę nasze przedsiębiorstwo papiernicze, które od kilku lat prowadziliśmy wspólnie, a które dawało nam nadspodziewanie duże dochody. Odroczenie służby wojskowej można było uzyskać podejmując pracę w UB, w MO lub na PKP, ale wszystkich tych ostateczności wolałem unikać.

Tak oto szedłem znowu na wojnę, którą rozpoczynałem w roku 1939. Jakże inaczej wygląda mój ponowny wyjazd na tę samą wojnę! Przede wszystkim jestem o sześć lat starszy, bardziej doświadczony. Ojciec nie żyje od trzech lat. Hania i Matka żegnają mnie łzami i modlitwą. Wstępuję do brata. Ma zamiar kończyć studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki, pozostało mu kilka semestrów. Jest optymistą. Głęboko tkwi w nas absurdalne przekonanie, że Ameryka upomni się o naszą niepodległość i nie pozwoli Rosjanom przesunąć swojej granicy aż do Łaby.

Ostatnia niedziela kwietnia 1945 r. Idę smutnymi ulicami zmaltretowanego wojną miasta. Wszędzie brudno, gdzieśgdzie stłuczone szyby zastępuje tektura, deski lub gazety. Przydomowe ogródki, pozbawione rozebranych na opał parkanów, straszą sterkami śmieci, potłuczonymi butelkami i słoikami. Ludzie szarzy i smutni, ubrani w mocno podniszczone płaszcze, idą wolno, stukając drewniakami. Na peronie EKD tłum ludzi z plecakami, workami i z różnymi bagażami. Nie było jeszcze prądu, więc wagony ciągnie mały parowóz, taka wyremontowana ciuchcia. Z trudem wcisnąłem się na pomost zatłoczonego wagonu. Pamiętam, jak się bałem, aby gdzieś nie pękło moje stare ubranie sprzed wojny, a mocno zużyte buty nie rozlaży się po drodze – aby to wszystko jakoś wytrzymało do Bydgoszczy. Mocno trzymałem równie starą, niewielką walizeczkę.

Jechałem do Warszawy, wiedząc dobrze o tym, że w Pruszkowie nie udałoby się mi wsiąść do przeładowanego pociągu do Łodzi. W coraz większym tłoku dojechałem do krańcowego przystanku, obok stosu gruzów przy ul. Szczęśliwickiej.

W pobliżu torów kolejowych przy ul. Towarowej stał duży drewniany barak, nazywany szumnie Dworcem Warszawa Główna. Od jakiegoś kolejarza dowiedziałem się, że do chwili podstawienia pociągu do Łodzi mam kilka godzin. W tym czasie nie

była ważna godzina odjazdu pociągu, lecz godzina podstawienia, gdyż wtedy doświadczeni podróżni próbowali zdobyć siedzące miejsce w pustych wagonach, które w ciągu kilku minut stawały się zatłoczone ponad wszelką miarę. Mając kilka godzin oczekiwania, wybrałem się na spacer wzdłuż Al. Jerozolimskich.

Mimo świątecznego dnia w pobliżu ruin Dworca Głównego kłębił się tłum handlarzy. Handlowano wszystkim, co tylko udało się ukraść lub znaleźć w odkopywanych piwnicach i w ocalałych mieszkaniach zniszczonego miasta. Ulicę Marszałkowską stanowił dość szeroki wąwóz, ciągnący się pomiędzy resztkami wypalonych domów, sterczącymi nad zwałami gruzu, cegieł i powyginanych, żelaznych konstrukcji.

Na przekór wszystkiemu miasto żyło. W prawie całkowicie wypalonej oficynie nie istniejącego domu ujrzałem oszklone okno, a w nim dwie doniczki kwitnących pelargonii. Przy resztkach sąsiedniej bramy, na kawałku deski, widniał napis „Kawiarnia Warszawska – Marszałkowska 77”. Na uprzątniętym z gruzów podwórku zaradna stara kobieta ustawiła żelazną kuchenkę, tzw. kozę, i podgrzewała na niej dwa czajniki z wodą. Obok stał prymitywny stół, przykryty papierem. Na ławkach z nieheblowanych desek siedziało kilku mężczyzn, którzy pili herbatę z blaszanych kubków. Zapamiętałem to nie kończące się morze ruin i tę małą herbaciarnię, a także zapach tak charakterystyczny dla pierwszej wiosny zrujnowanej Warszawy. Był to zapach rozdrobnionej zaprawy murarskiej, zmieszany z zapachem dymu pochodzącego z prymitywnych piecyków, z domieszką mdłego zaduchu ciał rozkładających się pod gruzami rozwalonych domów oraz gnijących szmat, zmurszałej makulatury i starej spalenizny. Ta szczegółna mieszanina zapachów zniszczonej stolicy pozostała mi w pamięci na zawsze.

Gdy wróciłem na ul. Towarową, przed barakiem Dworca Głównego falował tłum ludzi czekających na podstawienie

pociągu do Łodzi, gdyż tylko w tym kierunku odjeżdżały z tego dworca pociągi (linia kolejowa z Warszawy przez Kutno do Poznania, z poszerzonymi torami, służyła tylko Armii Czerwonej). Ustawilem się na peronie tak szczęśliwie, że drzwi przedziału znalazły się tuż przede mną, dzięki czemu wskoczyłem pierwszy i zająłem miejsce siedzące przy oknie. Po godzinie pociąg ruszył.

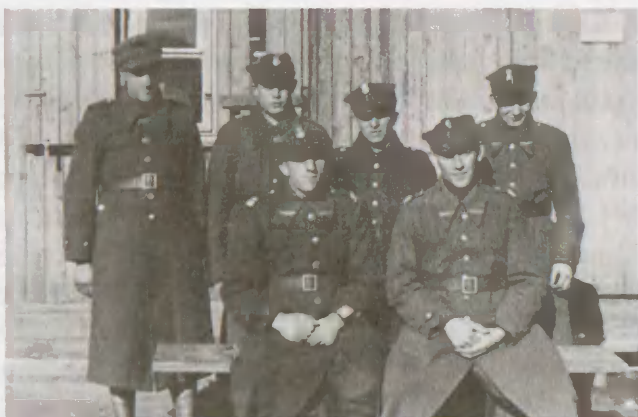
W Łodzi, poinformowany dokładnie przez współpasażerów, pojechałem tramwajem na Dworzec Kaliski. Miasto nie było zniszczone, na ulicach paliły się latarnie, w oknach widać było światła. Dopiero o godz. 22.00 miasto zamierało i zasłanianie okna. Musiałem nocować na dworcu, gdyż pociąg do Bydgoszczy odjeżdżał przed południem.

Do Bydgoszczy dotarłem w poniedziałek pod wieczór. Pociągi jeździły wolno, gdyż tabor kolejowy był przestarzały, nie remontowany, a parowozy tak stare i zużyte, że ani uciekający Niemcy, ani ścigający ich Rosjanie nie chcieli takich staroci rekwirować. Już na peronie dostrzegłem czujne oczy sowieckich wartowników. Żołnierze z pepeszami i z czerwonymi opaskami z napisem „K.P.” dokładnie przyglądali się przyjeżdżającym. Zatrzymywali tylko swoich. Nas zatrzymywali milicjanci, dopytując: kto? skąd? dokąd? Z dworcowych głośników płynęły rosyjskie i polskie komunikaty. Zaspany, znudzony głos czytał ostatnie wiadomości: „W Berlinie pada dzielnica po dzielnicy... Nad Łabą spotkali się żołnierze radzieccy i amerykańscy...”

Długo szukałem jakiegoś miejsca do odpoczynku. Ławki były zatłoczone, na podłodze pod ścianami rozsiadły się całe rodziny z tłumokami i zniszczonymi walizkami. Luźniej było w poczekalni dla wojskowych, ale tam wpuszczano tylko osoby w mundurach.

Ulokowałem się w szerokim korytarzu, na wyjętych z zawiasów drzwiach, opartych na kilku ceglach. O spaniu jednak nie można było marzyć, gdyż ciągle ktoś przechodził, potrącał, wy-

pytywał. Walizczkę trzymałem na kolanach, strzegąc jej pilnie, gdyż zawierała oprócz bielizny i przyrządów do mycia i golenia także dwie litrowe butelki samogonu oraz dwie puszki niemieckiej wieprzowej konserwy, tytoń w stugramowych paczkach, bibułki do robienia papierosów i kilkanaście paczek dobrze podrobionych, wyprodukowanych w Pruszkowie, amerykańskich papierosów „Chesterfield”. Był to prawdziwy skarb w tamtych trudnych latach, najlepiej wymienialna waluta.



Mój „Pluton chemiczny” 47 pp w Fordonie.
Siedzą od lewej: plut. Jestat, plut. Jan Sauerman.
Zdjęcie zrobiłem podczas przygotowań
do przeprowadzki w Świeciu nad Wisłą.

Rano przemyłem oczy pod hydrantem i ruszyłem na poszukiwanie mojej macierzystej jednostki. Odnalazłem ją w dużej lokatorskiej kamienicy, zajętej teraz przez dowództwo 14 DP. W dostępnej dla wszystkich łazience umyłem się, ogoliłem i doprowadziłem do porządku. Pamiętając o przedwojennych naukach, dopiero po tych czynnościach złożyłem kartę powołania u oficera służbowego. Dowiedziałem się, że jestem przydzielony

do pułku kwaterującego w pobliskim Fordonie, gdzie mam objąć stanowisko dowódcy plutonu chemicznego. Przed obiadem dojechałem tam dywizyjną ciężarówką, którą dostarczano zaopatrzenie do mojego pułku. Przy okazji zabrało się kilku zmobilizowanych oficerów. Moi towarzysze przyjechali z Łodzi. Byli ubrani podobnie jak ja, w najgorsze ubrania piątego roku wojny, aby wyrzucić je po otrzymaniu munduru.

Fordon leży na przedłużeniu szosy bydgoskiej. Główna ulica stanowi w zasadzie całe miasto. Mijamy po drodze fabrykę papieru z ogromną stertą makulatury na dziedzińcu, fabrykę papy dachowej i jakieś inne małe zakłady. Jest posterunek MO, kino, restauracja i kilka sklepów. Ta dość szeroka ulica kończyła się rynkiem, przy którym w piętrowym domu urzędowała radziecka komenda miasta, o czym informował nowo wymalowany dwujęzyczny szyld. Przed domem chodził uzbrojony w pepeszę wartownik. Po drugiej stronie rynku stał piętrowy dom z dużą restauracją, w której trzy razy dziennie stołowała się część kadry oficerskiej naszego pułku. W pobliżu, przy jednej z ulic odchodzących od rynku, za wysokim parkanem z cegły, zwieńczonym drutem kolczastym, znajdowały się budynki więzienne. Przed wojną było to najsłynniejsze w Polsce więzienie dla kobiet. Teraz osadzono w nim jeńców wojennych i volksdeutsche.

Przy innej uliczce, na wprost kościoła ewangelickiego z widoczną z daleka wysoką wieżą, znajdowała się plebania. Tu mieściło się dowództwo 47 pp, do którego zostałem przydzielony. Był to budynek z czerwonej prasowanej cegły, z betonowymi schodami, prowadzącymi na wysoki parter. Przy wejściu od ulicy, przy schodach, stał wartownik uzbrojony w pepeszę. Nasz samochód zatrzymał się obok schodów. Kierowca – plutonowy, trzymając w ręku dużą kopertę, zapraszał: „Obywatele oficerowie! Proszę za mną do kancelarii!”

W pokoju, z okien którego roztaczał się widok na sad i wiklinowe łozy nad Wisłą, wstał zza stołu wysoki, dobrze zbudowany, rudy jak zupa pomidorowa radziecki major. Podzwaniając medalami przywitał się z plutonowym, odebrał kopertę i z przyjaznym uśmiechem podawał nam rękę, usiłując mówić po polsku: „Nu! Da! Charaszo! Zapraszam na obiad do kasyna. Nada pokuszat’! Kwatermistrz przydzieli wam kwatery, a zawtra połuczycie uniformy i oruże!” Major witając się przetrzymywał nasze ręce i patrzył pytająco w oczy. Gdy w podobny sposób przywitał się z nami dowódca pułku, pomyślałem, że może jest to jakaś radziecka metoda duchowego „podbijania” człowieka, podporządkowania go sobie.

W kasynie siadamy przy jednym stole. Ktoś mówi: „Ten pierwszy, Ruski, nie był taki groźny, jak mówiono”. Nikt nie odpowiedział. Pomyślałem, czy to tylko stwierdzenie, czy prowokacja? Byliśmy wtedy wszyscy chorobliwie uczuleni i ostrożni – ostrzegano nas przed sowieckimi metodami rozpoznawania ludzi. Ten mój pierwszy oficerski obiad składał się z talerza krupniku i porcji gulaszu z ziemniakami. Zamówiliśmy dodatkowo po „sto gram”. Płacąc przy bufecie pękatemu restauratorowi za wódkę, zapytałem o możliwość wynajęcia pokoju, wyjaśniając, że wkrótce przyjedzie do mnie żona. Chciałem mieszkać oddzielnie. Restaurator popatrzył na mnie i na moją ubogą walizeczkę, zapytał skąd pochodzę i czym się w cywilu zajmuję. Obejrzał fotografię Hani, chwilę się zastanawiał, po czym skierował mnie do nauczycielki, która nad restauracją zajmowała dwa pokoje. Obok, w podobnym lokalu kwaterował radziecki pułkownik, komendant miasta. Pani Stefaniak, starsza wiekiem kierowniczka szkoły powszechnej, przeprowadziła ze mną szczegółowy wywiad, obejrzała fotografię, a jej niezdecydowanie

przełamałem deklarując 200 zł miesięcznie jako komorne, co na pewno było dla niej kwotą dość znaczną.

Jeszcze nie zdążyłem się rozpakować w skromnym, lecz schludnym pomieszczeniu, gdy goniec z dowództwa pułku przybiegł z wezwaniem, abym zgłosił się do magazynu po umundurowanie. Kompletny zestaw sortów mundurowych zawinąłem w dwa koce i przytaszczyłem do kwatery. Nareszcie po dwóch nie przespanych nocach w podróży, porządnie się umyłem. Założyłem mundur, męcząc się z owijaczami, i o godz. 18 poszedłem do kasyna na kolację. Przy drzwiach zdjąłem połowę czapkę, podobną do przedwojennej, i starałem się jak najmocniej stuknąć obcasami. Po talerzu krupniku, kawie zbożowej i chlebie z kiełbasą wychodziłem z kasyna głodny, więc w pobliskim sklepie kupiłem bułkę paryską. Poszedłem do domu, marząc o odpoczynku. Aby nie zaspać, pożyczyłem od pani Stefaniak budzik.



Od lewej: por. lek. wet. Włodzimierz Siemiński,
ppor. Stanisław Wojdyga,
ppor. Henryk Krzyczkowski

Nie dane mi jednak było szybkie udanie się na spoczynek. Gdy, rozmawiając z panią Stefaniak, zasłaniałem okno, ktoś energicznie zastukał i zaraz nacisnął klamkę. Na progu stał nieznajomy porucznik, odpowiadający uśmiechem na moje zaskoczenie. Gospodyni dyskretnie się ulotniła. Porucznik powiesił czapkę na wieszaku i przedstawił się: „Rybiński jestem. Przechodziłem przez rynek – powiedział – i zobaczyłem, że światło się u was pali, to znaczy, że jeszcze nie śpicie i będę miał z kim pogadać! Czy macie coś do wypicia? Bo jeśli nie, to zaraz przyniosę z dołu, kasyno jeszcze otwarte!”

Przybysz był niewysoki, o dużych uszach, ciemnych, trochę rozbieganych oczach osadzonych w wąskiej twarzy. Prawdopodobnie był Żydem. Szybko uświadomiłem sobie, że zapewne mam przed sobą emisariusza moich przełożonych, których zaciekało, kim jest oficer, którego stać na luksus wynajmowania kwatery za taką sumę. Wyciągam z walizki litrową butelkę samogonu, puszkę niemieckiej konserwy i bułkę. Dwie szklaneczki, ustawione przez przewidującą gospodynię na etażerce, napełniam bimbrem. Wypijamy dość szybko. Jemy bułkę z niemiecką konserwą, w której było niewiele mięsa, a dużo smalcu i przysmażonej cebuli. Żartujemy, że Niemców dawno nie ma, a my zajadamy się ich konserwami. Robi się cieplej i jaśniej. Niespodziewanie gość zapytał, skąd pochodzę i czym się zajmuję. Przedstawiam się jako właściciel papierniczego przedsiębiorstwa w Pruszkowie, które przynosi spore zyski. Por. Rybiński nie pytał o szczegóły. Domyślam się, że i tak moje informacje sprawdzą swoimi kanałami.

Porucznik okazał się być wielkim gadułą. Gdy zaczynał mówić, to na nic nie zwracał uwagi. Opowiadał o Lwowie, skąd pochodził. Już po pierwszej szklance samogonu zaczął płakać. Od razu przechodzimy na ty. „Mów mi Józku. Ta nie rób hecy”. Wspomnienia rozczulają go. Widać kochał to miasto. Zaczyna podśpiewywać:

„W dzień deszczowy i ponury
szeregami lwowskie dzieci,
z Cytadeli idą z góry
idą tułać się po świecie...”

Później zaczyna i mnie namawiać do wspólnego śpiewania: „...gdybym miał kiedyś urodzić się znów, to tylko we Lwowie...” Odpowiadam, że nawet w podchorążówce miałem dyspensę od śpiewania, udzieloną mi przez sierżanta szefa Frania Modzelewskiego.

Przy kolejnych szklankach samogonu por. Rybiński opowiadał, że należał do AK i brał udział w różnych akcjach sabotażowych przeciwko Niemcom, a teraz – ponieważ niepotrzebnie się ujawnił – jest inwigilowany przez pułkową informację i stale szykanowany. Nie dałem się sprowokować. Gdy udało mi się nareszcie dojść do słowa, zacząłem mówić o konieczności ścisłej współpracy z Ruskimi, że tylko oni mogą nas obronić przed Niemcami, że sojusz radziecko-polski dał nam zwycięstwo, a w ogóle to ja się żadną polityką nie zajmuję.

Do godz. 3 wypiliśmy litr pruszkowskiego samogonu, zjedliśmy puszkę niemieckiej konserwy i bułkę. Położyłem się spać mocno pijany. Gdy budzik zadzwonił o godz. 7.00, wypłem najpierw kilka szklanek wody, po czym, na wpół przytomny, umyłem się i pomaszerowałem na śniadanie. W uszach mi szumiało, serce skakało jak szalone, męczyła zgaga. Z największym trudem przełknąłem śniadanie, po czym wraz z kolegami poszedłem do dowództwa pułku, mieszczącego się w dawnej plebanii kościoła ewangelickiego.

Do pokoju, w którym zgromadziło się kilkunastu oficerów w źle dopasowanych mundurach, wszedł mjr Piskunow, który przyjmował nas poprzedniego dnia. Z małej kartki z trudem odczytał moje nazwisko i zapytał, czy umiem dobrze pisać.

Gdy spytałem, jakie czcionki ma maszyna, zaskoczył mnie odpowiedzią: „To wy na maszynie tożę piszecie?” Polecił mi przejść do drugiego pokoju, w którym siedział bardzo zapracowany por. Rybiński. Na moje pytanie o samopoczucie, bąknął coś z niewyraźnym uśmiechem. Od tego dnia po kilka godzin dziennie pracowałem w charakterze pułkowej maszynistki. Dostałem maszynę do pisania „Adler”, stanowiącą niegdyś własność Wehrmachtu, o czym świadczył napis i nadruk orła ze swastyką w szponach.

W kilka dni po przybyciu do Fordonu wysłałem przez pocztę pułkową list do Hani. Jako nadawcę napisałem swoje nazwisko i adres poczty polowej: 65-013 chem. Prywatnego adresu nie podawałem, gdyż obowiązywała tajemnica wojskowa. Znacznie później dowiedziałem się, że wszystkie listy zabiera z kancelarii por. Rybiński i przegląda je w swojej kwaterze, przy pomocy dwóch podoficerów. Natomiast w listach wrzucanych do ulicznej skrzynki pocztowej podałem adres pani Stefaniak. Po kilku tygodniach stwierdziłem, że listy wysyłane przez pocztę polową docierały w ciągu 3-4 dni, a wysyłane na prywatny adres, kontrolowane przez cenzurę (o czym świadczył stempel), otrzymywałem po dwóch tygodniach.

Stopniowo przybywało oficerów, później zaczęli przyjeżdżać podoficerowie, w większości pochodzący (podobnie jak oficerowie) z okolic Łodzi, tylko niewielu przyjechało ze Śląska. Po kilku dniach pojawili się wystraszeni szeregowcy. Kwatery mieli przygotowane w różnych budynkach, w dużych domach, z których wysiedlono mieszkańców, oraz w nieczynnych zakładach przemysłowych. Na ogół oficerowie byli zakwaterowani wraz ze swymi oddziałami i tam też jadali. W naszym „kasynie” stołowali się tylko oficerowie ze sztabu pułku i dowódcy plutonów specjalnych. Razem oficerów w pułku miało być ponad stu, a w kasynie stołowało się 30-40.

Poczuliśmy się prawdziwymi żołnierzami, gdy przydzielono nam pistolety TT.

Zadomowiłem się w pułkowej kancelarii. W jednym pokoju urzędował dowódca pułku płk Nowicki, nie umiejący ani słowa po polsku, choć mówił, że pochodzi z polskiej rodziny. W tym samym pokoju ustawiono stół dla zastępcy dowódcy ppłk. Werszyhory. Ten jednak rzadko tu przebywał, a w Fordonie zasłynał ze spacerów bez czapki, ale za to z damską kolorową parasolką, z którą paradował po ulicach bez względu na pogodę, oglądając wystawy sklepowe. Jeśli nie spacerował, to w ładną pogodę siedział nad Wisłą, godzinami przypatrując się rzece i rybakom. W drugim pokoju urzędował szef sztabu pułku mjr gw. Piskunow, a obok jego zastępcą i prawa ręka – por. Rybiński. Pod ścianą stały dwie duże szafy pancerne, przeznaczone na dokumenty pułkowe. Klucze do nich mieli Nowicki i Piskunow. Trzeci pokój zajmował oficer służbowy i tu właśnie tkwiłem ja nad maszyną do pisania. Wystukując rozkazy, musiałem każdy z nich uzgadniać z płk. Nowickim i mjr. Piskunowem.

W pokoju, w którym pisałem na maszynie, stały dwa telefony starego typu, z korbką. Podobnych używaliśmy w przedwojennej armii polskiej. Z jednego z nich, za pośrednictwem centrali pułkowej, można było połączyć się z dywizją, z niektórymi naszymi pododdziałami oraz z kwaterami płk. Nowickiego i mjr. Piskunowa. Natomiast żadnemu Polakowi nie wolno było podnieść słuchawki drugiego telefonu, lecz należało natychmiast zawiadomić jakiegoś oficera radzieckiego. Różnie to komentowaliśmy, nie słyszałem jednak, aby któryś Polak podniósł zakazaną słuchawkę. Ten aparat zresztą dzwonił bardzo rzadko.

Dzięki kilkugodzinnemu każdego dnia pobytowi w kancelarii dobrze poznałem mechanizmy dowodzenia pułkiem

– oczywiście w tej części, do której dopuszczani byli oficerowie polscy. Większość decyzji podejmowano na odprawach, w których brali udział oficerowie radzieccy, a z Polaków nie zawsze obecni byli nawet dwaj najbardziej zaufani: por. Czesław Waryszak i por. Rybiński.

Codziennie o godz. 18.00 odbywała się zmiana warty, a raczej przejmowanie służby przez nowy zespół, złożony z oficera, podoficera i pięciu szeregowców. Gdy zobaczyłem plan etatów tworzonego pułku, zwróciłem uwagę na wielką ilość artylerii. Siła ognia powojennego pułku piechoty była bez porównania większa niż w naszym pułku przedwojennym. Obecnie nasz pułk piechoty miał artylerię przeciwlotniczą (37 i 85 mm), artylerię przeciwpancerną (45, 57 i 76 mm), rusznice przeciwpancerne, moździerze, haubice i armaty, a zamiast nielicznych erkaemów („Browning”) mieliśmy bardzo dużo pistoletów maszynowych, popularnych pepesz. Niekiedy rozmawialiśmy z przedwojennymi oficerami, uczestnikami kampanii wrześniowej, o tym, że inaczej wyglądałyby nasze walki, gdybyśmy mieli taką artylerię wraz z odpowiednią ilością amunicji.

Po przybyciu do Fordonu wszystkich zmobilizowanych do naszego pułku żołnierzy odbyła się zbiórka i nastąpił podział na pododdziały, kompanie strzeleckie i plutony specjalne. Jako jeden z pierwszych wybierałem ludzi do mojego plutonu, który etatowo liczył dwóch podoficerów i czterech szeregowców. Wybrani przeze mnie podoficerowie byli wysokimi blondynami, o pogodnym spojrzeniu: Jan Sauermann, górnik z pogotowia ratunkowego ze Śląska, oraz Jan Jestat, kierowca z Gródka Jagiellońskiego, mieszkający obecnie w pobliskiej Chełmży, gdzie jego brat był proboszczem. Wspólnie wyszukaliśmy czterech szeregowców. Kwatermistrz przydzielił mi obszerny lokal po dawnym ośrodku zdrowia. Największą izbę przeznaczyłem na magazyn, najmniejszą na kancelarię,

a dwie pozostałe na sypialnie dla podoficerów i szeregowców. W porównaniu z innymi pododdziałami nasze pomieszczenia były luksusową kwaterą, gdyż mieliśmy na miejscu umywalnię i ubikację. W magazynie przechowywałem maski przeciwgazowe i narzutki ochronne przeciwiperytowe dla całego pułku oraz pewną liczbę aparatów rozpoznania chemicznego i kilka plecaków z przyrządami do odkażania. To wszystko pobrałem z dywizyjnego magazynu.

Uposażenie oficerskie nie było wysokie. Jako dowódca plutonu otrzymywałem 500 zł, dodatek funkcyjny wynosił 250 zł, a dodatek rodzinny – 375 zł. Razem 1125 zł. Mimo to wielu chciało pozostać w wojsku, licząc na dobre warunki w przyszłości. Od jesieni kręcił się koło mnie jeden podporucznik, starając się przejąć po mnie pluton. Dopiął swego koło Nowego Roku, kiedy to zdecydowałem się przejść do cywila.

Od dawna zdawałem sobie sprawę z tego, jak wielką rolę w życiu wojskowym odgrywają podoficerowie zawodowi, związani na stałe z pułkiem. Na nich opierało się gospodarczo-socjalne życie pułku. Oni byli magazynierami, troszczyli się o państwowe dobro, oni zajmowali się wychowaniem poborowych i zrobieniem z nich prawdziwych żołnierzy, dbali o porządek w koszarach, o właściwe wykonywanie rozkazów, uczyli szacunku dla własności państwowej, wyławiali usterki i braki, poprawiali błędy. Tak było przed wojną. Natomiast w moim powojennym pułku widać było od początku, że brakuje dobrze wyszkolonej kadry podoficerskiej. Na szczęście dość szybko okazało się, że wielu obecnych podporuczników było przed wojną zawodowymi sierżantami i to właśnie oni przejmowali funkcje sprawowane niegdyś przez zawodowych podoficerów. Zajmowali się magazynami mundurowymi, magazynami broni, prowadzili naukę musztry i strzelania, kontrolowali porządki na kwaterach. Natomiast przybywający

w ramach mobilizacji podoficerowie nie spełniali oczekiwania położonych. Większość z nich była przed wojną podoficerami rezerwy, a nie każdy rezerwista nadawał się na podoficera zawodowego.

Wyjątkowo moi podoficerowie byli nadzwyczaj pracowici, solidni, wykazali się zamiłowaniem do porządku i dużym zmysłem organizacyjnym. Nawiązali dobre kontakty z sąsiadami i przy ich pomocy wyszukali w pobliskich mieszkaniach ponemieckie metalowe łóżka, szafy, stoły i krzesła. Pochodziły one z ośrodka zdrowia, w którym pod koniec okupacji Niemcy zorganizowali mały szpitalik, a po ich ucieczce sąsiedzi szybko „zaopiekowali się” wyposażeniem. Moi żołnierze po kilku dniach mycia i szorowania doprowadzili naszą siedzibę do wzorowego porządku – tak, że kiedyś, podczas porannej odprawy oficerów, płk Nowicki poradził dowódcom pododdziałów, aby odwiedzili mój pluton i zobaczyli, jak powinno wyglądać miejsce zakwaterowania. Dla wielu taka pośrednia nagana była krzywdząca, gdyż ja miałem duże pomieszczenie i mało ludzi, a inni otrzymali niewielkie mieszkania i to bez wyposażenia. Wzorowy porządek panował również w moim magazynie, a powierzony mi majątek był należycie strzeżony. Było to bardzo istotne, gdyż okazji do kradzieży było dużo. Np. narzutki ochronne mogły być płaszczami przeciwdeszczowymi, których w tamtym okresie nie było w sprzedaży. Z mojego magazynu nic nie zginęło, wszystko w komplecie przekazałem swemu następcy, który szykował się do służby zawodowej.

Metoda moja była prosta: wymagać i nagradzać. Kilka razy przeprowadzałem wyrównowy spis kontrolny, a w nagrodę za dobrą służbę udzielałem podwładnym urlopów. Pilnowałem, aby każdy dzień żołnierza był wypełniony zajęciami: musztra, czyszczenie broni, wykłady, pogadanki, porządkowanie

rejonu. W kwaterze zawsze ktoś miał służbę i meldował się przepisowo oficerowi inspekcyjnemu.

Tak byliśmy zajęci sprawami umundurowania i zakwaterowania żołnierzy, że zapomnieliśmy o rocznicy Konstytucji 3 maja. W Bydgoszczy dzień ten obchodzono bardzo uroczystie, łącząc je ze świętowaniem z okazji zdobycia Berlina. Gdy dotarła do mnie wiadomość o śmierci Hitlera, zareagowałem na nią tak, jak gdyby to już nie było ważne. Dopiero wieczorem, gdy odpoczywałem w domu, zdałem sobie sprawę z wagi tego wydarzenia. Przed oczyma przesunęły mi się obrazy z dnia wybuchu wojny i z kampanii wrześniowej. Któregoś dnia, podczas spaceru nad Wisłą, jeden z oficerów powiedział: „Pierwszy oprawca naszego narodu jest już unicestwiony, ale kiedy zginie ten drugi, jeszcze bardziej okrutny?” Było nas kilku, sami „sanacyjni oficerowie” – jak z gorzką ironią mówiliśmy o sobie, ale żaden nie zareagował na te słowa, żaden nie podjął tematu. Nie ufaliśmy sobie.

W kilka dni po kapitulacji Niemiec dowiedzieliśmy się o zniesieniu zaciemniania i przesunięciu godziny policyjnej; obowiązywała teraz od 24.00 do 5.00. Po raz pierwszy od wielu lat nie musiałem zasłaniać okna. Mogłem patrzeć na oświetlone okna w sąsiednich domach. To było coś nadzwyczajnego. Nawet temu zwykłemu faktowi zawdzięczałem znowu falę wspomnień. Przez wiele godzin myślałem o zmarnowanych latach i o tych bliskich, którzy wojny nie przeżyli.

Po sformowaniu pułku rozpoczęło się zwykle żołnierskie szkolenie: musztra, nauka o broni, szkoła strzelca, służba wewnętrzna itd. Również i ja otrzymałem z dywizji plan pogadanek z zakresu chemicznych środków bojowych oraz obrony przeciwichemicznej. Okres rekrucki trwał znacznie krócej niż w wojsku przedwojennym.

Stosunki pomiędzy żołnierzami z mojego plutonu a ludnością cywilną układały się bardzo dobrze. W sąsiedztwie miesz-

kały przeważnie rodziny bez mężów czy ojców, którzy zostali wywiezieni do sowieckich obozów pracy. Wszyscy mężczyźni, którzy podczas wojny podpisali jedną z niemieckich list narodowościowych (a niepodpisanie groziło zesłaniem do obozu koncentracyjnego), zostali przez władze sowieckie aresztowani i zesłani do obozów pracy przymusowej. Dopiero po wielu tygodniach wydano rozporządzenie o rehabilitacji. Jeśli jakiś odważny mężczyzna – eingedeutsche grupy III lub IV – dobrze poprzednio się ukrył, to mógł teraz złożyć podanie o uznanie go za obywatela polskiego.

Bardzo istotnym i trudnym problemem w początkowym okresie funkcjonowania pułku stała się sprawa wyżywienia żołnierzy. Dowódcy pododdziałów musieli we własnym zakresie przygotowywać posiłki. Postarałem się o duży garnek do gotowania i przyrządzaliśmy wszystkie posiłki w naszej kwaterze. Pomagała nam sąsiadka, która przy okazji wyżywiła siebie i dwoje swoich dzieci. Suchy prowiant pobieraliśmy w kwatermistrzostwie pułku. Na dwa dni otrzymywałem 6 kg dobrego chleba, 6 dużych solonych śledzi z beczki, 1 kg pęczaku, trochę soli, 30 g herbaty i tytoń – 12 dużych, żółtych liści, lekko wilgotnych, aby się nie połamały. Kto miał bibułę, palił w bibułce, a kto nie miał – skręcał papierosa w papier lub w gazetę. Kaszę nosiliśmy w czapkach żołnierzy, sól i herbatę w papierze. Węgla użyczał nam zaprzyjaźniony sierżant z kwaterującej w sąsiedztwie radzieckiej jednostki artylerii przeciwlotniczej.

Po kilku tygodniach zaopatrzenie znacznie się poprawiło. Otrzymywaliśmy słoninę i olej, a czasami nawet trochę mięsa. W ziemniaki zaopatrywaliśmy się sami, przebiegając je w piwnicy plebanii, zaopatrzonej na jesieni przez pastora.

Początkowo, przez kilka tygodni, „wspomagała” nas kwaterująca w Brdujściu jednostka radziecka, która uprawiała

połowę ryb za pomocą min lub granatów. Każda eksplozja ogłuszała dziesiątki ryb, wśród których były nawet węgorze i łososie. Tylko część wyławiali żołnierze radzieccy, reszta spływała Wisłą w naszym kierunku. Gdy usłyszeliśmy wybuch miny, jeden z moich pod oficerów pożyczał łódź od zaprzyjaźnionego rybaka i wypływał na środek Wisły, czekając na ogłuszone ryby. Przez kilka następnych dni była zupa rybna, a nierzadko też wędzone węgorze, a nawet łososie.

Gdy zlikwidowano takie barbarzyńskie kłusownictwo, dodatkową żywność przywozili moi żołnierze, pochodzący z pobliskich wiosek. Wysyłani na tygodniowy urlop, aby pomagać rodzicom w pracach polowych, przywozili a to woreczek kaszy lub mąki, a to kawał słoniny lub boczku. Czasami pluton zjadał rosół z kury, a raz częstowano mnie bigosem z kawałkami kielbasy. Najczęstszym jednak posiłkiem w moim plutonie była zupa z kawałkiem chleba, wydawana trzy razy dziennie. Na pewno nie było to nadzwyczajne wyżywienie, ale moi żołnierze nigdy nie chodzili głodni. Dopiero po przeprowadzce do Świecia żołnierze otrzymywali normalne wyżywienie – trzy razy dziennie posiłki z pułkowej kuchni. Wtedy też co tydzień korzystali z łaźni i zmiany bielizny, na miejscu były warsztaty szewski i krawiecki. To już było prawdziwe wojsko.

Od początku, nie z naszej winy, ujawniły się wśród oficerów sztuczne podziały. Na oficerskich odprawach osobno siadali ci z przedwojennej armii i ci, którzy rozpoczynali służbę wojskową w ludowym Wojsku Polskim. „Oficerowie przedwojenni” lub „oficerowie sanacyjni” (jak niekiedy nas nazywano) byli to porucznicy i podporucznicy rezerwy z przedwojennych nominacji. Oficerów zawodowych wśród nas nie było. Jako „oficerów przedwojennych” traktowano również podchorążych – absolwentów przedwojennych szkół i kursów podchorążych, którzy ostatnio zostali zweryfikowani jako podporucznicy,

a także podoficerów zawodowych, chorążych, starszych sierżantów i sierżantów mianowanych podporucznikami.

Nasza grupa „przedwojennych” stanowiła około 30% korpusu oficerskiego pułku. Na odprawach siadaliśmy razem. Zawsze mieliśmy wspólne tematy rozmów. Wspominaliśmy przedwojenne pułki, garnizony, dowódców, generalicję, dawne tradycje wojskowe i zwyczaje. Porównywaliśmy stosunki w dawnej armii z tym, co widzieliśmy wokół siebie. Nikt głośno nie krytykował – byliśmy ostrożni, wystarczał ironiczny uśmiech lub kiwnięcie głową i już się rozumieliśmy.

Większość kadry oficerskiej naszego pułku stanowili absolwenci szkół podchorążych ludowego WP. Szybko można było stwierdzić, że wielu z nich miało tylko „chęć szczerą”, a do matury mieli bardzo daleką drogę. Wszyscy stronili od nas w sposób rzucający się w oczy. Na ogół byli słabo wyszkoleni. Na skutek tego często byli ośmieszani przez swych podkomendnych – podoficerów rezerwy z przedwojennej armii, na ogół górujących nad nimi opanowaniem rzemiosła wojennego. Rodziło to konflikty, tym bardziej przykre, że pomiędzy absolwentami powojennych podchorążówek byli także bardzo dobrzy dowódcy, urodzeni wojskowi.

W połowie maja, w niedzielę, gdy bez zwykłego pośpiechu szykowałem się do wyjścia na śniadanie, przyjechał mój brat. Zjawił się niespodziewanie, by mnie ostrzec. Otóż przed kilkoma dniami wypytywało o mnie dwóch nieznajomych mężczyzn. Byli u mamy i u żony. Bezceremonialnie chodzili po mieszkaniu i demonstracyjnie zaglądali do szaf. Nie przedstawili się, nie pokazali żadnej legitymacji. Z mojego listu zapisał numer poczty polowej. Na prośbę wystraszonych kobiet Jurek w najbliższy piątek wieczorem wyruszył do mnie. Przez Łódź i Bydgoszcz dotarł do Fordonu w niedzielę rano. Zastanawialiśmy się, co miała oznaczać wizyta dwóch nieznajomych.

Jurek uważał, że sam powinienem zdecydować o przyszłości: zostać na miejscu, czy wyjechać gdzieś na Ziemię Zachodnie. Twierdził, że ostatnio nie aresztowano nikogo z moich znajomych. Szybko decyduję się pozostać w pułku. Nie będę uciekał! Od przeznaczenia na pewno nie ucieknę! Narodził się jednak dodatkowy problem. Jak wytłumaczyć wizytę brata? Postanowiliśmy, że pójdzie razem ze mną na śniadanie, przedstawię go moim towarzyszom broni, opowiadając, że był w Bydgoszczy u swojego przedwojennego profesora z politechniki. Po obiedzie i krótkim spacerze nad Wisłą, odwożę go do Bydgoszczy. Emocje powoli opadają. Zdenerwowanie mija.

Od rana do wieczora dzień mam wypełniony służbowymi obowiązkami. Wydaje mi się, że wykonuję je należycie. Czuwam nad musztrą, szkoleniem strzeleckim, nauką regulaminów i ćwiczeniami z zakresu obrony przeciwchemicznej. Ponadto dwa razy w tygodniu muszę wygłaszać pogadanki polityczno-wychowawcze, posługując się przekazanymi przez por. Rybińskiego broszurami. Przełożone z języka rosyjskiego, zawierały dość prymitywne opowieści związane z obronnością kraju i działalnością tzw. wrogów ludu. Jedna z tych historyjek opowiadała o ćwiczeniach kompanii strzeleckiej Armii Czerwonej gdzieś w głębi Rosji. Żołnierze przechodzili w szyku bojowym obok dużej wioski, szykując się do natarcia na skraj pobliskiego lasu, gdzie okopał się „nieprzyjaciel”. Jeden z żołnierzy zwrócił uwagę dowódcy na chałupę, z komina której nie leci dym. Dlaczego nie pali się w piecu, skoro na dworze jest silny mróz, a na podwórku kręci się gospodarz? Dowódca kompanii wyznacza patrol w celu skontrolowania podejrzanych zabudowań. Żołnierze przetrząsnęli stodołę i stajnię, zajrzeli we wszystkie zakamarki w chałupie i dopiero w wystudzonym piecu znaleźli ukrytego szpiega-sabotażystę, nasłanego przez wrogich imperialistów. Morałem tej opowieści miała

być konieczność stałej czujności, gdyż wróg czai się wszędzie. Podobne historie musiałem opowiadać swoim żołnierzom, wybierając tematy z otrzymanych broszur. Nie reagowałem na uśmiechy i żarty żołnierzy i podoficerów, nie dodawałem żadnych komentarzy, ponieważ wiedziałem, że młodszy lejt-nant z pułkowej rozвідki chwalił się po pijanemu w kasynie, że już we wszystkich pododdziałach ma swoich ludzi.

Po kilku tygodniach do pułku przybyła grupa oficerów polityczno-wychowawczych – absolwentów specjalnej szkoły podchorążych. Od razu zajęli się kształceniem politycznym zarówno żołnierzy, jak i oficerów – ściąganych w komplecie na specjalne zajęcia szkoleniowe. Musiałem wysłuchać kilku takich wykładów. Z dostarczonych podręczników odczyta-no nam, że: „nowe Wojsko Polskie stało się wspólną sprawą robotników, chłopów oraz inteligencji pracującej. Powstało z połączenia utworzonej u boku Armii Czerwonej zwycięskiej 1 armii Wojska Polskiego z bohaterską i legendarną Armią Ludową. Żołnierz tego wojska, który wywalczył nam nie-podległość i krwią scementował sojusz z Armią Czerwoną, teraz musi stać na straży zdobyczy demokratycznego państwa, musi zwalczać wroga nie tylko zewnętrznego, ale i reakcję we-wnętrzną, bowiem faszystowsko-sanacyjna grupa AK i NSZ, czerpiąca natchnienie z Berlina, próbuje jeszcze raz wskrze-sić w Polsce rządy przedwrześniowe, rządy reakcji, która do-prowadziła nasz kraj do wrześniowej klęski. AK miała dwa oblicza. Jedno – to nienawiść do okupanta i walka za Polskę, a drugie to nienawiść do komunizmu tak wielka, że szukano kontaktów z gestapo, aby współpracować w likwidacji polskich komunistów”.

Przez cały czas pobytu w Fordonie sąsiadowaliśmy z gar-nizonem radzieckim. Oddział ten liczył kilkuset żołnierzy i miał kilkanaście dział przeciwlotniczych, których sterzące

w górę lufy widać było z daleka. Nasze kontakty z żołnierzami radzieckimi były nieliczne. Moi żołnierze zaprzyjaźnili się z radzieckim sierżantem, który często przychodził wieczorami, aby słuchać radia i zalecać się do sąsiadki, pomagającej nam w gotowaniu obiadów. Może dlatego przynosił węgiel do palenia w kuchni. W pobliżu budynku, w którym kwaterował mój pluton, była radziecka kuchnia polowa i mały szpitalik prowadzony przez lekarza – Gruzina, udzielającego porad polskim sąsiadom, gdy jeszcze nie było w Fordonie polskiego lekarza.

Zdarzały się też konflikty. Jednemu z naszych oficerów, gdy zbyt późno wracał do oddziału, radzieccy żołnierze, przystawiając pepeszę do pleców, zabrali służbowy pistolet „TT”, co stało się przyczyną skomplikowanego dochodzenia. Takie napady zaczęły się powtarzać na jesieni, tuż przed naszą przeprowadzką do Świecia. We wrześniu trzej przyjezdni żołnierze radzieccy, nie chcąc płacić za zjedzony obiad i wypitą wódkę w kasynie-restauracji, zabrali do samochodu upominającego się o zapłatę restauratora. Chcieli wywieźć go do Bydgoszczy, twierdząc, że namawiał ich do sprzedania broni. Zakończyło się to wielką awanturą, połączoną ze strzelaniną w powietrze.

Żołnierze radzieccy dozorowali przeprawę na Wiśle. Pilnowali prowizorycznie odbudowanego mostu, dokonywali niezbędnych napraw, regulowali ruch pojazdów. Większość tych żołnierzy mieszkała w ziemiankach, zbudowanych solidnie z belek i z desek. Były tam duże izby, magazyny, sypialnie i przestronne korytarze. Natomiast kilka budynków i dość obszerny teren zajęto na miejsce postoju jednostek radzieckich wracających z Niemiec do Związku Radzieckiego. Był to dość prymitywny punkt etapowy. Co kilka dni przejeżdżała przez Wisłę długa kolumna samochodów ciężarowych, oklejonych portretami Stalina i transparentami sławiącymi niezwykłą Armię Czerwoną.

W Fordonie były niegdyś dwa mosty – kołowy i kolejowy. Oba zostały zniszczone podczas działań wojennych, podobnie jak i najbliższe mosty w Toruniu i w Chełmnie. Prawdopodobnie niemieccy saperzy pracowali w wielkim pośpiechu i dlatego wykonali to niedokładnie: filary ocalały, a tylko środkowe przęsła opadły na dno Wisły. Dzięki temu udało się dość szybko odbudować most drogowy. Z drewnianych belek i desek wzniesiono brakujące przęsła, opierając je na filarach i na zanurzonych w wodzie dawnych konstrukcjach stalowych. Pojazdy musiały pokonywać kilka wzniesień, których nachylenie wynosiło około 20°, konieczne były dobre hamulce. Utrzymywano ruch jednokierunkowy, posterunki wojskowe na obu krańcach mostu uzgadniały telefonicznie każdą w nim zmianę. Most przystrojono czerwonymi flagami i wielkimi transparentami z różnymi hasłami. W wielu miejscach umieszczono duże, zdobione zielenią portrety Stalina.

Nasze kontakty z radzieckimi żołnierzami z Fordonu były rzadkie, tak ze względu na barierę językową, jak i z braku chęci z obu stron do nawiązywania bliższych znajomości. Z oficerami radzieckimi przydzielonymi do naszego pułku spotykaliśmy się wyłącznie w dowództwie lub w kasynie. Było ich około 20-25. Nie słyszałem o żadnych wizytach domowych, nie było wspólnego popijania lub spacerów nad Wisłą. Wydaje mi się, że bliższe kontakty oficerów radzieckich z Polakami były źle widziane przez radzieckie dowództwo. Ja byłem dwa razy w Bydgoszczy z płk. Nowickim i mjr. Piskunowem, aby pomagać im w zakupach bielizny, swetrów i kolorowych chustek dla pozostawionych w Rosji żon. Z kilkoma innymi jeździłem do Bydgoszczy na filmy i do cukierni. Oni dysponowali służbowymi samochodami, a ja płaciłem za kino, ciastka i lody. Z oficerami radzieckimi nigdy nie piłem wódki. Później okazało się, że za to właśnie mnie cenili.



Od lewej: dowódca 47 pp płk Nowicki, Szef Sztabu pułku mjr Piskunow, por. Czesław Waryszak i por. Michalski, dowódca jednej z baterii (przysłany z Armii Radzieckiej; po wojnie, ukrywając się, pozostał w Polsce)

Niektórzy oficerowie radzieccy ciekawi byli wielu polskich spraw: szkolnictwa, służby zdrowia, służby wojskowej, warunków pracy w fabrykach itp. Nie wierzyli w nasz przedwojenny system emerytalny i w zapłaty za okres choroby. Uważali to za chwyt propagandowy, za próbę wybielania przedwojennej Polski. Wszystkie nasze rozmowy o czasach przedwrześniowych kończyły się w chwili pojawienia się innego oficera radzieckiego.

Spośród oficerów radzieckich przydzielonych do naszego pułku bliżej poznałem dwóch artylerzystów. Obaj pochodzili z Ukrainy i dość dobrze znali język polski. Świadczyło to o pewnych powiązaniach z polskością. Kpt. Teodor Barabasz był dowódcą pułkowej artylerii, a Stefan Jarema dowódcą baterii artylerii przeciwlotniczej. To właśnie on woził mnie najczęściej do kina pułkowym samochodem, gdyż polscy żołnierze

nie mieli wtedy prawa prowadzenia samochodów osobowych bez specjalnego zezwolenia.

Po polsku dobrze mówił także por. Walewski, artylerzysta, ciągle uśmiechnięty. To właśnie on pierwszy, jeszcze przed Waryszakiem, kupił przedwojenny polski mundur oficerski i codziennie w nim paradował. Pochodził ze wschodniej Białorusi, aż zza Berezyny. Podobno był czystej krwi Polakiem. W kilka lat później przypadkowo spotkałem go na bazarze Różyckiego, na Pradze. Okazało się, że kończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim i ożenił się z poznaną jeszcze pod koniec 1944 r. córką właściciela budki z ubraniami na tym bazarze. Znacznie później dowiedziałem się od Stacha Wojdygi, który mieszkał na Pradze, że por. Walewski zdezerterował, gdy otrzymał rozkaz powrotu do ZSRR. Dowiedziałem się też, że oficerowie radzieccy powracający do ZSRR po zakończeniu służby w polskim wojsku byli na granicy dokładnie rewidowani, otrzymywali znacznie gorsze umundurowanie i nic ze sobą nie mogli przez granicę przewieźć.

Spośród przydzielonych do nas z Armii Czerwonej oficerów dobrą polszczyzną posługiwał się mł. lejtnant Iwan Bereżny, dowódca plutonu zwiadu (rozwiadki, jak mówiono w pułku), pochodzący z okolic Nowogródka. Średniego wzrostu, spokojny, niebieskooki blondyn, lubiący wypić, ubierał się z rosyjska, nosił furażerkę, szerokie spodnie i skórzane buty oficerskie, zsuwające się do połowy łydek, oraz ni to polską, ni rosyjską bluzę. Mówił nam kiedyś, że wojna była dla niego najwspanialszą przygodą, o której nigdy nie zapomni. W pułku miał opinię groźnego oficer, który może zaszkodzić każdemu. Na ogół stroniono od niego lub to może on sam unikał bliższych kontaktów z innymi.

Oficerowie radzieccy dobrze znali rzemiosło wojenne. Umiejętnie kontrolowali szkolenie prowadzone przez Polaków. Dyskretnie interweniowali, starając się nie ośmieszać

polskich instruktorów, którzy często nie grzeszyli fachowością. Na ogół byli w pułku popularni i cieszyli się pewnym szacunkiem żołnierzy.

Po drugiej stronie Wisły naprzeciw Fordonu leży Ostromecko. Znajdujący się tam majątek należał niegdyś do jakiejś arystokratycznej rodziny niemieckiej. Choć działania wojenne ominęły ten zespół pałacowo-gospodarczy, to jednak został on w znacznym stopniu zdewastowany podczas trzymiesięcznego pobytu jednostek Armii Czerwonej. Wnętrza pałacowe obrabowano dokładnie. Pozrywano obicia, boazerię, rozkradziono meble. Zostawiono kilka wielkich bogato złożonych ram, z których powycinano obrazy. Piękne niegdyś żyrandole zostały zniszczone licznymi strzałami z broni maszynowej. Zburzono okazały grobowiec rodzinny, bezczeszcząc pochowane w nim zwłoki.

Pałac ten wraz ze zdewastowanym gospodarstwem przejął na początku maja nasz pułk. Jednocześnie na rozległych pastwiskach, leżących kilka kilometrów na wschód od Ostromecka, urządzono wielki sowiecki punkt etapowy dla zwierząt pędzonych aż za Bug. Gromadzono tu stada krów, koni i owiec zarekwirowanych w niemieckich majątkach i gospodarstwach. Wokół pastwiska jeździli konno radzieccy żołnierze-pastuchy, uzbrojeni w pepesze, z długimi batami. Co kilka dni wyruszała w dalszą drogę długa kolumna krów, następnego dnia pędzono stada owiec, a za nimi tabuny koni. Na ich miejsce przypędzono na krótki odpoczynek następne stada wycieńczonych zwierząt. Zwierzęta chore, osłabione, nie nadające się do dalszej wędrowki, przekazywano komisyjnie i protokolarnie do majątku w Ostromecku, pod opiekę weterynarza. Koni na pastwisku tego majątku pilnowali polscy żołnierze.

Majątkiem w Ostromecku zarządzał energiczny por. Budyński, nauczyciel z Poznańskiego, dobry organizator i wzo-

rowy gospodarz. Przy pomocy przydzielonych mu żołnierzy starał się likwidować szkody, uporządkował duży sad, ożywił gospodarstwo warzywne i powoli przeprowadzał renowację pałacu. Uruchomił produkcję alkoholu; gości częstował dobrą wódką.

Stopniowo poznawałem oficerów pułku. Płatnikiem był por. Władysław Wiatr, pochodzący z Dębicy, niewysoki, dowcipny absolwent warszawskiej Szkoły Głównej Handlowej. Namiętny palacz, nie rozstawał się ze skrętami własnej roboty. Podczas spacerów nad Wisłą najczęściej wspominał lata spędzone na studiach w stolicy. Pułkowym lekarzem weterynarii był por. Włodzimierz Siemiński z Włoch pod Warszawą.

Wspomniany już ppor. Stanisław Wojdyga, przedwojenny st. sierżant, z warszawskiego 36 pp Legii Akademickiej, prowadził wraz z „ludowym” ppor. Kołodziejem magazyn broni i warsztat rusznikarski. Jeden z nich był dobrym specjalistą, drugi zaś cieszył się pełnym zaufaniem dowództwa, a przy okazji uczył się zawodu.

Jedną z kompanii strzeleckich dowodził ppor. Maciejewski, przedwojenny st. sierżant. Niewielkiego wzrostu, dość pulchny, zabawiał nas dawnymi wojskowymi dowcipami. Gdy był pijany, a zdarzało się to w każdą niedzielę, zawsze kończył nasze rozmowy podczas spacerów nad Wisłą zapewnieniem, składanym konspiracyjnym tonem, że już niedługo uderzymy na Ruskich, że ma odpowiednie kontakty i będzie wiedział, kiedy to uderzenie ma nastąpić. Wierzył w moc amerykańskiej bomby atomowej, która miała radykalnie załatwić wszystkie nasze kłopoty, w tym kwestie sporne z ZSRR. Gdy 1 września, idąc na śniadanie, spotkałem go na rynku, mocno podpitego mimo wczesnej pory, kazał mi czekać na kwaterze na rozkazy, które dostarczą z Bydgoszczy. Wobec jego rzucającego się w oczy, głośnego zachowania pomyślałem, że jeśli nawet ma

jakieś kontakty, to na pewno z dość prymitywnym prowokatorem. Tego dnia nie wydarzyło się nic. Znacznie później, gdy kwaterowaliśmy już w Świeciu, dowiedziałem się, że został aresztowany i podobno w rozkazie pułkowym odczytano wyrok pięciu lat więzienia za wrogą propagandę i buntowanie żołnierzy.

Stałym towarzyszem dowódcy pułku był por. Czesław Waryszak, późniejszy generał. Pełnił obowiązki adiutanta i tłumacza. Stojąc obok dowódcy pułku, wydawał komendy po polsku i umiejętnie tłumaczył zbyt długie przemówienia płk. Nowickiego, bardzo je skracając. Zapoznawał także pułkownika z polskimi obyczajami i tradycjami wojskowymi. Waryszak był urodzonym wojskowym, sprężyste ruchy, wyprostowany, zawsze na baczność w obecności przełożonych. Nosił mundur przedwojennego kroju, a także prawdziwe oficerki ze sztywnymi, wysokimi cholewami – błyszczącymi, jeśli były dokładnie wyczyszczone. Większość oficerów radzieckich nosiła buty z cholewami z brezentu. Obaj pułkownicy i mjr Piskunow nosili radzieckie buty, w których owe, z miękkiej skóry cholewy opadały obwarzankami na łydkach.

Pewnego niedzielnego popołudnia Waryszak, już lekko podпиты, zaciągnął mnie do lichej knajpki w pobliżu kina i posterunku milicji. Usiedliśmy przy stoliku w głębi lokalu. Zamówił pół litra, a na zakąskę kielbasę na gorąco. Nalewał do dużych kieliszków, nazywanych oficerkami, pił w pośpiechu, pilnując, abym pił równo z nim. „Łeb w łeb!” – powtarzał. Zastanawiałem się, o co mu chodzi. Po pewnym czasie rozpoczął opowieść o sobie. Pochodził z małej wioski we wschodniej Lubelszczyźnie. Już jako piętnastoletni chłopak ciężko pracował przy wyrębie lasu w okolicach Kowla. Marzył, aby zostać gajowym w państwowych lasach, ale do tego trzeba było odbyć służbę wojskową i uzyskać stopień podoficerski. Do wojska

miał iść w 1940 r. Wybuch wojny radykalnie zmienił jego życie. Znalazł się za Bugiem. Powołany do Armii Czerwonej, szybko awansował, a gdy zaczynała się wojna niemiecko-radziecka, był szefem kompanii. Ranny, przebywał w szpitalu, a w maju 1943 r. zgłosił się do 1 Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki. Skierowany do podchorążówki, ukończył ją jako podporucznik. Pod Lenino został kontuzjowany. Ze stanowiska dowódcy batalionu w 10 pp skierowano go do Moskwy, do Akademii Wojskowej im. M. Frunzego. Studia ukończył przed kilkoma tygodniami i otrzymał skierowanie do 47 pp jako zastępca dowódcy pułku ds. szkolenia. Wzruszył się swoją opowieścią. Gdy zamówił następną półlitrowkę i kotlety schabowe z kapustą, powiedział, że ma do mnie zaufanie, bo od początku obserwuje mój pluton. „Porządek masz, bracie, jak nigdzie!” Wreszcie odsłonił się: „Na pewno dobrze znasz przedwojenne wojsko. Powiedz, czy jeśli się zmieni, jeśli powrócą tamci z Zachodu, to czy nadal zostanę oficerem? Bo przecież ja nie mam matury!” Nie bardzo wiem, co mam odpowiedzieć, ale uspokajam go, że „tamci” na pewno nie wrócą, gdyż Rosja jest za silna, a jeśliby nawet wrócili, to powtórzy się historia z okresu po poprzedniej wojnie. Podobnie jak to było w roku 1920, dobrzy oficerowie czasu wojny będą mogli zdać matury na skróconych kursach. „A mało to w polskim wojsku tworzonym od nowa w 1918 r. było oficerów z armii rosyjskiej?”. Rzucam kilka nazwisk. Powoli uspokaja się. „Bo ja już tylko w wojsku umiem żyć! Wszystko bym zrobił, aby nie utracić munduru i oficerskiego stopnia!” – wyznał szczerze. Rozstaliśmy się jak starzy przyjaciele. Na zakończenie wieczoru zapewnił mnie: „Jak będziesz czegoś potrzebował, to wal do mnie jak w dym!” Rzeczywiście pomagał mi w uzyskiwaniu urlopów, a gdy chciałem odejść z wojska – w przekazywaniu magazynu.

Pewnego dnia do kancelarii pułkowej, w której pisałem rozkaz na dzień następny, przyszło starsze małżeństwo z pobliskiej wioski. Mieli niewielkie gospodarstwo, dwa konie, kilka krów, a jedyny syn służył w wojsku, pokazali mi jego zdjęcie w mundurze kaprała, podobno był teraz w Anglii. Zdenerwowani opowiedzieli, że rano przyszedł do nich polski oficer, wyjął rewolwer i powiedział, że musi przeprowadzić rewizję, ponieważ są volksdeutschami i niedługo zostaną wysiedleni do Niemiec. Zastraszonych staruszków ustawił twarzą do ściany i przeszukał mieszkanie. Zabrał ukryte w szafie z bielizną 2000 zł, zegarek męski, obrączki, srebrne łyżki i damską chustkę. Przed domem czekał drugi wojskowy. Obaj na rowerach odjechali w kierunku Bydgoszczy. Wieczorem powtórzyłem tę historię moim podoficerom, prosząc ich o pomoc w odszukaniu sprawców napadu. Przedwojenni podoficerowie z naszego pułku znali się dobrze i wiedzieli o sobie wszystko. Następnego więc dnia znałem już sprawcę. Był to podporucznik, dowódca jednego z plutonów. Razem z dwoma podoficerami dokonywał napadów rabunkowych w pobliskich wioskach. Postanowiłem nie meldować radzieckiemu dowódcy pułku, lecz sam porozmawiać z podporucznikiem. Powiedziałem mu, że pułkownik już wie o wszystkim, ale nie chce kompromitować pułku i nie nada sprawie rozgłosu. Ale jeśli napad się powtórzy, to pułkownik przekaże sprawę do prokuratury wojskowej, która może zażądać najwyższej kary, gdyż trwa jeszcze stan wojenny. Sprawca początkowo wypierał się, ale później się przyznał, obciążając winą swoją kochankę, która namawiała go do rozboju. Przrzekł poprawę i obiecał, że natychmiast odeśle do domu tę zdemoralizowaną kobietę.

O sprawie i tak dowiedział się pułkownik, który pozytywnie ocenił moje postępowanie. Po przybyciu pułku do Świecia podporucznik został zwolniony z wojska.

Oprócz zajęć w swoim plutonie wykłady o gazach bojowych prowadziłem w innych pododdziałach. Jak wspominałem, w związku z pracą kancelaryjną w dowództwie poznałem życie pułku. Wiedziałem, kto i za co jest ukarany, kto przebywa w szpitalu i kto został zwolniony z wojska na skutek złego stanu zdrowia. Poznawałem również przykre sprawy: dezercje, okradanie kolegów, nadużycia w kwatermistrzostwie i oficerskie pyskówki. Gdy powtarzały się nocne wypadki rozbrajania polskich oficerów na ulicach Fordonu przez radzieckich żołnierzy, oddałem, podobnie jak inni oficerowie, swoją tetetkę do magazynu broni, co odnotowano w mojej legitymacji oficerskiej.

W słoneczną niedzielę na początku czerwca wybraliśmy się do pobliskiej Chełmży, gdzie brat plut. Jestata był proboszczem. Jechał z nami kpt. Barabasz, który wypożyczył na tę wycieczkę pułkową dekawkę. Wracaliśmy po kolacji, gdy zaczynało się ściemniać. Ruch na szosie był mały. Samochód prowadził plutonowy, ja siedziałem obok niego, a mocno podпиты kapitan drzemał na tylnym siedzeniu. Pod Ostromeckiem droga wiodła przez las. Nagle w świetle reflektorów zobaczyłem grupę żołnierzy z pistoletami maszynowymi. Zagrodzili nam drogę, zmuszając do zatrzymania się. Widzę, że jest to jakiś trudny do zidentyfikowania oddział partyzancki.

Nie wiedziałem, co nas czeka, ale bałem się przede wszystkim o Barabasza, gdyż oddziały leśne rozmaicie traktowały oficerów radzieckich – tych z NKWD najczęściej rozstrzelivano, a przecież nie mogłem wiedzieć, czy Barabasz nie ma takiej legitymacji. Przesunąłem mu rogatywkę z trzema gwiazdkami na twarz mówiąc: „Śpij! Nic nie mów”.

Plutonowy i ja jesteśmy bez broni. Któryś z leśnych zbliża się do samochodu. Gdy otwieram drzwi, pyta: „Czołem panie poruczniku! Skąd i dokąd Pan Bóg prowadzi?” Wychodzę

z samochodu i słyszę, jak plutonowy mówi spokojnym głosem: „Mam brata – proboszcza w Chełmży, zaprosił nas na niedzielny obiad. Kolacja była po czerwcowym nabożeństwie i tak się przeciągnęło!” Ja dodaję, że kapitan się zalał, bo ma słabą głowę i teraz śpi. Pytają, gdzie kwaterujemy, z którego jesteście pułku i z której dywizji. Na pytanie dlaczego jeździmy bez broni, mówię – zgodnie z prawdą – o nocnych zasadzkach na podpiętych oficerów, o Ruskich przystawiających pistolet do pleców i żądających oddania broni. „Dlaczego nie jesteście z nami?” Odpowiadam, że lada dzień zostanę ojcem dwojga dzieci i muszę wyrwać się z wojska, aby opiekować się rodziną. W świetle reflektorów oglądają zdjęcie Hani i nasze ze ślubu.

Interesują się stosunkami w pułku. Mówię, że żołnierze są z Pomorza, podoficerowie przedwojenni pochodzą ze Śląska i z Łodzi, a oficerami do kapitana włącznie (tu skłamałem) są Polacy, a wyżej tylko Rosjanie. „Jacy oni są?” – „Na razie tylko się obwąchujemy. Oni nas, a my ich. Ani dobrzy, ani zli. Zobaczymy, co będzie dalej?” Po chwili milczenia usuwają się z drogi: „Powodzenia! Czołem, panowie!”

Plutonowy uruchamia silnik. Oddycham głęboko. Gdy odjechaliśmy kilkaset metrów, nagle odezwał się Barabasza. Zaskakująco stanowczym tonem wygłosił ostrzeżenie: „Zapamiętajcie! Tu nie ma żartów! Jeśli chcecie przeżyć, to nikomu ani słowa! Nikomu!”

Po kilku tygodniach służby w 47 pp wiedziałem już, że swobodnie rozmawiać mogę tylko z kpt. Barabaszem. Kiedyś jechałem z nim służbową dekawką do dowództwa 14 DP. Po drodze zatrzymaliśmy się w pobliżu stacji Bydgoszcz-Wschód. Tory i bocznice kolejowe były zastawione pociągami towarowymi, załadowanymi wywożonymi z Niemiec urządzeniami fabrycznymi, stalowymi konstrukcjami, beczkami z różnymi chemikaliami. Na rampie kolejowej wzdłuż torów ustawiono

meble, setki pianin i fortepianów, które konfiskowano w pobliskich miastach i miasteczkach jako majątek poniemiecki. Zarówno piękne meble, jak i instrumenty muzyczne od dłuższego czasu niszczały na deszczu, niczym nie przykryte, chociaż dzień i noc pilnowane przez wielu sowieckich żołnierzy. Barabasze ze smutkiem powiedział mi wtedy, że w Rosji tak jest ze wszystkim, że nie ma tam ani ładu, ani porządku.

W Fordonie wielokrotnie widziałem, że ulice i podwórka sprzątają chudzi i nędznie ubrani ludzie. Mieszkańcy wręczali im dyskretnie paczki z żywnością, a to jakąś bułkę, a to kilka główek cebuli czy butelkę mleka. Byli to volksdeutsche – najczęściej Polacy, którzy podpisanie volkslisty traktowali jako wymuszoną przez wojnę konieczność, mającą zapobiec wysyłce do obozu koncentracyjnego lub deportacji do GG. Volksdeutsche z I i II grupą narodowościową na pewno poczuili się Niemcami i uciekli na Zachód przed Armią Czerwoną, natomiast ci z III i IV grupą najczęściej byli Polakami i nie odczuwali żadnych związków z niemiecczością, pozostając na miejscu. Teraz ludzie ci czekali na transport do radzieckiej strefy okupacyjnej lub – jeśli nie mieli zamiaru wyjeżdżać z Polski – na rozprawę sądową i ewentualną rehabilitację. Młodszych od razu wywieziono do obozów pracy przymusowej na terenie ZSRR.

Jeńców wojennych – Niemców zatrudniano w Fabryce Papieru lub kierowano do sprzątania kwater żołnierzy radzieckich. Na jesieni wszystkich wywieziono do ZSRR. Tymczasem każdego ranka burmistrz Fordonu odbierał kolumnę jeńców-więźniów spod budynku więzienia, odprowadzał ich na miejsca pracy, po której zakończeniu przekazywał ich strażnikowi.

Pewnego wieczoru burmistrz przyszedł do mnie. Powiedział, że ponieważ w każdą niedzielę widzi mnie w kościele, a od pani Stefaniakowej słyszał o mnie wiele dobrego, to chce

mnie prosić o udostępnienie mojego pokoju więźniom katolikom, w celu umożliwienia im odbycia spowiedzi i przyjęcia komunii. Zgodziłem się. Klucz miałem zostawiać u gospodyni. Konspiracja ta trwała kilka tygodni. Nigdy nikogo z jej uczestników nie spotkałem. Pokój był zawsze uporządkowany.

Po kilku tygodniach burmistrz powiadomił mnie, że mój pokój będzie sprzątał jeden z jeńców wojennych. Widziałem go tylko pierwszego dnia. Był bardzo wychudzony i ledwo chodził. Opowiedział mi o swoim pobycie w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie został zamknięty w 1938 r. jako członek antyhitlerowskiej organizacji katolickiej. Gdy nie mógł już dłużej znieść ciężkich warunków obozowych, w 1944 r. zgłosił się na ochotnika do Wehrmachtu. Skierowany na front wschodni, dostał się do niewoli radzieckiej na Wale Pomorskim. Mimo wytatuowanego niskiego numeru obozowego nie został uwolniony, gdyż zwalniano tylko komunistów. Naprawdę budził litość. Każdego dnia zostawiałem mu coś do zjedzenia i kilka papierosów, o które prosił. Niestety, po kilkunastu dniach skierowano go do innej pracy, a mnie pozbawiono prawa do zatrudniania bezpłatnej sprzątaczk. Cóż, zapewne jeniec niepotrzebnie pochwalił się swoim towarzyszom więziennym dobrą pracą.

Komendant więzienia, były partyzant AL, znany ze swej surowości powiedział: „Niepotrzebnie rozpieszca pan tych skurwysynów, już dawno powinno się ich wszystkich powystrzelać!” Więżniowie bardzo na owego komendanta narzekali. Odmieniła go osobista tragedia: wskutek zatrucia grzybami zmarła mu żona i dwoje dzieci. On sam, gdy wrócił ze szpitala, stał się innym człowiekiem. Zaczął dbać o więźniów, o ich wyżywienie i warunki sanitarne. Wtedy jednak szybko został odwołany z tego stanowiska. Widocznie władza nie lubiła łagodnych komendantów więzienia.

Pod koniec czerwca na rozległej łące w pobliżu Fordonu ustawiono nasz pułk batalionami i kompaniami, bez broni – razem ponad tysiąc ludzi. Dość długo czekaliśmy, aż przed front pułku zajechało kilka osobowych samochodów, z których wysiedli oficerowie radzieccy i dwaj biednie ubrani cywile. Dwaj radzieccy pułkownicy sprawdzili obecność szeregowców, podoficerów i oficerów według imiennej listy. Później przeprowadzono tych cywilów przed szeregami, przykazując im uważnie przyjrzeć się nam. Jakoś łżej nam się zrobiło, gdy zakończył się ten dziwny przegląd.

Po kilku dniach dowiedzieliśmy się od naszego weterynarza por. Siemińskiego, co było przyczyną tej dziwnej parady. Otóż z radzieckiego pastwiska za Ostromeckiem zginęły dwa najpiękniejsze siwki, rasowe konie cugowe, które zaprzęgano w każdą niedzielę do powozu generała radzieckiego, komendanta wojskowego Bydgoszczy, mającego w zwyczaju świąteczne przejażdżki głównymi ulicami miasta. Mówiono, że za brak dozoru skazano na śmierć trzech żołnierzy-koniuchów. Po kilku tygodniach jednego siwka rozpoznano w chłopskim zaprzęgu na targu w Bydgoszczy. Chłopa, gospodarza, spod Koronowa, aresztowano. Bity w czasie śledztwa, podał nazwisko sąsiada, nabywcy drugiego siwka. Obaj utrzymywali, że konie kupili od dwóch oficerów w polskich mundurach, ale słabo mówiących po polsku. Konie im odebrano, choć po kilku tygodniach ciężkiej pracy utraciły całą grację koni cugowych.

W czerwcu, z okazji urodzenia się bliźniaków, Leszka i Janka, otrzymałem dziesięć dni urlopu. Płk Nowicki, zwracając mi uwagę na zabezpieczenie magazynu, będąc w dobrym humorze powiedział rubasznie: „Ja już pięć lat nie byłem w domu i żony nie widziałem, podobno w tym czasie urodziło mi się troje dzieci, a na urlop nie jadę i nawet nic mnie do domu nie ciągnie. Tak jest z nami wszystkimi – oficerami Armii Czerwonej!” A Barabasz

na to: „Mnie do domu ciągnie, ale dzieci mi się nie rodzą, więc urlopu nie dostaję!”

W Pruszkowie spotkałem się z Julkiem Mazurkiewiczem, moim kolegą z lat szkolnych i z podchorążówki, który teraz został zmobilizowany i jako prawnik, po specjalnym przeszkoleniu, skierowany do sądownictwa Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Toruniu. Wymieniliśmy aktualne adresy.

W połowie czerwca 1945 r. otrzymałem „Orzeczenie Komisji Weryfikacyjnej Oficerów”. Przyznano mi, jako przedwojennemu podchorążemu, stopień podporucznika piechoty WP ze starszeństwem 1 czerwca 1944 r. Zdziwiło mnie, że przekreślono na dokumencie nadruk: „Zatwierdzam. Naczelný Dowódca WP Rola-Żymierski, gen. Broni”, a napisano w tym rogu atramentem, po rosyjsku, cyrylicą: „Nacz. O. K. dozwolono zgodnie z przepisami”.

Na początku lipca wszystkich oficerów naszego pułku zawieziono na odprawę dywizyjną do Bydgoszczy. Na boisku koszar w czterech czy pięciu rzędach ustawili się oficerowie trzech pułków piechoty (45 pp z Bydgoszczy, 47 pp z Fordonu i 49 pp z Chełmna) oraz 36 pułku artylerii lekkiej z Koronowa. Dowódca dywizji, wysoki i gruby płk Sielicki polsko-rosyjskim slangiem zapowiedział zbliżającą się akcję żniwną i nakazał zwiększenie karność oraz przeprowadzanie szkolenia zgodnie z planami zajęć ustalonymi przez Naczelne Dowództwo. Po nim wystąpił nie znany nam pułkownik Polak, który mówił, że należy dbać o wygląd żołnierzy, o ich czystość oraz o mundury i buty, a także o uzbrojenie, gdyż rdza atakuje bardzo szybko metalowe części, wykonane ze znacznie gorszej stali niż przed wojną. Następny mówca, jakiś generał w polskim mundurze, trochę archaicznym językiem polskim, z wyraźnym rosyjskim akcentem, powiedział m.in.: „Mam przerażające dane. W oddziałach szerzy się

dezercja. W niektórych kompaniach brakuje jednej czwartej stanów. Nie wiadomo, gdzie są ci żołnierze. Zarządzam, aby dezercję karano wyrokiem śmierci, i to zarówno dezertera, jak i dowódcę oddziału. Jeśli w jakimś oddziale nastąpi wypadek dezercji, to ja takiego dowódcę natychmiast stawiam przed sądem wojskowym! Nie będzie łaski! Nie będzie usprawiedliwienia! Za dezercję kara śmierci! Daję wam jedyną i ostatnią szansę, panowie oficerowie – jeśli ktoś nie chce odpowiadać za powierzony oddział, to może teraz wystąpić i przekazać dowództwo innemu oficerowi, który nie stchórzy, który będzie godniejszy takiego zaszczytu! Kto nie chce być dowódcą, niech wystąpi z szeregu!” Zdumiało nas to, co nastąpiło. Oto wszyscy oficerowie ruszyli do przodu o trzy kroki. Zapadła grobowa cisza. Generał zorientował się, że zagrał niewłaściwą kartą, że zagalopował się w straszeniu nas. Przyglądał nam się chwilę w milczeniu, po czym zaczął mówić o zbliżającej się akcji żniwnej, w której wojsko musi pomagać w zbieraniu zboża i ziemniaków.

Byłem innego zdania, czemu dałem wyraz w rozmowie z Barabaszem w ciężarówce, którą wracaliśmy do Fordonu. Przecież niektórzy żołnierze błagają o krótki urlop, aby pomóc rodzinie w zbiorach, inni pragną przywieźć swoje rodziny na opuszczone przez Niemców gospodarstwa, a jeszcze inni czekają na przyjazd rodziny zza Bugu. Mojemu wywodowi przysłuchiwał się w milczeniu mjr Piskunow. Natomiast Barabasha przekonałem, żeby udzielił krótkich urlopów kilku kanonierom.

Któregoś dnia podczas obiadu w kasynie zwrócono moją uwagę na młodego podporucznika, jedzącego obiad razem z pułkownikami i mjr. Piskunowem. „To śledczy, przyjechał z Torunia!”. Po obiedzie płk Nowicki ku mojemu zaskoczeniu podszedł z nim do naszego stolika ze słowami: „Ot, porucznik

Krzyczkowski!” Przestraszyłem się nie na żarty, gdy tymczasem porucznik uśmiechając się powiedział: „Ma pan pozdrowienia od porucznika Mazurkiewicza z Pruszkowa!” Podczas poobiedniego spaceru nad Wisłą podporucznik powiedział mi, że został niedawno zmobilizowany, przed wojną rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, a obecnie Julek jest jego przełożonym i wysłał go do Fordonu, prosząc o skontaktowanie się ze mną. Prowadził śledztwo w sprawie napadu rabunkowego na gorzelnię w Nakle przed dziesięcioma dniami. Do gorzelni przyjechały wtedy w środku nocy dwie ciężarówki i samochód osobowy. Sterroryzowano dwóch wartowników, których pilnował jeden z rabusiów – kierowca podoficer. Dwaj pozostali kierowcy po przecięciu kabla telefonicznego, razem z trzema oficerami w polskich mundurach, ale rozmawiającymi po rosyjsku, przystąpili do przelewania okowity ze zbiorników do kilkudziesięciu blaszanych beczek dwustulitrowych. Gdy samochody odjeżdżały, jeden z wartowników zapisał numery ciężarówek. Samochód osobowy nie miał żadnych znaków rejestracyjnych. Żandarmeria wojskowa dość szybko ustaliła, skąd pochodziły samochody i sprawa trafiła do prokuratury wojskowej w Toruniu.

Julek, któremu przed kilkoma tygodniami podałem swój adres, prosił mnie, abym udzielił pomocy wysłanemu przez niego oficerowi dochodzeniowemu. Podporucznik, oddelegowany do Bydgoszczy w kilku podobnych sprawach, zamieszkał w pokoju przy jakiejś rodzinie. Umówiliśmy się, że będzie wykonywał swoje rutynowe czynności, a ja w miarę możliwości będę się starał mu pomóc. Gdy po rozmowie z podporucznikiem wróciłem do plutonu, już czekał na mnie goniec z wezwaniem do kancelarii pułku. Dowództwo było w komplecie: dwaj pułkownicy, Piskunow i Waryszak. Pytano mnie, po co śledczy przyjechał i za czym węszy. Gdy powiedziałem, że chodzi o napad na gorzelnię w Nakle, mjr Piskunow od razu

powiedział, że ktoś sfałszował numery na tablicach rejestracyjnych, aby na nas zwalić winę, a płk Nowicki apelował: „Jestem pewien, że zadbachie o to, aby sprawę wyświecić, bo chodzi o dobre imię pułku i o honor nas wszystkich”. Zapewniłem go, że jest to moim pragnieniem.

Sprawa wyjaśniła się dość szybko. Mój prywatny wywiad działał bez zarzutu. Wystarczył jeden wieczór, abym poznał szczegóły. Dowiedziałem się od moich podoficerów, że w napadzie brał udział jeden oficer Polak, dwaj oficerowie radzieccy oraz trzech plutonowych – kierowców Polaków, którzy twierdzą, że działali pod przymusem i teraz boją się odpowiedzialności. Z kolei oficerowie podobno chcą zrzucić winę na kierowców. Dowiedziałem się, że przesłuchiowano już wszystkich uczestników napadu i żaden nie przyznaje się. Beczki z okowitą rabusie umieścili w jednym z budynków kwatermistrzostwa. Sprzedaży jeszcze nie rozpoczęto.

Prowadzącemu śledztwo podporucznikowi sugerowałem, aby na razie wstrzymał się z wyciąganiem ostatecznych wniosków, a jednocześnie, zgodnie z propozycją płk. Nowickiego, zaprosiłem go na niedzielny żołnierski obiad w pułkowym gospodarstwie w Ostromecku. Zawiózł nas tam pułkową dekadką plut. Jestat, zaopatrzony w odpowiednie dokumenty. W pałacu odbyła się prawdziwa uczta. Kucharz przed zmobilizowaniem pracował w łódzkim Grand Hotelu, przygotował więc wykwinny obiad. Po obiedzie, przy pięknej pogodzie, wyciągnęliśmy się na leżakach rozstawionych w parku i rozmawialiśmy o wojennych losach. Doświadczane przez nas przyjemności odbieraliśmy jako swoisty przejaw sprawiedliwości dziejowej. Oto baronowie i hrabiowie z Ostromecka tułają się gdzieś w zniszczonych Niemczech, a my w ich posiadłości odpoczywamy po wspaniałym obiedzie, popijając czarną kawę i sącąc koniak.

W drodze powrotnej z Ostromecka powiedziałem oficerowi dochodzeniowemu, że napadu na gorzelnię dokonali dwaj oficerowie radzieccy przy udziale oficera Polaka, który jeszcze niedawno uważał się za Ukraińca, a w wypadku oskarżenia go o udział w napadzie wróci do Armii Czerwonej. Przekonywałem, że oficerom radzieckim i tak nic się nie stanie, w najgorszym wypadku zostaną odesłani do ZSRR, natomiast za udział w napadzie będą odpowiadać trzej polscy podoficerowie kierowcy, i to oni dostaną wysokie wyroki. Proponowałem, aby z tych względów spróbował nastraszyć oficerów, przesłuchiwać ich długo i dokładnie, by nabrali przekonania, że nie mogą postępować bezkarnie. Prosiłem, by nie wyciągał żadnych konsekwencji i spróbował sprawę umorzyć.

Podporucznik uspokoił mnie, że dla wojskowej prokuratury najważniejsze i najgroźniejsze są sprawy o charakterze politycznym, a sprawy kryminalne, rozboje, napady i kradzieże, są to przestępstwa mniej ważne i traktuje się je z pobłażliwością.

Po kilku tygodniach oficer dochodzeniowy złożył w Toruniu oświadczenie, że nie udało się ustalić sprawców napadu, choć wszystko wskazuje na to, że byli to oficerowie radzieccy z 47 pp. Okazało się, że to stwierdzenie zamykało sprawę.

Na początku września 1945 r., gdy po raz ostatni widziałem się z podporucznikiem, powiedział mi, że do przedpokoju w jego mieszkaniu, na drugim piętrze kamienicy przy ul. Cieszkowskiego wstawiono dwustulitrową beczkę z okowitą. Cóż, płk Nowicki nie tak dawno pytał mnie o adres tego podporucznika!

Nasza 14 DP została na początku lipca 1945 r. włączona do akcji żniwnej. W garnizonach miała pozostać tylko część żołnierzy, potrzebnych do ochrony obiektów. Pluton chemiczny pozostawał w Fordonie – dla moich żołnierzy nadchodził okres prawdziwej wilegiatury. Ja co kilka dni pełniłem obowiązki oficera służbowego, zawsze przy pomocy jednego z moich podoficerów.

Pułk pomaszerował na Mazury, aby przeprowadzić żniwa w okolicach Gierzwałdu, niedaleko Ostródy. Już podczas marszu do miejsc zakwaterowania pojawiły się pierwsze trudności, gdyż żołnierze mieli kiepskie buty, a potem przez cały czas trwania akcji nie potrafiiono zorganizować naprawy umundurowania i obuwia. Brakowało bielizny na wymianę, środków czystości, nie było lekarstw ani środków opatrunkowych. Wojsko nie dostawało mięsa, tłuszczów, mąki i kartofli. Wyżywienie poprawiło się dopiero wtedy, gdy zebrano trochę zboża. Uzyskana po zmieleniu mąka zapewniła stały wypiek chleba, który wymieniano na mięso i tłuszcz.

Akcja żniwna w roku 1945 okazała się wielką improwizacją. Na początku brakowało dosłownie wszystkiego: podstawowych narzędzi rolniczych, koni, benzyny. Dopiero rekwizycje, przeprowadzone w dość szybko upaństwowionych dworach i u gospodarzy, rozwiązały ten problem. Dodatkowych trudności przysporzyły miny, którymi naszpikowana była ziemia, a także konieczność stałego przeciwdziałania rozbojom i kradzieżom, dokonywanym przez głodnych i zdesperowanych żołnierzy. Po pewnym czasie wybuchła epidemia duru brzusznego i czerwonki. Wskutek braku lekarstw zmarło kilku żołnierzy. Akcja żniwna zakończyła się orką i zasiewem ozimin. Trzeba jednak stwierdzić, że bez pomocy wojska zmarnowałyby się wielkie ilości nie zebranego zboża i nie wykopanych ziemniaków.

Po wymaszerowaniu pułku na Mazury pojechałem po żonę do Pruszkowa. Ze względu na zły stan jej zdrowia podróż zatłoczonymi pociągami była niemożliwa. Na szczęście zorganizowano już komunikację samochodową. Za 500 zł od osoby do Bydgoszczy dowiozła nas nakryta brezentem ciężarówka. Bydgoszcz, po widokach zniszczonej Warszawy, wydawała się cudownym miastem. Było dużo zieleni, po czystych ulicach jeździły tramwaje, czynny był teatr i cztery kina.

Po kilku dniach odpoczynku żona poczuła się lepiej i postanowiła gotować obiady. Por. Budzyński za zgodą, a być może z polecenia płk. Nowickiego, przysyłał nam trochę żywności z Ostromecka. Co kilka dni dostawaliśmy parę litrów mleka, mięso wołowe, wątróbkę i warzywa. Moi żołnierze dostarczali nam ryb, pozyskanych opisanym wcześniej sposobem. Ponadto płk Nowicki obdarował mnie talonem do „Wojentorgu”, tj. sklepu handlu wojskowego. Moje oficerskie talony upoważniały do zakupu po niższej cenie litra wódki na kwartał, koszuli męskiej, kalesonów i skarpetek oraz 3 m lichej wełny ubraniowej lub 6 m materiału bawełnianego. Natomiast na talon pułkownika mogłem kupić dwie puszki kawioru, konserwy mięsne, czekoladę i czekoladowe cukierki. Mieliśmy prawdziwą ucztę.

Podczas gotowania obiadów w kuchni pani Stefaniak Hania poznała tęgą, wesołą i rozmowną Rosjankę Walę, która była gospodynią u naszego sąsiada pułkownika, radzieckiego komendanta miasta. Po kilku dniach zaprzyjaźniła się z poznaną u Wali sanitariuszką Marusią, sympatyczną, niewielką blondynką, o łagodnym usposobieniu i smutnych oczach, której matka była lekarką w moskiewskim szpitalu, natomiast ojciec, profesor politechniki, został w stopniu pułkownika skierowany na front i w 1943 r. zaginął. Marusia pracowała jako sanitariuszka w szpitaliku sąsiadującym z kwaterą mojego plutonu, pomagając lekarzowi Gruzinowi. Chodziła w za dużej bluzie, w spódnicy do połowy łydek i w butach z cholewami z brezentu, a na głowę fantazyjnie zakładała furażerkę. Podobno komendant miasta był dobrym znajomym jej ojca. Marusia ukończyła dwa lata studiów medycznych, wkrótce miała wrócić do Moskwy i zamierzała kontynuować naukę. Hania również marzyła o dniu, w którym podjęmie przerwane studia w Szkole Głównej Handlowej. Na razie wspólnie przyrządzały różne potrawy, poznając sekrety kuchni polskiej i rosyjskiej, a wieczorami spacerowały nad Wisłą.

W lecie ruszyła komunikacja rzeczna, statki płynęły z Warszawy do Gdańska, zatrzymując się w różnych miejscowościach. Na początku sierpnia Rada Ministrów uchwaliła dekret o amnestii, przez wielu przyjęty z ulgą i nadzieją na lepszą przyszłość, kiedy nie będą musieli się ukrywać. Przemówiła radiostacja raszyńska. Wzruszeni, wysłuchaliśmy hejnału z wieży mariackiej. Każde, nawet pozornie drobne wydarzenie tego typu wywoływało wielką radość.

Wstrząsnęła nami wiadomość o zrzuconiu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Natomiast prawie bez wrażenia przeszedł dzień kapitulacji Japonii. Bomba atomowa wywołała zaskakujący i nieoczekiwany przypływ nadziei: może nie wszystko stracone, może Rosjanie wycofają się z Polski. Niedługo później oficer polityczno-wychowawczy na specjalnej oficerskiej odprawie – zastrzegając, że ta wiadomość jest ściśle tajna – mówił, że ZSRR również ma bombę atomową i nie pozwoli się szantażować Stanom Zjednoczonym. Ta rewelacyjna bomba jest wielkości piłki nożnej i znacznie przewyższa bombę amerykańską. W poziomie działa w promieniu 85 km, a w pionie niszczy wszystko do 10 km.

Piętnasty sierpnia 1945 r. wypadał w środek. Byliśmy pewni, że jak przed wojną będziemy świętować „Dzień żołnierza”. Niestety, kilka dni przed tą datą oficer polityczno-wychowawczy odczytał nam rozkaz gen. broni Władysława Korczyca, informujący, że 15 sierpnia we wszystkich jednostkach będzie normalnym dniem pracy. Politruk dodał od siebie: „Nie chcemy świętować tej daty, gdyż łączy się ona w naszych dziejach z awanturniczą wyprawą na Kijów, łączy się z polityką, która doprowadziła nasz kraj do tragicznych dni Września”.

W końcu sierpnia wydarzyła się tragedia. Marusia przed demobilizacją i odjazdem do ZSRR musiała poddać się badaniom lekarskim. Badał ją jej przełożony, lekarz Gruzin. Gdy stwierdził, że jest dziewczicą, powiedział o tym oficerom — kolegom ze swej

jednostki i w pięciu dokonali na niej gwałtu. Podobno widziano wieczorem, jak ślaniająca się Marusia wychodziła z ziemianki, w której była izba chorych, i szła w kierunku Wisły. Tam, w niewielkim sadzie na skarpie powiesiła się na starej jabłoni. Następnego dnia rano jeden z moich podoficerów przekazał nam tę straszną wiadomość. Starszyna-felczer z radzieckiej izby chorych, rozmawiając z moimi podoficerami użył słów: „Wot! Durna!”.

Nikt za tę tragedię nie odpowiadał. Matkę zawiadomiono, że córka zginęła na germańskiej minie. Lekarz Gruzin urzędował w Fordonie do końca mojego pobytu. Chciałem odwiedzić grób Marusi, gdyż Hania prosiła, abym złożył kwiaty, ale starszyna, proszony o wskazanie mi miejsca jej pochówku, ciągle nie miał czasu – to miał służbę, to inne obowiązki.

Hania, wstrząśnięta śmiercią Marusi, przestała wychodzić do miasta i postanowiła wracać do domu. Do Bydgoszczy odwiózł nas kpt. Barabasz. Na dworcu byliśmy dość wcześnie. Wreszcie podstawiono pociąg do Łodzi Kaliskiej. Towarzyszyłem Hani tylko do Kutna, aby tam umieścić ją w pociągu jadącym z Berlina przez Poznań do Moskwy, z postojem w Ożarowie, gdzie wszystkie parowozy ładowały węgiel i uzupełniały zapas wody. Stąd do Pruszkowa było tylko 3-4 km. Od Kutna Hanią miał się opiekować ppor. Stach Wojtyga, który jechał do Warszawy.

Nasz pociąg składał się z wagonów starego typu, z wejściami do każdego przedziału z obu stron. Zajęliśmy miejsca w jedynym wagonie dla oficerów. Hania przy oknie, ja obok niej, naprzeciwko Stach, a przy nim jakiś porucznik z 36 pal. Patrol żandarmerii radzieckiej wpuścił do naszego przedziału jeszcze sześciu radzieckich oficerów. Niespodziewanie tuż przed odjazdem pociągu od strony torowiska wtargnęło do przedziału chyba z dziesięciu podpitych, krzykliwych podoficerów radzieckich. Kilku rozłożyło się na półkach, inni wcisnęli się na miejsca siedzące lub rozsiedli na podłodze. Oficerowie radzieccy nie zareagowali nawet słowem.

Podobnie jak my, siedzieli cicho. W Toruniu na nasz pociąg czekał tłum radzieckich żołnierzy. Do naszego przedziału wtoczyło się jeszcze kilku oficerów. Wśród nich, z wielkim trudem, wgramolił się kapitan – inwalida o kulach; stanął on przy oknie, ale oddepchnięty przez innego radzieckiego oficera, z trudem utrzymywał równowagę. Nie istniał dla pozostałych radzieckich żołnierzy, którzy szybko się zbratali i, popijając z butelki samogon, głośno rozmawiali, przekrzykując się nawzajem. My także dla nich nie istnieliśmy. Ustąpiłem inwalidzie miejsca. Ten zdołał usiąść z największym trudem, gdyż mój radziecki sąsiad, wykorzystując okazję, rozsiadł się wygodnie. Inwalida opowiedział Hani, że utracił stopę na minie. Jedzie aż za Ural, do małego miasteczka, w którym był nauczycielem.

W Kutnie stał już berliński pociąg, składający się z kilkudziesięciu odkrytych węglarek, załadowanych urządzeniami fabrycznymi, wywozonymi z Niemiec, i kilku krytych wagonów towarowych, w których na grubej warstwie słomy leżeli lub siedzieli radzieccy żołnierze. Tylko dzięki interwencji dotychczasowego towarzysza podróży, kapitana inwalidy, udało się Hani i Stachowi dostać do jednego z wagonów. Bałem się trochę tej podróży, ale zaufałem inwalidzie, który wyglądał na przyzwoitego człowieka. Hania dojechała szczęśliwie i po trzech godzinach była w domu.

W połowie października do Fordonu powrócili z akcji żniwnej żołnierze naszego pułku. Zorganizowano uroczyste powitanie przez ludność, była młodzież szkolna i orkiestra robotnicza. Powitanie było zarazem pożegnaniem pułku, który za kilka dni miał się przeprowadzić do Świecia nad Wisłą, aby w dawnych koszarach przezimować w znośnych warunkach.

Na kilka dni przed przeprowadzką, gdy pełniłem obowiązki oficera służbowego pułku, przydzielony mi do pomocy plutonowy, podoficer służbowy pułku, przed wieczorem, gdy w dowództwie poza nami nie było nikogo, wpadł na dziwaczny

pomysł, aby sprawdzić, czy może jest coś na piecach. Działał systematycznie. Do każdego pieca przysuwał stół, ustawiał na nim, krzeselko i włożył na górę. Na piecu w pokoju zajmowanym przez płk. Nowickiego znalazł zakurzone pudełko. Ja i trzej wartownicy patrzyliśmy zdumieni, jak z pudełka wyciąga zawinięte w bibułę trzy zegarki: mały damski w złotej obudowie, męski ręczny niklowy i złoty kieszonkowy męski z dwiema kopertami. Wszystkie dobrych firm szwajcarskich. Wydawało mi się, że tylko ja zauważyłem, jak plutonowy schodząc z krzeselka na stół schował do kieszeni mały woreczek, jednakże – jak wykazały późniejsze zdarzenia – musiał to jeszcze ktoś widzieć.

Zegarki po nakręceniu zaczęły chodzić. Plutonowy, idąc na kolację, zabrał pudełko z zegarkami.

Następnego dnia rano mjr Piskunow zażądał od plutonowego zwrotu zegarków, będących – jak twierdził – własnością pułku. Pułkownik zdecydował, że zegarki zostaną sprzedane, a pieniądze przeznaczone na urządzenie pułkowej świetlicy (pieniędzy tych nikt nie zobaczył i nigdy na ten temat nie mówiono). Plutonowy zegarki oddał bez słowa protestu i najwyraźniej bez wielkiego żalu. Widocznie resztę cennego znaleziska gdzieś dobrze ukrył. Jego łóżko i walizka w koszarach były bowiem kilkakrotnie przeszukiwane przez nieznanych sprawców.

To głośnie w pułku wydarzenie miało żałosny dla opuszczanych budynków epilog. W przeddzień wymarszu pułku do Świecia, gdy meble i szafy z dokumentami załadowano na pułkowy samochód, grupa oficerów i podoficerów zaczęła poszukiwać kosztowności, demolując budynek. Rozbijano piec i kuchnię, zrywano boazerię i podłogi, połamano regały biblioteczne, odbijano tynki w tych miejscach, gdzie przy uderzeniu młotka był inny dźwięk. Zniszczono książki. Nic już nie znaleziono.



Przygotowania do listopadowej defilady w Bydgoszczy – płk Nowicki (Rosjanin) i por. Czesław Waryszak, późniejszy generał w Ludowym Wojsku Polskim

Nasze pożegnanie z Fordonem zbiegło się w czasie z „manifestacją zbratania społeczeństwa pomorskiego z ludowym Wojskiem Polskim”. W dniach 27 i 28 października 1945 r. Bydgoszcz została udekorowana flagami narodowymi i czerwonymi. W niedzielę, 28 października, na placu ćwiczeń za dawną podchorążówką zebrała się cała 14 DP, czyli trzy pułki piechoty i pułk artylerii. Przyjechał marsz. Michał Rola-Żymierski i gen. Karol Świerczewski, był także wojewoda Pa-semkiewicz. Na czele naszego 47 pp stał płk Nowicki z nieodstępnym por. Waryszakiem, który przekazywał komendy po polsku. O godz. 10 odprawiono Mszę św., a po nabożeństwie poświęcono sztandary pułkowe. Wojewoda wręczył sztandary marsz. Żymierskiemu, ten – dowódcy dywizji, który przekazywał i dowódcom pułków, a ci – pocztom sztandarowym. Przy dźwiękach hymnu narodowego poczty przemaszerowały przed frontem dywizji a następnie ustawiły się przy swoich

pułkach. Wtedy głos zabrał marsz. Żymierski, mówiąc o celach przyświecających tworzeniu dywizji, o zasługach na froncie żniwnym (zebrano zboże z 31 tys. ha i zasiano oziminą 10 tys. ha). Następnie złożyliśmy przysięgę: „Przysięgam uroczyście ziemi polskiej i Narodowi Polskiemu dochować wierności Krajowej Radzie Narodowej, władzy naczelnej Narodu Polskiego, niezłomnie bronić swobód demokratycznych... Tak mi dopomóż Bóg!”.

Na zakończenie uroczystości odbyła się defilada na pl. Wolności. Maszerowały wszystkie jednostki 14 DP, Przysposobienie Wojskowe oraz organizacje społeczne i polityczne. Wznoszono okrzyki na cześć ludowego Wojska Polskiego i marsz. Żymierskiego, którego samochód obsypano kwiatami. Po defiladzie odbyła się uroczysta akademia, a wieczorem bankiet dla wyższych wojskowych i władz miasta.



Bydgoszcz. Trybuna Honorowa podczas defilady w dniu Święta Niepodległości. Na trybunie generałowie: Michał Rola - Żymierski i Karol Świerczewski „Walter”.

Wydawało się, że entuzjazm ludności był autentyczny, a tymczasem, już po naszej przeprowadzce do Świecia, w przeddzień dawnego święta 11 listopada przeczytaliśmy w gazecie: „niepoczytalne elementy reakcyjne zbezczeszczyły groby żołnierzy radzieckich na Placu Wolności, a na ulicach pojawiły się antyrządowe, antykomunistyczne i antyradzieckie napisy, całe miasto oklejono wywrotowymi ulotkami”. Wielki napis „Precz z komuną!” wymalowano i na naszych koszarach, a rozlepione ulotki o bestialstwie funkcjonariuszy UB wisiały przez kilka dni.

Pułk pomaszerował z Fordonu do Świecia, ja natomiast z magazynem chemicznym, z działami i jaszczami, z całym sprzętem i magazynami jechałem tam pociągami towarowymi. Zabieraliśmy cały majątek ruchomy pułku, wszystkie wyszabrowane biurka, szafy, łóżka i krzesła. Załadunek i przejazd zajęły nam dwa dni, choć droga nie była daleka. Oficjalnym komendantem transportu był por. Jarema, ale na polecenie płk. Nowickiego czuwałem nad wszystkim.

Na rampie kolejowej w Świeciu czekał na nas kpt. Barabasz. Dostałem dwukonną furmankę, abym przewiózł do koszar magazyn chemiczny. Plutonowi mojemu przydzielono dwa pomieszczenia, a mnie pokój przy rodzinie nauczycielskiej. Na powitanie poczęstowano mnie herbatą i długo rozmawialiśmy z gospodarzem, który był kierownikiem szkoły powszechnej.

Rano, po śniadaniu w kasynie, udałem się do plutonu. Wszystko było w porządku. W jednej sali urządzono magazyn, w drugiej, znacznie mniejszej – sypialnię z sześcioma łózkami, przywiezionymi wraz z pościelą z Fordonu. Żołnierze byli zadowoleni, a jedynym ich zmartwieniem było, jak zdobyć przepustkę, by wyjść do miasta. Wolność, jaką mieli w Fordonie, skończyła się bezpowrotnie. Na tekturowym kartonie

wypisuję dużymi literami: „Pluton chemiczny”, i wieszam tabliczkę na drzwiach wejściowych.

Uważałem, że moi żołnierze zasłużyli na nagrodę za sprawnie wykonaną przeprowadzkę. Załatwiam im przepustki na Wszystkich Świętych. Pojadą podoficer i szeregowiec – ciągną zapalki. Z resztą plutonu ustalą listę dyżurów, aby zawsze ktoś był w koszarach i pilnował magazynu. W kancelarii pułku wypisałem przepustki i rozkazy wyjazdu, po czym poszedłem do pułkownika po podpis i stempelek.

Zdenerwowany pułkownik, chodząc od stołu do okna, przekazał mi, że podczas transportu zginęło niemieckie pianino, powierzone mojej opiece. Wiedzieliśmy, że pułkownik przed kilkoma tygodniami kupił je za 10 litrów okowity od radzieckich wartowników na dworcu Bydgoszcz Wschód. Było ono w bardzo dobrym stanie i, według zapowiedzi pułkownika, miało się znaleźć w pułkowej świetlicy. Kpt. Barabasz podczas obiadu opowiada o wściekłości pułkownika. Zginęło pianino, na które on ma już kupca – lekarza.

Pamiętam, że pianino to ostrożnie załadowaliśmy do wagonu i w Świeciu ustawiliśmy na pułkowym wozie wymoszczonym słomą, troszcząc się, aby szczęśliwie dotarło do koszar. W drodze z dworca do koszar pianino przepadło. Obiecałem zdenerwowanemu pułkownikowi, że następnego dnia pozna prawdę. Wręczając rozkazy wyjazdu udającym się na urlop żołnierzom opowiedziałem o tym wydarzeniu. Obydwaj zobowiązali się do wyjaśnienia sprawy jeszcze przed wieczorem. Obiecuję im nagrodę (dwie paczki „Chesterfieldów”, nie mówiąc, że są to pruszkowskie „podróbki”). Kilka godzin później plut. Jestat przekazał mi dokładne informacje. Okazało się, że to por. J. skierował wóz z pianinem do jakiegoś nauczyciela, który zapłacił mu 5000 zł. Plutonowy zdobył też kartkę z adresem i nazwiskiem nabywcy. Informacje te prze-

kazałem pułkownikowi. Następnego dnia podczas porannego raportu oficerów przed kancelarią pułkownik, patrząc nam w oczy, złorzeczył na tego, kto ukradł pianino przeznaczone dla pułkowej świetlicy, później wezwał do siebie por. J. Po tej rozmowie porucznik powędrował do miasta i pianino zostało przywiezione do kwatery pułkownika.

W dzień Wszystkich Świętych poszedłem na cmentarz. Mój gospodarz pochodził ze Świecia (okupację spędził w podkrakowskiej wiosce), pokazał mi groby działaczy polskich z Mazur, z przedwojennych Prus Wschodnich, a także okazały grobowiec Nowowiejskich, rodziny kompozytora „Roty”.

11 listopada był zwykłym dniem pracy. Wcześniej oficer polityczno-wychowawczy wygłosił prelekcję, na której wszyscy musieliśmy być obecni, i wyjaśnił nam, że był to dzień objęcia władzy przez tych, którzy wysiłek i pracę społeczeństwa zużytkowali jako fundament polityki o błędnych założeniach. Ten dzień nie jest już naszym świętem. Nierozzerwalnie związany z Drugą Rzeczpospolitą, wraz z nią odszedł do historii i został zastąpiony dniem nierównie większym i radośniejszym, „letnim dniem 22 lipca... Nie powtórzy się już nigdy tamten deszczowy dzień, nie powtórzy się »listopad« i nie powtórzą się błędy, które były udziałem państwa naszej młodości”.

Nikt nie zabrał głosu w prowokowanej przez politruka dyskusji.

W listopadzie zawiadomiono nas, że 14 DP została przydzielona do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, razem z milicją i UB. Na wiosnę mieliśmy przenieść się do Białej Podlaskiej, aby wziąć udział w walkach z reakcyjnymi bandami, których podobno powstawało na Podlasiu wyjątkowo dużo.

Nam, przedwojennym oficerom, nie odpowiadało takie podporządkowanie. Uważaliśmy, że wojsko to co innego niż bezpieczeństwa – jak nazywaliśmy całą Służbę Wewnętrzną.

Jednocześnie komplikowała się moja sytuacja rodzinna. Żona chorowała. Postanowiłem więc pojechać do domu i poruszyć wszystkie sprężyny, by wrócić do cywila i zająć się rodziną.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, w pułku był podporucznik, który chciał zostać oficerem zawodowym. Zapisał się do PPR, stał się już działaczem pułkowej komórki partyjnej i był gotów przejąć pluton chemiczny. Dowódca pułku zgodził się na przekazanie mu plutonu, a do mnie powiedział: „Mam dla was inne zajęcie”. Po przekazaniu magazynu i plutonu uzyskałem dwutygodniowy urlop, który poświęciłem staraniom o zwolnienie z wojska. Dzięki pomocy jednego z kolegów przyjął mnie ordynator okulistyki szpitala wojskowego w Łodzi. Po dokładnych badaniach stwierdzono, że zły wzrok uniemożliwia mi służbę w wojsku i powinienem poddać się hospitalizacji.

W końcu listopada wracałem do Świecia. W pułku wszyscy mówili o zdemolowaniu przed tygodniem siedziby Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa. Budynek straszył powybijanymi szybami, dyktą w oknach na parterze i śladami po pociskach na frontowej ścianie. Przed wejściem stało dwóch strażników z pepeszami. Przyczyną był zatarg między UB a wojskiem.

Pomiędzy wojskiem a formacjami podlegającymi MSW, a więc milicją i UB, istniała od początku duża niechęć, preradająca się niekiedy w nienawiść. Istniała wtedy niepisana zasada, że funkcjonariusze UB nigdy nie zatrzymywali żołnierzy, dla których właściwą władzą porządkową była żandarmeria wojskowa lub garnizonowe patrole wojskowe. Tymczasem patrol UB zatrzymał w niedzielę podpitego podoficera, popularnego w pułku wesołka, i siłą doprowadził go do aresztu. Gdy dowiedziano się o tym w koszarach, natychmiast do sie-

dziby UB wysłano oficera służbowego z dwoma podoficerami, aby zabrać plutonowego do pułkowego aresztu. Napotkano jednak sprzeciw i groźbę, że aresztowany zostanie przekazany do wojewódzkiego UB, gdyż awanturował się i ubliżał funkcjonariuszom UB. Aresztowany plutonowy usłyszał głosy kolegów i zaczął wzywać pomocy, krzycząc, że został pobity. Oficer służbowy zażądał wtedy widzenia się z zatrzymanym. Odmówiono mu i wyrzucono żołnierzy z budynku. Oficer służbowy zebrał wówczas kilku kolegów aresztowanego, aby interweniować ponownie. Gdy nie otworzono drzwi wejściowych, a z wewnątrz dolatywały krzyki aresztowanego, zaczęto strzelać do okien budynku, a później wyważono drzwi wejściowe. Przestraszeni funkcjonariusze UB uciekli. Żołnierze zabrali pobitego kolegę, a widok jego pokrwawionej twarzy wywołał wybuch agresji u innych podoficerów. Zniszczono meble, podpalono wyrzucone z szaf akta.

Po paru godzinach, gdy o wydarzeniu mówiło już całe miasto, do budynku weszło kilku oficerów. Obejrzelni zdemolowane pomieszczenia, jeden z nich, por. lek. wet. Włodzimierz Siemiński, zebrał trzy porzucone pepesze i wiele paczek amunicji, które odniesiono na posterunek MO, aby nie dostały się w niepowołane ręce. Następnego dnia przed południem przyjechała z Bydgoszczy grupa funkcjonariuszy UB, uzbrojonych jak na bitwę.

Plutonowego, przebywającego w pułkowym szpitaliku, po kilku dniach zabrano do Bydgoszczy. Oskarżał on komendanta UB w Świeciu o nieprawne aresztowanie oraz o pobicie, znęcanie się nad nim, uderzenie kolbą pepeszy w twarz, po uprzednim zakuciu w kajdanki. Na całym ciele miał liczne ślady pobicia, kilka wybitych zębów i złamany obojczyk. To wszystko pomogło mu w przyspieszonym zwolnieniu z wojska. Odjeżdżając ze Świecia przysięgał zemstę komendantowi UB.

W związku z tą sprawą aresztowano por. Siemińskiego. Wracał do pułku po świątecznym urlopie i późnym wieczorem został zatrzymany we Włochach na dworcu kolejowym. Nie zawiadomiono rodziny, która dopiero po wielu tygodniach, gdy nie dawał znaku życia, rozpoczęła poszukiwania. Skazano go na osiem lat więzienia za udział w napadzie na siedzibę UB. Odsiedział pięć lat. Nie wiem, dlaczego aresztowano tylko jego, jeśli było z nim kilku oficerów wraz z dowódcą pułkowego patrolu.

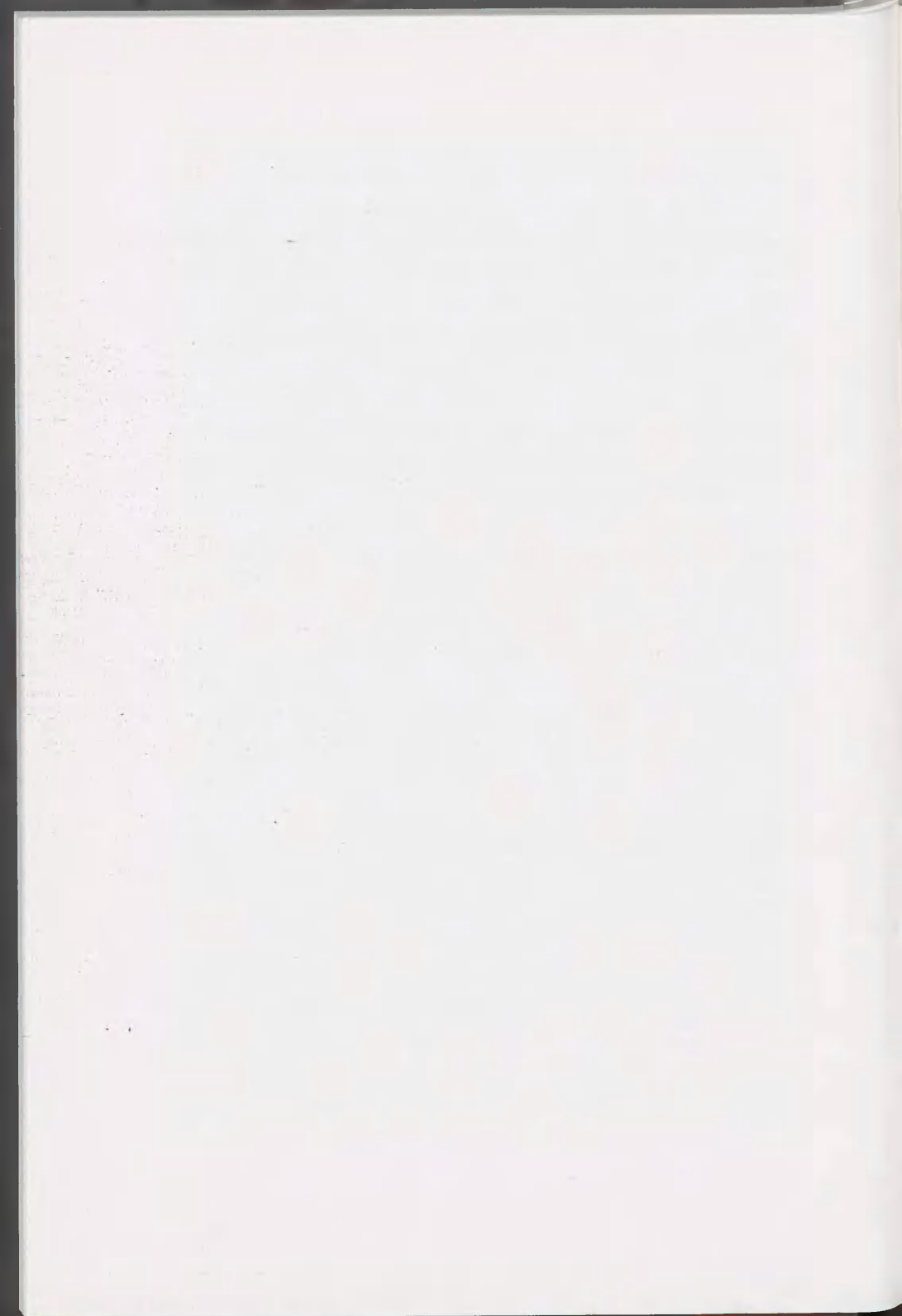
Otrzymałem następne dwa tygodnie urlopu. Pożegnałem się z ludźmi z mojego plutonu i udałem do szpitala. Po kilkutygodniowej obserwacji i badaniach komisja wojskowo-lekarska uznała mnie za niezdolnego do służby wojskowej. Przywiezione świadectwo lekarskie zaskoczyło płk. Nowickiego. Powiedział, że zostałem wytypowany na studia w Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie, przyznał, że długo rozmawiał na mój temat z kpt. Barabaszem, który zapewne mu to zasugerował. Na dokumentach, które miałem zabrać do MON, pułkownik dopisał po rosyjsku: „Wzorowy oficer, szczerzy demokrat”.

Ze wzruszeniem żegnałem się z kpt. Barabaszem. Powiedział, że nie chce mi dać swojego adresu, by nie komplikować sobie życia. Wspominam go z sympatią. Mogłem mu opowiedzieć o przedwojennej Polsce, on zaś ukazać prawdziwy obraz życia w Związku Radzieckim. Jestem przekonany, że to właśnie jemu zawdzięczałem dobrą opinię. Wydaje mi się, że pewne zaufanie, jakie okazywali mi inni oficerowie radzieccy, wypływało także z mojej niezależności finansowej. Ponadto dzięki przypadkowi ujawniła się moja znajomość z pracownikiem prokuratury wojskowej.

W MON, po zapoznaniu się z opinią lekarską, zaproponowano mi powrót do służby za rok, jeśli stan zdrowia się poprawi.

Po kilku latach przesłuchiowano mnie w prokuraturze wojskowej w sprawie kradzieży sprzętu chemicznego w 47 pp. Porucznik przejmujący ode mnie pluton wraz z magazynem podpisał protokół bez żadnych zastrzeżeń, a po kilku latach okazało się, że w magazynie są wielkie braki, m.in. brakowało kilkuset płaszczy przeciwpierwotowych. Prowadzący dochodzenie wziął ode mnie odpis protokołu. Nie wiem, jaki zapadł wyrok.

Na wiosnę 1946 roku 47 pp włączono do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i przeniesiono do Białej Podlaskiej. W tym mieście zaczynałem wojnę. Niewiele brakowało, abym tu zakończył moje wojenne przeżycia.







Henryk Krzyczkowski urodził się w roku 1914 w Pruszkowie, gdzie spędził sześćdziesiąt lat życia. Z wykształcenia jest chemikiem, a z zamiłowania kronikarzem dawnego Pruszkowa. Posiada rzadki i cenny dar obserwacji i zapamiętywania szczegółów, na co swego czasu zwrócił uwagę drużynowy Aleksander Kamiński „Kamyk”.

Dotychczas ukazały się drukiem trzy książki Henryka Krzyczkowskiego:

W cieniu Warszawy (PAX 1986) – opis życia w Pruszkowie w latach okupacji; *Dzielnica milionerów* (Iskry 1989) – wspomnienia z dzieciństwa; *Inna Ojczyzna, inne miasto, inni ludzie – Pruszków w latach 1945-56* (Ofcyna Wydawnicza VOLUMEN, 2004) – historia Pruszkowa w pierwszych latach po wojnie.

Książka *Żołnierskie wspomnienia* to kronika służby wojskowej Autora. Opowiada w niej o szkoleniu w Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy w Pułtusk, o udziale w Kampanii Wrześniowej i dziesięciomiesięcznej służbie w Ludowym Wojsku Polskim.



ISBN 978-83-922347-7-7



9 788392 234777